

Agatha Christie

Parker Pyne na tropie

Tłumaczyła Magda Białoń-Chalecka

Tytuł oryginału: Parker Pyne Investigates

Sprawa żony w średnim wieku

Cztery chrząknięcia, poirytowany głos pytający, czy w tym domu człowiek nie może spokojnie zostawić kapelusza na wieszaku, trzaśnięcie drzwiami i pan Packington wyszedł złapać pociąg o ósmej czterdzieści pięć. Pani Packington siedziała bez ruchu przy stole. Na policzkach miała wypieki, usta zaciśnięte, a nie płakała tylko dlatego, że w ostatniej chwili gniew wyparł żal.

— Nie zniosę tego dłużej — powiedziała głośno. — Nie zniosę!

Przez chwile rozmyślała nad całą sytuacją, a potem dodała półgłosem:

— Zdzira. Parszywa, przebiegła kocica! Jak George może być takim durniem?

Gniew przygasł, powrócił żal. Łzy załśniły w oczach pani Packington i powoli spłynęły po jej policzkach.

— Łatwo powiedzieć, że tego już nie zniosę, ale co ja mam zrobić?

Nagle poczuła się całkiem samotna, bezradna i opuszczona. Wolno podniosła poranną gazetę i kolejny już raz przeczytała ogłoszenie zamieszczone na pierwszej stronie.

CZY JESTEŚ SZCZĘŚLIWY? JEŻELI NIE, ZASIĘGNIJ RADY PANA PARKERA PYNE’A, 17 RICHMOND STREET.

— To niedorzeczne — skomentowała kobieta. — Zupełnie absurdalne! Ale przecież nie zaszkodzi spróbować...

Co wyjaśnia, jak doszło do tego, że o jedenastej nieco zdenerwowana pani Packington została wprowadzona do gabinetu pana Parkera Pyne’a.

Jak już wspomnieliśmy, pani Packington była zdenerwowana, lecz o dziwo zupełnie się uspokoiła na sam widok Parkera Pyne’a. Był to mężczyzna potężnie zbudowany, żeby nie powiedzieć gruby. Miał zupełnie łysą głowę o szlachetnych proporcjach, silne okulary i małe błyszczące oczka.

— Proszę spocząć — odezwał się. — Zapewne przyszła pani w sprawie ogłoszenia? — dodał zachęcająco.

— Tak — odrzekła pani Packington i na tym poprzestała.

— Jest pani nieszczęśliwa — dorzucił pan Pyne radosnym, rzeczowym tonem. — Tak jak

większość ludzi. Byłaby pani głęboko zdumiona, gdyby pani wiedziała, jak mało jest na świecie osób naprawdę szczęśliwych.

— Tak? — zapytała pani Packington, niezbyt przejęta duchową kondycją reszty ludzkości.

— Ale pani to nic interesuje, wiem — ciągnął pan Pyne — w przeciwieństwie do mnie. Widzi pani, przez trzydzieści pięć lat mojego życia zajmowałem się opracowywaniem danych statystycznych dla pewnego biura rządowego. Teraz przeszedłem na emeryturę, postanowiłem więc wykorzystać zdobyte doświadczenia w zupełnie nowatorski sposób. Sprawa jest banalnie prosta. Nieszczęścia można zaklasyfikować raptem do pięciu różnych kategorii, zapewniam panią, że tyle wystarczy. A kiedy zna się już przyczynę choroby, można znaleźć lekarstwo. Ja występuję w roli lekarza, który najpierw stawia diagnozę, a następnie zaleca odpowiednią terapię. Bywają przypadki, w których żadne lekarstwo nie skutkuje. Wtedy mówię szczerze, że nic nie jestem w stanie zrobić. Ale zaręczam, że jeśli podejmę się zadania, ozdrowienie jest gwarantowane.

Czy można mu wierzyć? Czy to wszystko nonsens, czy też jest w tym ziarnko prawdy? Pani Packington wpatrywała się w niego wzrokiem pełnym nadziei.

— Czy możemy przejść do postawienia diagnozy w pani przypadku? — zapytał z uśmiechem pan Pyne. Wygodnie rozsiadł się w fotelu i złożył razem czubki palców. — Problem dotyczy pani męża. Ogólnie rzecz biorąc, wiodła pani szczęśliwe życie małżeńskie, a mąż prawdopodobnie odniósł sukces zawodowy. Przypuszczam, że teraz na scenie pojawiła się jakaś młoda dama, być może pracująca w biurze pani męża.

— Maszynistka — dopowiedziała pani Packington. — Obrzydliwa, wytapetowana latawica! Wie pan, szminka, jedwabne pończochy i loczki — wręcz wypluła te słowa.

Pan Parker Pyne ze zrozumieniem pokiwał głową.

— A mąż zapewne utrzymuje, że nie ma w tym nic złego.

— Dokładnie tak.

— Dlaczego więc nie miałby się cieszyć czystą przyjaźnią z tą młodą damą i wnieść trochę radości i szczęścia w jej smutne życie? Biedne dziecko, ma tak mało przyjemności. Tak się zapewne w skrócie przedstawiają jego argumenty.

Pani Packington z zapałem pokiwała głową.

— Błaga! Wszystko to blaga. Zabiera ją nad rzekę. Ja też uwielbiam wycieczki nad rzekę, lecz pięć czy sześć lat temu powiedział, że to koliduje z jego golfem.

Ale dla niej mógł wyrzec się golfa. Bardzo lubię teatr, ale George zawsze twierdził, że jest zbyt zmęczony, żeby wychodzić wieczorem z domu. A teraz zabiera ją na tańce... na tańce! I wraca o trzeciej nad ranem. Ja... ja...

— I bez wątplenia ubolewa nad faktem, że kobiety są zazdrosne, tak bezsensownie zazdrosne

zupełnie bez powodu?

Nieszczęśliwa żona ponownie pokiwała głową.

— No właśnie. A skąd pan to wszystko wie? — spytała nagle.

— Statystyka — odpowiedział pan Pyne z prostotą.

— Jestem taka nieszczęśliwa — roztkliwiła się pani Packington. — Zawsze byłam dobrą żoną dla George'a. Na początku małżeństwa urabiałam sobie ręce po łokcie. Pomagałam mu wystartować, i nigdy nawet nie spojrzałam na innego mężczyznę. Ubrania ma zawsze w największym porządku, pyszne posiłki na siole, dom jest prowadzony sprawnie i oszczędnie. A teraz, kiedy dobrze nam się powodzi i moglibyśmy się trochę rozerwać, podróżować i robić wszystkie te rzeczy, na które czekałam, taka historia! — z trudem przełknęła ślinę.

Pan Pyne ponuro pokiwał głową.

— Zapewniam, że doskonale rozumiem pani przypadek.

— Ale... czy może pan coś zrobić? — zapyłała zduszonym głosem.

— Naturalnie, droga pani. Istnieje na to lekarstwo. I to bardzo skuteczne.

— Co to takiego? — czekała na jego słowa z szeroko otwartymi oczyma.

Parker Pyne odpowiedział spokojnie i zdecydowanie:

— Odda się pani w moje ręce, a honorarium wyniesie dwieście gwinei.

— Dwieście gwinei!

— Dokładnie tyle. Przecież może sobie pani pozwolić na taki wydatek. Bez wątpienia zapłaciłaby pani tyle za operację. A szczęście jest równie ważne jak zdrowie.

— Przypuszczam, że wynagrodzenie będzie pan chciał otrzymać po wykonaniu zlecenia?

— Wręcz przeciwnie — odrzekł. — Zapłaci mi pani z góry.

Pani Packington wstała.

— Obawiam się, że nie mam zwyczaju...

— Kupować kota w worku? — dokończył pogodnie pan Pyne. — No cóż, być może ma pani rację. To mnóstwo pieniędzy. Ale rzecz w tym, żeby pani mi zaufała. Musi pani zapłacić i podjąć ryzyko. Takie są moje warunki.

— Dwieście gwinei!

— Dokładnie tyle. Dwieście gwinei. Mnóstwo pieniędzy. Do widzenia, pani Packington. Proszę mi dać znać, jeśli zmieni pani zdanie — uściśnął jej dłoń, uśmiechając się serdecznie.

Kiedy wyszła, przycisnęła brzęczyk na biurku. Na wezwanie zjawiała się posępna młoda kobieta w okularach.

— Proszę założyć nową teczkę, panno Lemon. I może pani przekazać Claude'owi, że wkrótce będzie go potrzebował.

— Nowa klientka?

— Owszem. Na razie trochę się waha, ale wróci. Prawdopodobnie dziś po południu około czwartej. Proszę ją wprowadzić do mojego gabinetu.

— Plan A?

— Oczywiście. To ciekawe, że każdy uważa swoją sytuację za wyjątkową... No tak, proszę uprzedzić Claude'a. Żadnych ekstrawagancji, bez przesady z perfumami i lepiej, żeby krótko przyciął włosy.

Dokładnie kwadrans po czwartej pani Packington ponownie przestąpiła próg gabinetu Parkera Pyne'a. Wyjęła książeczkę czekową i wypisała żadaną kwotę. W zamian otrzymała pokwitowanie.

— I co teraz? — spytała wpatrując się w niego wyczekująco.

— Teraz — odpowiedział z uśmiechem — pojedzie pani do domu. Jutro z samego rana otrzyma pani pocztą instrukcje i będę bardzo rad, jeśli się pani do nich zastosuje.

I tak pani Packington wróciła do domu przyjemnie podekscytowana tym, co ją czeka. Natomiast pan Packington pojawił się w bojowym nastroju, gotów bronić swojego stanowiska, gdyby powtórzyła się scena śniadaniowa. Z ulgą jednak stwierdził, że żona nie przejawia żadnej ochoty do walki. Była za to niezwykle zamyślona. George słuchając radia zastanawiał się, czy to urocze dziecko, Nancy, pozwoli, by ofiarował jej futro. Wiedział, że jest bardzo dumną kobietą, i nie chciał jej urazić. Ale przecież narzekała na chłód, a ten jej tweedowy paltocik był wiatrem podszyty. Na pewno nie chronił przed zimmem. Może potrafiłby to przedstawić jakoś tak, żeby nie zaoponowała...

Muszą wkrótce znowu gdzieś się wybrać wieczorem. To prawdziwa przyjemność pojawić się z taką dziewczyną w eleganckiej restauracji. Widział wyraźnie zazdrość w oczach kilku młodzieniaszków. Nancy była wyjątkowo ładna. I lubiła go. Powiedziała mu, że wcale nie wydaje jej się stary.

Uniósł wzrok i pochwycił spojrzenie żony. Poczł nagłe ukłucie winy, które go zirytowało. Co za ograniczona i podejrziwa kobieta z tej Marii! Żałuje mu nawet tej odrobiny szczęścia.

Wyłączył radio i poszedł spać.

Następnego ranka pani Packington otrzymała aż trzy przesyłki. Jedna zawierała firmowy blankiet z

potwierdzeniem wizyty w znanym salonie piękności. Druga dotyczyła umówionej przymiarki u krawcowej. W trzeciej było zaproszenie od pana Parkera Pyne'a, w którym wyrażał nadzieję, że go zaszczyli swą obecnością na lunchu w "Ritzu" tego samego dnia.

Pan Packington wspomniał, że prawdopodobnie nie przyjdzie do domu na kolację, ponieważ ma ważne spotkanie w interesach. Jego żona tylko z roztargnieniem skinęła głową, więc opuścił dom gratulując sobie, że tak sprytnie udało mu się uniknąć awantury.

Specjalistka od urody była głęboko wstrząśnięta. Takie zaniedbanie! Ale dlaczego, *madame*? Trzeba się było tym zająć już kilka lat temu. Na szczęście nie jest jeszcze za późno.

Po tej tyradzie zaczęła wyprawiać dziwne rzeczy z twarzą pani Packington. Uciskała ją, ugniatała i poddawała parówkom. Okładała błotem. Nacierала kremami. Obsypywała pudrem. Wreszcie przeszła do końcowego retuszu.

Kiedy dopełniła dzieła, podała klientce lusterko. Chyba naprawdę wyglądam młodziej — pomyślała Maria.

Seans u krawcowej okazał się równie ekscytujący. Wyszła z niego z uczuciem, że jest kobietą elegancką, nowoczesną i modną.

O pół do drugiej pani Packington stawiła się na spotkanie w "Ritzu". Czekał tam na nią pan Parker Pyne, nienagannie ubrany i jak zawsze roztaczający aurę Spokoju i niezawodności.

— Czarująca — stwierdził taksując ją doświadczonego spojrzeniem od stóp do głów. — Pozwoliłem sobie zamówić dla pani "Białą Damę".

Pani Packington, która w kwestii koktajli nie miała wyrobionego gustu, nie zaprotestowała. Ostrożnie sącząc podniecający płyn, z zainteresowaniem słuchała swego doradcy.

— Pani mężowi — mówił Pyne — należy dać szkołę. Dać szkołę, rozumie pani? Pomoże nam w tym mój młody przyjaciel, którego chciałbym pani przedstawić. Zje pani z nim dzisiaj lunch.

W tym momencie w drzwiach pojawił się młody człowiek. Rozejrzał się wokół i dostrzegłszy pana Pyne'a zbliżył się do nich pełnym gracji krokiem.

— Pan Claude Luttrell, pani Packington.

Pan Claude Luttrell, mężczyzna pod trzydziestkę, był pełen wdzięku, czarujący, świetnie ubrany i zniewalająco przystojny.

— Jestem zachwycony, że mogłem panią poznać — mruknął.

Trzy minuty później pani Packington siedziała twarzą w twarz ze swym nowym mentorem przy małym stoliku nakrytym na dwie osoby.

Początkowo była onieśmielona, ale pan Luttrell szybko przełamał wszystkie lody. Świetnie znał

Paryż i często bywał na Riwierze. Zapytał, czy pani Packington lubi tańczyć. Odpowiedziała, że owszem, tylko że rzadko ma po temu okazję, gdyż pan Packington jakoś stracił upodobanie do wychodzenia wieczorami.

— Ale przecież nie może trzymać pani w domu — stwierdził Claude Luttrell błyskając w uśmiechu oszłamiająco pięknymi zębami. — Współczesne kobiety nie dają się terroryzować zazdrosnym mężczyznom.

Pani Packington już miała na końcu języka, że zazdrość nie ma tu nic do rzeczy, ale w rezultacie nic nie powiedziała. Mimo wszystko całkiem miło było tak myśleć.

Claude Luttrell z dużym znanstwem rozprawiał o nocnych klubach. Ustalili, że następnego wieczora wybiorą się do popularnego lokalu o nazwie “Mały Archanioł”.

Panią Packington trochę niepokoiła myśl, że musi powiadomić męża o swoich zamiarach. George pewnie pomyśli, że to dziwne, a może wręcz śmieszne. Ale los oszczędził jej tego kłopotu. Z powodu zdenerwowania nic nie wspomniała przy śniadaniu, a o drugiej otrzymała telefonicznie wiadomość, że mąż zamierza zjeść kolację w mieście.

Wieczór był niezwykle udany. Jako młoda dziewczyna pani Packington świetnie tańczyła, więc teraz, wprawnie prowadzona przez Claude’a, szybko podchwyciła kroki nowoczesnych tańców. Pochwalił jej suknię, a także nową fryzurę. (Tego ranka pan Pyne zamówił jej wizytę u modnego fryzjera.) Na pożegnanie ucałował jej rękę w niebywale podniecający sposób. Pani Packington od lat nie bawiła się tak cudownie.

Następne dziesięć dni minęło niczym we śnie. Bywała na lunchach, podwieczorkach i kolacjach, tańczyła, rozmawiała i spacerowała. Wysłuchiwała historii smutnego dzieciństwa Claude’a Luttrella. Poznała przykre okoliczności, w jakich jego ojciec stracił cały majątek. Dowiedziała się wszystkiego na temat jego tragicznego romansu, a także rozgoryczenia, jakie odczuwał w stosunku do ogółu kobiet.

Jedenastego dnia tańczyli w “Czerwonym Admirale”. Pani Packington dostrzegła swojego małżonka, zanim on ją zauważył. George’owi towarzyszyła młoda panna z jego biura. Obie pary wirowały po parkiecie.

— Cześć, George — rzuciła pani Packington lekkim tonem, gdy przemykali obok siebie.

Z rozbawieniem obserwowała, jak twarz męża robi się najpierw czerwona, a następnie purpurowa ze zdumienia, które mieszało się z poczuciem winy osoby przyłapanej na gorącym uczynku.

Maria w cudowny sposób czuła się panią sytuacji. Biedny, stary George! Kiedy wrócili do stolika, zaczęła mu się przyglądać. Jaki on otyły i łysy, jak zabawnie podryguje! Tańczy tak, jak się tańczyło dwadzieścia lat temu. Biedaczek, tak desperacko pragnie być młody! A ta nieszczęsna dziewczyna, z którą tańczy, musi udawać, że jej się to podoba. Na jej twarzy, widocznej nad ramieniem partnera, malował się wyraz bezbrzeżnego znudzenia.

— Moja sytuacja — pomyślała z zadowoleniem pani Packington — jest o wiele bardziej godna pozazdroszczenia.

Zerknęła na idealnego Claude'a, który milczał taktownie. Jak dobrze on ją rozumie. I nigdy się z nią nie sprzecza — co jest nieuniknione w przypadku mężów wraz z upływem lat.

Znowu na niego popatrzyła. Ich spojrzenia się spotkały. Uśmiechnął się. Jego przepiękne ciemne oczy, takie melancholijne, takie romantyczne, wpatrywały się w nią z czułością.

— Zatańczymy? — szepnął.

I zatańczyli. Było jak w niebie!

Czuła na sobie wzrok skruszonego George'a. Przypomniała sobie, że zamierzali wzbudzić w nim zazdrość. To było tak dawno temu! Teraz naprawdę nie chciała, żeby staruszek był zazdrosny. To mogłoby popsuć mu nastrój. A po co psuć nastrój biedaczynie? Wszyscy są tacy szczęśliwi...

Pan Packington był w domu już od godziny, kiedy wróciła jego żona. Wyglądał na skonsternowanego i zażenowanego.

— Hmm — zauważył — wróciłaś już.

Jego żona zrzuciła wieczorową pelerynkę, na którą tego ranka wydała czterdzieści gwinei.

— Tak — odpowiedziała z uśmiechem. — Wróciłam.

George odchrząknął.

— Eee... to zabawne, że się spotkaliśmy.

— Rzeczywiście — zgodziła się Maria.

— Ja... ten... pomyślałem sobie, że zachowam się uprzejmie, zabierając gdzieś tę dziewczynę. Miała ostatnio sporo kłopotów w domu. No i ja... no, zachowałem się uprzejmie.

Pani Packington kiwnęła głową. Biedny staruszek — tak śmiesznie podrygiwał, pocił się i był z siebie taki zadowolony.

— Kim jest ten facet, z którym byłaś? Chyba go nie znam, co?

— Nazywa się Luttrell. Claude Luttrell.

— Gdzie go poznałaś?

— Och, ktoś nas sobie przedstawił — niejasno odrzekła pani Packington.

— To dziwne, że wybrałaś się na tańce... W twoim wieku. — Uważaj, żebyś się za bardzo nie

wyglupiała, moja droga.

Pani Packington uśmiechnęła się. Czowała się tak przyjaźnie nastawiona do całego wszechświata, że nie udzieliła najbardziej oczywistej odpowiedzi. Zamiast tego odparła uprzejmie:

— Czasami zmiana dobrze człowiekowi robi.

— Musisz być ostrożna, wiesz. Wszędzie kręci się pełno żigolaków. Kobiety w średnim wieku czasami potrafią zrobić z siebie konkursowe idiotki. Ja tylko cię ostrzegam, moja droga. Nie chciałbym, żebyś zachowała się nieodpowiednio.

— Odkryłam, że taka odmiana działa na mnie doprawdy zbawiennie — odpowiedziała.

— Uhm... tak.

— Ufam, że na ciebie również — dodała uprzejmie. — Szczęście jest bardzo ważne, nieprawdaż? Pamiętam, że sam coś podobnego powiedziałeś jakieś dwa tygodnie temu przy śniadaniu.

Mąż spojrział na nią. badawczo, ale na jej twarzy nic dostrzegł ani śladu sarkazmu. Ziewnęła.

— Muszę się już położyć. A tak przy okazji, George, byłam ostatnio przeraźliwie rozrzutna. Dostaniesz jakieś potworne rachunki. Ale nic masz nie przeciwko temu, prawda?

— Rachunki? — pan Packington zmartwiał.

— Tak. Za ubrania. I masaż. I fryzjera. Zachowywałam się bardzo ekstrawagancko, ale wiem, że ci to nie przeszkadza.

Ruszyła w stronę schodów. Pan Packington stał w miejscu z otwartymi ustami. Co prawda Maria zachowała się bardzo miło, jeśli chodzi o ten wieczór. Wręcz wydawało się, że w ogóle się tym nie przejęła. Ale szkoda, że nagle zaczęła wydawać pieniądze. I to Maria — ten wzór oszczędności!

Ach, te kobiety! George Packington pokręcił głową. A bracia Nancy wpadali ostatnio w coraz to nowe tarapaty. No cóż, cieszył się, że mógł jakoś pomóc. Niemniej jednak — i niech to wszyscy diabli! — ostatnio interesy nie szły najlepiej.

Głęboko wzdychając, powoli wszedł po schodach.

Czasami słowa, które chybiają celu w danym momencie, docierają do człowieka dużo później. Dopiero następnego ranka pewne uwagi rzucone przez pana Packingtona utorowały sobie drogę do świadomości jego żony.

Żigolaki; kobiety w średnim wieku; konkursowe idiotki.

Maria Packington miała męzne serce. Usiadła przy stole i stawiała czoło faktom. Żigolaki. Czytała o nich wiele w gazetach. Czytała również o kobietach w średnim wieku, które robią z siebie pośmiewisko.

Czy Claude był żigolakiem? Pewnie tak. Ale przecież żigolakom się płaci, a to Claude zawsze płacił za nią.

No tak, to płacił pan Parker Pyne, nie Claude — a właściwie płaciła ona sama swoimi dwustoma gwineami.

Czy ona była idiotką w średnim wieku? Czy Luttrell wyśmiewał się z niej za jej plecami? Gwałtownie się zaczerwieniła na samą myśl o tym.

A nawet jeśli tak, to co z tego? Claude był żigolakiem. Ona była idiotką w średnim wieku. Zatem chyba powinna mu coś dać. Jakąś złotą papierośnicę albo coś w tym rodzaju.

Wiedziona niewytłumaczalnym impulsem wyładowała u Aspreya. Wybrała papierośnicę i zapłaciła za nią. Z Claudem miała się spotkać trochę później na lunchu w “Claridge’u”.

Kiedy już przyniesiono im kawę, wyjęła pudełko z torebki.

— To taki mały prezencik — powiedziała cicho. Spojrzał na nią i zmarszczył brwi.

— Dla mnie?

— Tak. Mam... mam nadzieję, że ci się spodoba. Zacisnął dłoń na papierośnicy i gwałtownie ją od siebie odepchnął.

— Czemu mi to dałaś? Nie wezmę tego. Zabierz to z powrotem. Zabieraj to, powiedziałem.

Był wściekły. Jego ciemne oczy płonęły.

— Przepraszam — wyszeptała i schowała papierośnicę do torby.

Przez cały dzień panowało między nimi napięcie. Claude zadzwonił do Marii wcześniej rano następnego dnia.

— Musimy się spotkać. Czy mogę po południu przyjść do ciebie?

Zaprosiła go na trzecią.

Gdy przyjechał, zauważyła, że jest blady i bardzo pięty. Przywitali się miło, ale napięcie było jeszcze bardziej wyczuwalne.

Nagle zerwał się z fotela i stanął naprzeciwko niej.

— Jak myślisz, kim ja jestem? Przyjechałem specjalnie, żeby cię o to zapytać. Byliśmy przyjaciółmi, prawda? Tak, przyjaciółmi. Ale mimo to uważasz, że jestem zwykłym... żigolakiem. Pasożytem żyjącym z kobiet. Playboyem. Mam rację, prawda?

— Nie, nie.

Zignorował jej protesty. Twarz mu jeszcze bardziej pobiadła.

— Tak myślisz! I taka jest prawda. Właśnie to chciałem ci powiedzieć. To prawda! Otrzymałem polecenie, żeby wyrwać cię z domu, rozbawić, kochać się z tobą, sprawić, żebyś zapomniała o mężu. Na tym polega moja praca. Godna pogardy, co?

— Dlaczego mi to mówisz? — zapyłała Maria.

— Ponieważ z tym skończyłem. Nie mogę już tego ciągnąć. Nie z tobą. Ty jesteś inna. Jesteś kobietą, której mógłbym wierzyć, ufać, którą mógłbym wielbić. Myślisz, że to tylko puste słowa, część mojej roli.

Podszedł bliżej.

— Udowodnię ci, że tak nie jest. Wyjeżdżam... z twojego powodu. Z twojego powodu zamierzam być mężczyzną, a nie godną pogardy kreaturą.

Nagle wziął ją w ramiona i pocałował namiętnie. Po chwili rozluźnił uścisk i odsunął się.

— Żegnaj. Zawsze byłem draniem. Ale przysięgam, że teraz to się zmieni. Pamiętasz, jak kiedyś powiedziałaś, że lubisz czytać rubrykę z ogłoszeniami osobistymi? Co roku tego dnia znajdziesz tam ode mnie wiadomość, że pamiętam i że wytrwałem. Będziesz wtedy wiedziała, ile dla mnie znaczyłaś. I jeszcze jedno. Niczego od ciebie nie wziąłem, ale chciałbym, żebyś ty przyjęła coś ode mnie.

Zdjął z palca prosty złoty sygnet.

— Należał do mojej matki. Chcę, żebyś go wzięła. A teraz żegnaj.

George Packington wrócił do domu wcześniej. Zastał swoją żonę z nieobecny wyrazem twarzy, wpatrzoną w ogień na kominku. Rozmawiała z nim tonem uprzejmym, acz zupełnie obojętnym.

— Słuchaj, Mario — wyrwał się nagle — jeśli chodzi o tę dziewczynę...

— Tak, kochanie?

— Ja... ja nie chciałem sprawić ci przykrości, wiesz. Ona nic dla mnie nie znaczy.

— Wiem. Głupio się zachowałam. Możesz się z nią widywać, kiedy tylko zechcesz, jeśli sprawia ci to radość.

Te słowa z pewnością powinny były ucieszyć George'a Packingtona. Jednak o dziwo rozdrażniły go. Jak można czerpać radość z wypadów z dziewczyną, kiedy własna żona do tego zachęca? Niech to szlag, to nieprzyzwoite! Natychmiast cudowne uczucie, że jest panem swego życia, silnym mężczyzną niebezpiecznie igrającym z ogniem, wygasło i zginęło haniebną śmiercią. George Packington poczuł się nagle zmęczony i o wiele uboższy. Ta dziewczyna, Nancy, to była cwana sztuka.

— Moglibyśmy gdzieś razem pojechać, jeśli masz ochotę, Mario — zaproponował nieśmiało.

— Och, nie przejmuj się mną. Nic mi nie brak do szczęścia.

— Ale ja chciałbym cię gdzieś zabrać. Moglibyśmy pojechać na Riwierę.

Pani Packington posłała mu roztargniony uśmiech. Biedny George. Lubię go. Jest takim żalonym staruszkim. On nie ma takiej szlachetnej tajemnicy jak ja. Uśmiechnęła się trochę ciepłej.

— Byłoby cudownie, mój drogi — odpowiedziała.

Pan Parker Pyne rozmawiał z panną Lemon.

— Wydatki na rozrywkę?

— Sto dwa funty czternaście szylingów i sześć pensów — odpowiedziała sekretarka.

Otworzyły się drzwi i do gabinetu wszedł Claude Luttrell. Był wyraźnie w złym humorze.

— Dzień dobry, Claude — powitał go pan Pyne. — Wszystko poszło dobrze?

— Chyba tak.

— A pierścionek? Co kazałeś na nim wygrawerować?

— Matylda, 1899 — odrzekł ponuro Claude.

— Doskonale. Jaka ma być treść ogłoszeń? — “Wytrwałem. Nadal pamiętam. Claude”.

— Proszę to zanotować, panno Lemon. Kolumna ogłoszeń osobistych. Trzeciego listopada, niech no spojrzę, koszta wyniosą sto dwa funty, czternaście szylingów i sześć pensów. Zatem myślę, że damy to przez dziesięć lat. Co nam daje dziewięćdziesiąt dwa funty dwa szylingi i cztery pensy zysku. Zadowolająco. Całkiem zadowolająco.

Panna Lemon wyszła.

— Posłuchaj — wybuchnął Claude — nie podoba mi się to wszystko. To nieuczciwe!

— Ależ drogi chłopcze!

— Nieuczciwe! To była bardzo przyzwoita kobieta. Wszystkie te obrzydliwe kłamstwa, cały ten łzawy kicz, niech to diabli, aż mi się robi niedobrze!

Pan Parker Pyne poprawił okulary i spojrzał na młodzieńca z niemalże naukowym zainteresowaniem.

— A niech mnie! — stwierdził sucho. — Nie przypominam sobie, by kiedykolwiek w trakcie twojej cokolwiek... ehm... głośnej kariery dręczyło cię sumienie. Twoje wyczyny na Riwierze były

szczególnie bezwstydną, a zwłaszcza sposób, w jaki wykorzystales panią Hattie West, żonę kalifornijskiego króla ogórków, godny był odnotowania jako szczególnie bezduszny i wyrachowany.

— Cóż, zaczynam to odbierać inaczej — warknął Claude. — To nie jest... w porządku, takie zagrywki.

Pan Pyne przemówił tonem dyrektora szkoły strofującego swego ulubionego ucznia.

— Mój drogi Claudzie, spełniłeś dobry uczynek. Dałeś tej nieszczęśliwej istocie to, czego każda kobieta potrzebuje: odrobinę romantyzmu. Namiętność niszczy kobietę i nic dobrego z niej nie wynika, natomiast romantyczną historię można zasuszyć niby kwiat lawendy i wspominać przez wiele lat. Znam ludzką naturę, chłopcze, i wiem, że kobieta może się karmić czymś takim przez długi czas.

Odchrząknął.

— Bardzo dobrze wywiązaliśmy się ze zlecenia pani Packington.

— No cóż, mnie się to nie podobało — mruknął Claude, po czym wyszedł z pokoju.

Pan Parker Pyne wyjął nową teczkę z szuflady i napisał na karcie: “Interesujące objawy wyrzutów sumienia u zatwardziałego zigoraka. Uwaga: Do dalszych obserwacji”.

Sprawa niezadowolonego żołnierza

Major Wilbraham zawahał się pod drzwiami biura pana Parkera Pyne'a i po raz kolejny przeczytał ogłoszenie z porannej gazety, które go tutaj przywiodło. Treść była bardzo prosta:

OSOBISTE

JESTEŚ SZCZĘŚLIWY? JEŻELI NIE, TO ZASIĘGNIJ RADY PANA PARKERA PYNE'A, 17 RICHMOND STREET.

Major wziął głęboki wdech i dał nura w drzwi wahadłowe prowadzące do poczekalni. Młoda brzydula uniosła wzrok znad maszyny do pisania i spojrzała na niego pytająco.

— Do pana Parkera Pyne'a — powiedział major Wilbraham oblewając się rumieńcem.

— Proszę za mną.

Zaprowadziła go przed oblicze samego pana Pyne'a, który przywitał go uprzejmie.

— Dzień dobry. Proszę usiąść i powiedzieć, co mogę dla pana zrobić.

— Nazywam się Wilbraham... — zaczął gość.

— Major czy pułkownik? — zapytał pan Pyne.

— Major.

— Aha. I niedawno wrócił pan z zagranicy? Z Indii? Z Afryki Wschodniej?

— Z Afryki Wschodniej.

— To na pewno piękny kraj. No więc wrócił pan do domu i nie może się pan tu odnaleźć? Mam rację?

— Absolutną. Ale skąd pan... Parker Pyne niedbale machnął ręką.

— Na tym polega moja praca. Widzi pan, przez trzydzieści pięć lat mojego życia zajmowałem się opracowywaniem danych statystycznych dla pewnego biura rządowego. Teraz przeszedłem na emeryturę, postanowiłem więc wykorzystać zdobyte doświadczenia w zupełnie nowatorski sposób. Sprawa jest banalnie prosta. Nieszczęścia można zaklasyfikować raptem do pięciu różnych kategorii,

zapewniam pana, że tyle wystarczy. A kiedy zna się już przyczynę choroby, można znaleźć lekarstwo. Ja występuję w roli lekarza, który najpierw stawia diagnozę, a następnie zaleca odpowiednią terapię. Bywają przypadki, w których żadne lekarstwo nie skutkuje. Wtedy mówię szczerze, że nic nie jestem w stanie zrobić. Ale zaręczam, że jeśli podejmę się zadania, ozdrowienie jest gwarantowane. Może mi pan wierzyć, że dziewięćdziesiąt sześć procent emerytowanych budowniczych imperium, jak ich nazywam, to ludzie nieszczęśliwi. Zamienili aktywne życie, pełne odpowiedzialności i niebezpieczeństw, na... no właśnie, na co? Skromne dochody, ponury klimat i sytuację, w której czują się niczym ryby wyjęte z wody.

— Wszystko, co pan powiedział, jest prawdą — zgodził się major. — Najbardziej przeszkadza mi nuda. Nuda i bezustanne głędzenie na temat drobiazgów z życia naszego miasteczka. Ale co mogę na to poradzić? Mam trochę pieniędzy oprócz emerytury. Mam też miły domek w pobliżu Cobham. Ale nie mogę sobie pozwolić na polowanie czy łowienie ryb. Nic jestem żonaty. Moi sąsiedzi to sympatyczni ludzie, lecz nie mają zielonego pojęcia o świecie.

— Krótko mówiąc, takie życie mierzi pana — podsumował Pyne.

— Koszmarnie.

— Potrzebuje pan podniet, może nawet niebezpieczeństwa?

Żołnierz wzruszył ramionami.

— Nic takiego nie istnieje w tym sennym kraju.

— Pan wybaczy — zaproponował Parker Pyne poważnym tonem — ale tu się pan myli. Istnieje mnóstwo niebezpieczeństw i mnóstwo podniet tutaj w Londynie, oczywiście jeśli wie pan, gdzie szukać. Widział pan tylko fasadę naszego angielskiego życia, spokojną i przyjemną. Ale istnieje też inna strona. Jeżeli ma pan ochotę, mogę ją panu pokazać.

Major Wilbraham przyglądał mu się z namysłem. Pan Pyne miał w sobie coś dodającego otuchy. Był mężczyzną potężnie zbudowanym, żeby nie powiedzieć grubym. Miał zupełnie łysą głowę o szlachetnych proporcjach, silne okulary i małe błyszczące oczka. Otaczała go aura niezawodności.

— Powinienem pana ostrzec — dodał — że jest w tym pewien element ryzyka.

Oczy żołnierza zabłyśły.

— Nie ma sprawy — odpowiedział, po czym nagle spytał: — A ile pan sobie liczy?

— Opłata wynosi pięćdziesiąt funtów, płatne z góry. Jeżeli po upływie miesiąca nadal będzie pan równie znudzony, zwrócę panu pieniądze.

Wilbraham rozważył propozycję.

— W porządku — stwierdził w końcu. — Zgadza się. Dam panu czek od razu.

Transakcja została zawarta i pan Pyne nacisnął brzączyk na biurku.

— Jest już pierwsza — powiedział. — Chciałbym, żeby zaprosił pan na lunch pewną młodą damę.

Otworzyły się drzwi.

— Ach, Madeleine, moja droga, pozwól, że ci przedstawię majora Wilbrahama, który zje z tobą lunch.

Oszołomiony major z niedowierzaniem zamrugął oczami, czemu wcale nie należy się dziwić. Dziewczyna, która leniwym krokiem weszła do gabinetu, miała ciemne włosy, przepiękne oczy otoczone długimi czarnymi rzęsami, nieskazitelną cerę oraz zmysłowe purpurowe usta. Elegancki strój podkreślał doskonałe ciało, poruszające się z niebywałą gracją. Od stóp do głów była absolutnie doskonała.

— Eee... jestem zaszczycony — wydukał major.

— Panna de Sara — dokończył prezentacji pan Parker.

— Jak to miło z pana strony — wymruczała Madeleine de Sara.

— Jeszcze tylko zapiszę pański adres — powiedział pan Pyne. — Jutro rano otrzyma pan dalsze instrukcje.

Major Wilbraham wyszedł z uroczą Madeleine.

Panna de Sara wróciła o trzeciej.

— I co? — zapytał natychmiast Parker Pyne.

Madeleine pokręciła głową.

— Boi się mnie — odrzekła. — Uważa mnie za wampa.

— Tak też myślałem — stwierdził Pyne.

— Zastosowałaś się do moich poleceń?

— Tak. Plotkowaliśmy o wszystkich gościach przy pozostałych stolikach. W jego typie są panny jasnowłose, niebieskookie, lekko anemiczne i nie za wysokie.

— To powinno być łatwe — uznał. — Wprowadzimy plan B i sprawdzimy, kogo mamy aktualnie na składzie.

Przesunął palcem po liście, zatrzymując się w końcu przy jakimś nazwisku.

— Freda Clegg. Tak, myślę, że ona się nadaje wprost idealnie. Muszę to jeszcze przedyskutować z panią Oliver.

Następnego dnia major Wilbraham otrzymał liścik następującej treści:

W następny poniedziałek o jedenastej proszę się udać do willi “Eaglemont” przy Friars Lane w Harnpstead i zapytać o pana Jonesa. Proszę się przedstawić jako przedstawiciel Kompanii Okrętowej Guava.

W poniedziałek, w który wypadło akurat święto państwowe, major posłusznie wyruszył do domu przy Friars Lanc. Wyruszył, jak powiedzieliśmy, ale nigdy tam nie dotarł, gdyż przeszkodziło mu w tym pewne wydarzenie.

Wyglądało na to, że cały świat wybiera się do Hampstead. Major Wilbraham zagubił się w tłumie, podduśił w metrze i zabłądził w labiryncie ulic, aż wreszcie z wielkim trudem ustalił położenie Friars Lane.

Była to ślepa uliczka, zaniedbana i zryta koleinami. Stojące po obu jej stronach domy, które bez wątpienia pamiętały lepsze czasy, z wolna popadały w ruinę.

Major szedł wzdłuż ulicy przyglądając się na wpół zatartym tabliczkom z nazwami, gdy nagle usłyszał niepokojący dźwięk, który brzmiał niczym zduszony, zdławiony krzyk.

Krzyk rozległ się ponownie, lecz tym razem dało się dosłyszeć, że ktoś wzywa pomocy. Wołanie dochodziło z za muru otaczającego dom, który major właśnie mijał.

Bez chwili wahania pchnął rozklekotaną furtkę i cicho pobiegł zarośniętą chwastami ścieżką. Nagle w zaroślach ujrzał dziewczynę zmagającą się z dwoma potężnymi Murzynami. Walczyła dzielnie, wykręcając się, szarpiąc i kopiając. Mimo rozpaczliwych wysiłków, żeby uwolnić głowę, jeden z napastników zatykał jej usta dłonią.

Zajęci poskramianiem dziewczyny bandyci nie zauważyli Wilbrahama. Uświadomili sobie jego obecność dopiero w chwili, gdy jednym silnym uderzeniem w szczękę powalił na ziemię tego, który zasłaniał dziewczynie usta. Drugi, równie zaskoczony, uwolnił ofiarę i odwrócił się. Wilbraham był już gotów do walki. Raz jeszcze puścił pięści w ruch, a Murzyn zatoczył się do tyłu i upadł. Major natychmiast zwrócił się w stronę drugiego napastnika, który skradał się za jego plecami.

Ale łobuzy miały już dosyć. Ten, który leżał, przetoczył się na brzuch, a porem wstał i rzucił się pędem w stronę furtki. Jego kompan bezzwłocznie zrobił to samo. Wilbraham ruszył w pogoń, ale zmienił zdanie i wrócił do dziewczyny, która stała oparta o drzewo ciężko oddychając.

— Och, dziękuję panu! — jęknęła. — To było straszne. Major Wilbraham dopiero teraz miał sposobność przyjrzeć się dziewczynie, której szczęśliwym trafem mógł pospieszyć na ratunek.

Okazało się, że ma około dwudziestu jeden lub dwóch lat, jest jasnowłosa i błękitnooka, całkiem ładna, choć raczej bezbarwna.

— Och, gdyby nie pan... — dodała.

— No już dobrze, już dobrze — powiedział major uspokajającym tonem. — Już wszystko w porządku. Choć chyba mądrzej zrobimy, jeśli sobie stąd pójdziemy. Istnieje możliwość, że ci bandyci wrócą.

Błady uśmiech wypłynął na wargi dziewczyny.

— Nie wydaje mi się, nie po tym, jak pan ich urządził. Och, był pan wspaniały!

Major Wilbraham zarumienił się pod jej ciepłym, pełnym podziwu spojrzeniem.

— Drobiazg — bąknął niewyraźnie. — Normalna rzecz, gdy dama znajdzie się w opałach. Czy jeśli podam pani ramię, będzie pani w stanie iść? Wiem, że przeżyła pani ogromny wstrząs.

— Już doszłam do siebie — zapewniła go dziewczyna, lecz mimo to przyjęła oferowane jej ramię. Nadal była trochę roztrzęsiona. Kiedy przechodzili przez furtkę zerknęła przez ramię w stronę budynku. — Nic z tego nie rozumiem — mruknęła. — Ten dom bez wątpienia jest nie zamieszkały.

— To prawda — zgodził się major, patrząc na zamknięte okiennice i zaniedbany ogród.

— A jednak to “Whitefriars” — wskazała na ledwo czytelny napis na bramce. — A tu właśnie miałam przyjść.

— Proszę się o nic teraz nic martwić — rzekł Wilbraham. — Za minutkę złapiemy taksówkę i pojedziemy gdzieś napić się kawy.

Dotarli do bardziej uczęszczanej ulicy, gdzie szczęśliwym zbiegiem okoliczności pod jednym z domów taksówka właśnie skończyła kurs. Wilbraham zamachał dłonią, podał kierowcy adres, po czym wsiedli do samochodu.

— Proszę się starać nic nie mówić — polecił swojej towarzyszce. — Niech się pani wygodnie oprze. Ma pani za sobą bardzo przykre przeżycie.

Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

— A tak przy okazji... ehm... nazywam się Wilbraham.

— A ja Clegg, Freda Clegg.

Dziesięć minut później Freda popijała gorącą kawę i z wdzięcznością wpatrywała się w swojego wybawcę siedzącego po drugiej stronie małego stolika.

— Wydaje mi się, że to był sen — powiedziała. — Zły sen — zadrzała. — A ledwie chwilę

wcześniej marzyłam o tym, żeby coś się wreszcie wydarzyło. Cokolwiek! Och, chyba jednak nie lubię przygód.

— Proszę mi opowiedzieć, jak to się stało.

— Cóż, obawiam się, że najpierw będę musiała opowiedzieć panu trochę o sobie.

— Cudowny temat — odparł Wilbraham szarmancko.

— Jestem sierotą. Mój ojciec, który był kapitanem statku, zmarł, gdy miałam osiem lat. Mama umarła trzy lata temu. Pracuję w City. Jestem urzędniczką w firmie gazowniczej. W zeszłym tygodniu, gdy wróciłam wieczorem do domu, zastałam tam czekającego na mnie dżentelmena. Przedstawił się jako prawnik, niejaki pan Reid z Melbourne. Zachowywał się bardzo uprzejmie i zadał mi kilka pytań na temat rodziny. Wyjaśnił, że wiele lat temu był znajomym mojego ojca. Zdaje się, że załatwiał dla niego jakieś sprawy prawne. Następnie wyjawiał mi cel swojej wizyty.

“Panno Clegg — powiedział — mam powody przypuszczać, że może odnieść pani korzyści finansowe z transakcji, którą pani ojciec zawarł kilka lat przed śmiercią”. Oczywiście bardzo się zdziwiłam.

“Zapewne nigdy nic pani nie słyszała o tej sprawie — wyjaśnił. — Wydaje mi się, że John Clegg nigdy nie traktował jej poważnie. W każdym razie całe przedsięwzięcie dosyć nieoczekiwanie okazało się intratne, lecz niestety wszelkie roszczenia, jakie mogłaby pani zgłosić, zależą od tego, czy jest pani w posiadaniu pewnych dokumentów. Musiały one znajdować się wśród papierów pani ojca i jest oczywiście możliwe, że ktoś je zniszczył, myśląc, iż są zupełnie bezwartościowe. Czy zachowała pani jakieś dokumenty po swoim ojcu?”

Odpowiedziałam mu, że matka przechowywała różne rzeczy po ojcu w starym kufierku żeglarskim. Przejrzałam pobieżnie jego zawartość, ale nie trafiłam na nic ciekawego.

“A może nic zdawała sobie pani sprawy ze znaczenia tych papierów” — zasugerował z uśmiechem.

Wróciłam więc do kufra, wyjęłam tych kilka dokumentów, które się w nim znajdowały, i przyniosłam mu je. Niestety uznał, że nie potrafi tak na pierwszy rzut oka stwierdzić, czy mają jakiś związek z daną sprawą. Powiedział, że chętnie je zabierze i skontaktuje się ze mną, jeśli na coś trafi.

Ostatnią pocztą w sobotę otrzymałam list, w którym proponował, żebyśmy się spotkali i przedyskutowali sprawę. Podał adres: “Whitefriars”, Friars Lane, Hampstead. Miałam tam być za kwadrans jedenasta dziś rano.

Trochę się spóźniłam, bo nie mogłam znaleźć tego domu. Otworzyłam furtkę i pospiesznie mszyłam alejką, gdy nagle te dwa potwory wyskoczyły na mnie z krzaków. Nic zdążyłam nawet krzyknąć, bo jeden z nich zasłonił mi usta dłonią. Wykręciłam głowę i udało mi się zawołać o pomoc. Na szczęście pan mnie usłyszał. Gdyby nie pan... — zamilkła. Jej spojrzenie było bardziej wymowne niż jakiegokolwiek słowa.

— Cieszę się bardzo, że znalazłem się w pobliżu. Na Boga, chciałbym dostać tych brutali w swoje ręce. Przypuszczam, że nic widziała ich pani nigdy wcześniej?

Pokręciła przecząco głową.

— Jak pan myśli, o co w tym wszystkim chodzi?

— Trudno powiedzieć. Ale jedno wydaje się pewne. Ktoś szuka czegoś w papierach pani ojca. Ten cały Reid uraczył panią jakimiś bajkami, żeby je od pani wydobyć, lecz najwyraźniej nic znalazł wśród nich tego, czego potrzebuje.

— Och! — wykrzyknęła Freda. — To ciekawe. Kiedy wróciłam do domu w sobotę, odniosłam wrażenie, że ktoś grzebał w moich rzeczach. Prawdę mówiąc, podejrzewałam, iż to gospodyni szperała mi w pokoju z ciekawości. Ale teraz...

— Nie ma co do tego wątpliwości. Ktoś dostał się do pani pokoju i przeszukał go, ale nie znalazł tego, czym się interesuje. Uznał, że zna pani wartość tego dokumentu i że nosi go przy sobie. Zaplanował więc pułapkę. Gdyby miara pani papier przy sobie, zabrano by go pani. W przeciwnym wypadku uwięziono by panią, żeby wyciągnąć z pani informację, gdzie go pani ukryła.

— Ale co to może być? — wykrzyknęła Freda.

— Nie wiem. Ale musi to mieć dla niego sporą wartość, skoro posunął się tak daleko.

— To raczej niemożliwe.

— No, nie wiem. Pani ojciec był marynarzem. Bywał w różnych odległych miejscach. Mógł natknąć się na coś, z wartości czego nie zdawał sobie sprawy.

— Naprawdę tak pan uważa? — Delikatny rumieniec podniecenia wykwitł na białych policzkach dziewczyny.

— Naprawdę. Pytanie brzmi: co zrobimy teraz? Przypuszczam, że, nie chce pani iść na policję?

— Och, nie, proszę.

— Cieszę się. Policja i tak by nic nie poradziła, a pani miałaby same nieprzyjemności. Proponuję, żeby pozwoliła się pani zaprosić na lunch, a następnie odprowadzę panią do domu, żeby się upewnić, iż dotarła tam pani bezpiecznie. Potem możemy poszukać tego dokumentu. Bo on przecież gdzieś musi być.

— Ojciec mógł go zniszczyć.

— Istotnie, mógł, ale nasz przeciwnik oczywiście jest innego zdania, co daje nam pewną nadzieję.

— Jak pan myśli, co to może być? Ukryty skarb?

— Na Boga, to możliwe! — wykrzyknął uradowany major Wilbraham, w którym odezwała się natura małego chłopca. — Ale teraz, panno Clegg, jedźmy!

Bardzo przyjemnie spędzili czas przy posiłku. Wilbraham opowiedział Fredzie o swoim życiu w Afryce Wschodniej. Ze swadą opisywał polowania na słonie, a dziewczyna słuchała go z zapartym tchem. Kiedy już zjedli, uparł się, że odwiezie ją do domu taksówką.

Jej mieszkanie znajdowało się niedaleko Notting Hill Gate. Po przyjeździe Freda zamieniła kilka słów z gospodynią, a potem wróciła do Wilbrahama i zaprowadziła go na drugie piętro, gdzie znajdowała się jej malutka sypialenka i salonik.

— Dokładnie tak, jak podejrzewaliśmy — powiedziała. — W sobotę rano przyszedł jakiś mężczyzna w sprawie nowego kabla elektrycznego. Wyjaśnił gospodyni, że instalacja w moim pokoju jest wadliwa. Przebywał tam dłuższy czas.

— Niech mi pani pokaże ten kuferek — poprosił major.

Freda wskazała na skrzynkę obitą mosiężnymi pasami.

— Widzi pan — powiedziała unosząc wieko — jest pusty.

Żołnierz z namysłem pokiwał głową.

— I nigdzie indziej nie ma pani żadnych papierów?

— Na pewno nie. Mama wszystko trzymała tutaj. Wilbraham dokładnie przyjrzał się wnętrzu kufra.

Nagle wykrzyknął:

— W okładzinie jest jakieś nacięcie — ostrożnie wsunął w nie dłoń, delikatnie poruszając palcami. Usłyszeli szelest papieru. — Coś tu wpadło pod spód.

Po chwili wyciągnął swoje znalezisko: kawałek brudnego, kilkakrotnie złożonego papieru. Rozłożył go na stole. Freda zajrzała mu przez ramię i jęknęła rozczarowana.

— To tylko jakieś dziwaczne znaki.

— Ależ to jest w suahili! Akurat suahili, niewiarygodne! — wykrzyknął major. — To dialekt z Afryki Wschodniej.

— Niesamowite! — zawtórowała mu Freda. — Więc pan potrafi to przeczytać?

— Owszem. Zdumiewający zbieg okoliczności — podszedł z papierem do okna.

— Jest tam coś? — zapytała dziewczyna z drżeniem w głosie.

Wilbraham przeczytał tekst dwukrotnie i wrócił do niej. Odezwał się ze śmiechem:

— No i ma pani swój ukryty skarb!

— Ukryty skarb? Naprawdę? To znaczy hiszpańskie złoto, zatopiony galeon, coś w tym rodzaju?

— Sprawa nie jest może aż tak romantyczna, ale oznacza to samo. Są tu wskazówki, jak dotrzeć do miejsca, w którym ukryto kość słoniową.

— Kość słoniową? — powtórzyła zdumiona dziewczyna.

— Tak. Istnieje przepis określający, jaką liczbę słoni można upolować. Najwyraźniej jakiś myśliwy pogwałcił to prawo na ogromną skalę. Trafiono na jego ślad, a on ukrył cały swój łup. Jest tego kolosalna ilość, a tutaj opisano, jak znaleźć kryjówkę. Będziemy musieli jej poszukać.

— To znaczy, że to jest warte dużo pieniędzy?

— Zdobędzie pani całkiem niezłą fortunę.

— Ale jak ten dokument znalazł się wśród rzeczy mojego ojca?

Wilbraham wzruszył ramionami.

— Może ten myśliwy umierał albo co. Mógł to zapisać w suahili dla bezpieczeństwa i dać pani ojcu, który pewnie był jego przyjacielem. A ojciec nie potrafił przeczytać wskazówek, więc nie przywiązywał do nich żadnej wagi. To tylko moje przypuszczenia, ale założę się, że nie odbiegają za bardzo od prawdy.

Freda westchnęła głośno.

— Jakież to wszystko ekscytujące!

— Problem w tym, co zrobić z cennym dokumentem — zasepił się major. — Nie podoba mi się pomysł, żeby go tutaj zostawiać. Ci ludzie mogą wrócić i go znaleźć. Przypuszczam, że nie zechciałaby pani powierzyć go mnie.

— Ależ naturalnie. Tylko czy to nie byłoby dla pana niebezpieczne? — zawahała się.

— Twarda ze mnie sztuka — oświadczył Wilbraham ponuro. — Proszę się o mnie nie martwić.

Złożył kartkę i wsunął ją do portfela.

— Czy mogę panią odwiedzić jutro wieczorem? — spytał. — Do tej pory obmyślę jakiś plan działania i sprawdzę te miejsca na mapie. O której wraca pani z pracy?

— Około pół do siódmej.

— Świetnie. Naradzimy się, a potem może pójdziemy gdzieś na kolację. Musimy to uczcić. Zatem do zobaczenia. Jutro wpół do siódmej.

Następnego dnia major Wilbraham punktualnie stawił się na spotkanie. Zadzwoił do drzwi i spytał o pannę Clegg. Służąca, która otworzyła mu drzwi, odpowiedziała:

— Panny Clegg nie ma.

— Och! — major nie śmiał zapytać, czy może poczekać w środku. — W takim razie przyjdę jeszcze raz za moment.

Zaczął się przechadzać po drugiej stronie ulicy, w każdej chwili spodziewając się, że ujrzy Fredę zmierzającą w jego kierunku. Czas upływał. Zrobiła się za kwadrans siódma. Siódma. Kwadrans po siódmej. Fredy nadal nie było. Majora ogarnął niepokój. Wrócił pod dom i ponownie zadzwonił do drzwi.

— Byłem umówiony z panną Clegg — wyjaśnił służącej — na pół do siódmej. Czy jesteś pewna, że nie ma jej w domu albo że nie zostawiła dla mnie żadnej wiadomości?

— Czy pan major Wilbraham? — zapytała dziewczyna.

— Tak.

— Mam dla pana liścik. Posłaniec go przyniósł.

Drogi panie majorze, wydarzyło się coś bardzo dziwnego. Nie mogę teraz więcej pisać, ale gdyby zechciał pan spotkać się ze mną w “Whitefriars”, to proszę udać się tam, kiedy tylko otrzyma pan tę wiadomość.

Z poważaniem

Freda Clegg

Wilbraham, myśląc intensywnie, ściągnął brwi. Po chwili wyjął z kieszeni list do swojego krawca.

— Czy mogłabyś postarać się o znaczek? — zapytał służącą.

— Myślę, że pani Parkins będzie mogła panu pomóc. Wróciła po chwili ze znaczkiem, za który major zapłacił szylinga. Chwilę później ruszył w stronę stacji metra, po drodze wrzucając list do skrzynki.

Wiadomość od Fredy zaniepokoiła go. Co mogło skłonić dziewczynę, żeby samotnie wróciła na miejsce wczorajszych przykrych wydarzeń?

Pokręcił głową. Co za brak rozwagi! A może Reid znowu się pojawił? Czyżby w jakiś sposób skłonił dziewczynę, żeby mu zaufała? Co ją zwabiło do Hampstead?

Spojrzał na zegarek. Dochodziła siódma trzydzięci. Freda liczyła pewnie, że wyruszy do niej pół do siódmej. Godzina opóźnienia. Za dużo. Gdyby tylko dała mu jakąś wskazówkę.

Ten liścik bardzo go niepokoił. Jego niezależny ton jakoś nie pasował do Fredy Clegg.

Do Friars Lane dotarł za dziesięć ósma. Zaczęło już się ściemniać. Rozejrzał się bacznie wokół, ale nikogo nie było w zasięgu wzroku. Łagodnie popchnął rozklekotaną furtkę tak, by zawiasy nie zaskrzypiały. Ścieżka była pusta, a dom ciemny. Ostrożnie ruszył w jego kierunku, rozglądając się na wszystkie strony. Nie chciał, żeby ktoś go zaskoczył.

Nagle stanął jak wryty. Przez sekundę w szczelinie jednej z okiennic widać było światło. Zatem dom nie był pusty, ktoś znajdował się wewnątrz.

Wilbraham cicho wsunął się między krzaki i przedarł się na tył budynku. W końcu znalazł to, czego szukał. Okno na parterze, prowadzące do czegoś w rodzaju zmywalni, nie było zamknięte. Major przesunął dolną jego część do góry, poświecił latarką (którą kupił po drodze) po opustoszałym wnętrzu i wślizgnął się do środka.

Ostrożnie otworzył drzwi. Nic nie było słychać. Znowu zapalił latarkę: kuchnia, pusta. Za nią znajdowało się kilka schodów, a na ich szczycie drzwi, niewątpliwie prowadzące do frontowej części domu.

Popchnął je i zamarł nasłuchując. Nic. Prześlizgnął się na drugą stronę. Znajdował się teraz w głównym holu. Nadal ani dźwięku. Po obu stronach zauważył drzwi. Wybrał te po prawej, chwilę nasłuchiwał, po czym przekręcił gałkę. Ustąpiła. Powolotku otworzył drzwi i wsunął się do środka.

Znów omiół pomieszczenie światłem latarki. Pokój był pusty i nie umeblowany.

Nagle usłyszał za sobą jakiś dźwięk i okręcił się na pięcie... za późno. Poczł uderzenie w głowę i runął prosto w ciemność.

Nie miał pojęcia, ile czasu minęło, zanim odzyskał przytomność. Głowę rozsadał mu nieznośny ból. Spróbował się poruszyć, ale okazało się to niemożliwe. Był związany.

I nagle wróciła mu pamięć. Przypomniał sobie, że ktoś uderzył go w głowę.

W nikłym świetle lampy gazowej umieszczonej wysoko pod sufitem zdołał się zorientować, że znajduje się w małej piwnicy. Rozejrzał się wokół i serce mu podskoczyło. Niedaleko leżała Freda, związana tak jak on. Przyjrzał się jej z niepokojem, gdyż oczy miała zamknięte, lecz wtem westchnęła i uniosła powieki. Spojrzała na niego ze zdumieniem, a jej twarz rozjaśniła się z radości.

— Pan tutaj! — zawołała. — Co się stało?

— Okrutnie panią zawiodłem — wyznał Wilbraham.

— Wpadłem prosto w zasadzkę. Czy pani przysłała mi liścik z prośbą, żebym tutaj przyszedł?

Dziewczyna ze zdumieniem szeroko otworzyła oczy.

— Ja? Przecież to pan mi przysłał taki liścik.

— Och, jak to?

— No tak. Do mojego biura. Prosił pan, żebyśmy spotkali się tutaj, a nie w domu.

— Nieźle nas nabrali — jęknął i wyjaśnił jej, co się stało.

— Rozumiem — powiedziała Freda. — Zatem chodziło o to...

— ...żeby zdobyć dokument. Ktoś musiał nas wczoraj śledzić i w ten sposób dotarli do mnie.

— I zdobyli go? — zaniepokoiła się dziewczyna.

— Niestety, nic mogę tego sprawdzić — odrzekł żołnierz, ponuro patrząc na swoje związane ręce.

Nagle oboje podskoczyli ze strachu, gdyż usłyszeli jakiś głos, który zdawał się dochodzić znikąd.

— Owszem, dziękuję panu. Mam dokument, bez żadnych wątpliwości.

Głos niewidocznej osoby przyprawił ich oboje o dreszcz.

— To Reid — szepnęła Freda.

— Reid to tylko jedno z moich nazwisk, młoda damo — mówił głos. — Jedno z wielu, a mam ich doprawdy sporo. Niestety, wy dwoje próbowaliście pokrzyżować moje plany, co jest rzeczą niewybaczalną. Niepokoi mnie również fakt, że wiecie o istnieniu tego domu. Jeszcze nic powiedzieliście o nim policji, ale moglibyście to zrobić w przyszłości. Mam poważne obawy, że nie powinienem wam ufać w tym względzie. Moglibyście dać słowo, ale ludzie rzadko go dotrzymują. A ten dom jest dla mnie bardzo przydatny. Stanowi coś w rodzaju drogi ewakuacyjnej, z której nie ma już powrotu. Stąd ewakuuje się ludzi... gdzie indziej. I wy, przykro mi o tym mówić, tam właśnie się wybieracie. Smutne, ale konieczne.

Głos zamilkł na chwilę, po czym podjął:

— Nie będzie żadnego rozlewu krwi. Brzydę się tym. Mój sposób jest o wiele prostszy. I z tego, co wiem, chyba niezbyt bolesny. No cóż, na mnie już czas. Życzę wam miłego wieczoru.

— Hej, słuchaj! — zawołał Wilbraham. — Ze mną zrób, co zechcesz, ale ta młoda dama niczym nie zawiniła. Niczym. Nic ci się nie stanie, jeśli ją wypuścisz.

Ale nie było odpowiedzi.

W tym momencie rozległ się krzyk Fredy:

— Woda! Woda!

Wilbraham obrócił się z wysiłkiem i spojrział w tym samym kierunku co ona. Z dziury pod sufitem nieprzerwanym strumieniem lała się woda.

— On chce nas utopić! — wrzasnęła histerycznie dziewczyna.

Nad brwiami majora pojawiły się kropelki potu.

— Jeszcze nie zginęliśmy — powiedział. — Będziemy wołać o pomoc. Na pewno ktoś nas usłyszy. Teraz, razem!

Wołali i krzyczeli z całych sił, dopóki całkiem nie ochrypli.

— Nic z tego — smutno stwierdził major. — Jesteśmy zbyt głęboko pod ziemią, a drzwi są pewnie dźwiękoszczelne. W końcu gdyby istniała możliwość, że ktoś nas usłyszy, ten bydlak na pewno by nas zakneblował.

— Och — jęknęła Freda. — Wszystko to moja wina. Ja pana w to wciągnęłam.

— Nie martw się tym teraz, maleńka. To o ciebie się boję. Już bywałam w gorszych tarapatach i zawsze udawało mi się ująć z życiem. Nie trać otuchy. Wydostanę cię stąd. Mamy mnóstwo czasu. Jeśli woda nadal będzie się lała w takim tempie, to upłynie jeszcze wiele godzin, zanim nastąpi najgorsze.

— Jaki pan cudowny! — westchnęła Freda. — Nigdy nie spotkałam nikogo takiego jak pan... chyba w książkach.

— Nonsens. Ja tylko kieruję się zdrowym rozsądkiem. A teraz muszę poluzować te piekielne sznury.

Po blisko kwadransie szamotania się i wykręcania Wilbraham stwierdził, że więzy dostatecznie się oblużowały. Udało mu się na tyle pochylić głowę i unieść dłonie, żeby zaatakować węzeł zębami.

Kiedy już uwolnił ręce, reszta była tylko kwestią czasu. Zesztywniały i obolały, ale za to wolny, pochylił się nad swoją towarzyszką. Minutę później ona też była wolna.

Na razie woda sięgała im ledwie do kostek.

— A teraz — zarządził żołnierz — wynośmy się stąd.

Pokonawszy kilka schodków stanęli przed drzwiami do piwnicy. Major obejrzał je dokładnie.

— Nie będzie z nimi żadnych kłopotów — uznał. — Licha robota. Szybko puszczą przy zawiasach.

Z całej siły naparł na nic ramieniem.

Rozległ się trzask pękającego drewna i drzwi wypadły z zawiasów.

Za nimi znajdowały się schody, a na ich szczycie kolejne drzwi, tym razem zupełnie inne — z solidnych desek okutych metalem.

— To już gorsza sprawa — uznał Wilbraham. — O, ale mamy szczęście. Nie są zamknięte.

Popchnął drzwi, rozejrzał się i gestem nakazał dziewczynie, żeby szła za nim. Znaleźli się w korytarzyku prowadzącym do kuchni. Po chwili stali już pod rozgwieżdżonym niebem na Friars Lane.

— Och! — Freda załkała cichutko. — To było straszne!

— Moje biedne kochanie — major wziął ją w ramiona. — Byłaś taka dzielna. Fredo, aniołku mój, czy mogłabyś... czy zechciałabyś... Ech, kocham cię. Czy zostaniesz moją żoną?

Po stosownej przerwie, bardzo satysfakcjonującej dla obu stron, Wilbraham powiedział ze śmiechem:

— A poza tym tajemnica składu kości słoniowej nadal jest w naszych rękach.

— Ale przecież zabrali ci ten dokument! Major znowu zachichotał.

— A właśnie, że nie! Widzisz, zrobiłem lipną kopię, zanim tu dziś do ciebie dołączyłem, a prawdziwy dokument wsadziłem do koperty i wysłałem na adres mojego krawca. Dostali fałszywy plan i życzą im z tego powodu dużo radości. Wiesz, co zrobimy, kochanie? Miesiąc miodowy spędzimy w Afryce Wschodniej i odnajdziemy nasz skarb.

Pan Parker Pyne wyszedł ze swojego gabinetu i pokonał dwie kondygnacje schodów. W pokoju na ostatnim piętrze budynku siedziała pani Oliver, autorka powieści sensacyjnych, a teraz również należąca do personelu pana Pyne'a.

Zastukał do drzwi i wszedł. Pisarka siedziała przy stole, na którym znajdowała się maszyna do pisania, kilka notatników, sterta pomieszanych rękopisów oraz wielka torba jabłek.

— Bardzo dobra historia, pani Oliver — pochwalił ją uprzejmie.

— Wszystko się udało? — zapytała. — No, to się cieszę.

— Tylko ta woda w piwnicy — westchnął detektyw. — Czy w przyszłości nie mogłaby pani wymyślić czegoś bardziej oryginalnego? — zasugerował nieśmiało.

Pani Oliver pokręciła głową i wyjęła jabłko z torby.

— Raczej nie. Widzi pan, ludzie czytują o takich rzeczach. Woda zalewająca piwnicę, trujący gaz i tak dalej. Fakt, że się o tym słyszało wcześniej, budzi dodatkowy dreszczyk, kiedy coś takiego

przytrafia się nam samym. Ludzie są konserwatywni, proszę pana. Lubią stare, wysłużone chwytły.

— No cóż, pani na pewno zna się na tym lepiej — przyznał Pyne, mając na względzie czterdzieści sześć odnoszących sukcesy powieści jej autorstwa, bestsellerów w Anglii i Ameryce, przetłumaczonych na francuski, niemiecki, włoski, węgierski, fiński, japoński oraz abisyński. — A jak się przedstawiają nasze koszta?

Pani Oliver przysunęła do siebie jakąś kartkę.

— W sumie bardzo umiarkowanie. Dwaj ciemnoskórzy, Percy i Jerry, chcieli niewiele. Młody Lorrimer, aktor, wziął za rolę pana Reida pięć gwinei. Monolog w piwnicy był oczywiście puszczone z płyty gramofonowej.

— “Whitefriars” okazało się niezwykle przydatne — stwierdził pan Pyne. — Kupiłem je za grosze, a było już sceną jedenastu ekscytujących dramatów.

— Och, byłabym zapomniała — powiedziała pani Oliver. — Jeszcze płaca Johnny’ego. Pięć szylingów.

— Jakiego Johnny’ego?

— Chłopaka, który konewkami wlewał wodę przez dziurę w ścianie.

— Ach tak. A na marginesie, skąd zna pani suahili?

— Nie znam. — Rozumiem. Czyli Muzeum Brytyjskie?

— Nie. Biuro Informacji Delfridge’a.

— Współczesny handel dysponuje cudownymi źródłami informacji — mruknął.

— Martwi mnie jedynie — dodała pisarka — że ci młodzi ludzie nie znajdą żadnego magazynu z kością słoniową.

— Nie można mieć wszystkiego — zmitygował ją pan Pyne. — Będą za to mieli miesiąc miodowy.

Pani Wilbraham siedziała na leżaku. Jej mąż pisał list.

— Który to dzisiaj, Fredo?

— Szesnasty.

— A niech to, szesnasty?

— Co się stało, kochanie?

— Nic takiego. Przypomniałem sobie tylko pewnego faceta o nazwisku Jones.

Nawet najszcześliwsi małżonkowie mają przed sobą pewne sekrety.

Do licha — pomyślał major — powinienem tam pójść i zażądać zwrotu pieniędzy. Jednakże, jako że był człowiekiem sprawiedliwym, spojrział na sprawę z innego punktu widzenia. W końcu to ja zerwałem umowę. Pewnie gdybym poszedł na spotkanie z Jonesem, coś by się wydarzyło. Ponadto, gdybym nie szukał Jonesa, to nie usłyszałbym, jak Freda woła o pomoc i nigdy byśmy się nie spotkali. Zatem, choć .nic bezpośrednio,, może mają prawo do tych pięćdziesięciu funtów!

Myśli pani Wilbraham biegły podobnym torem. Ależ byłam głuptasem, że uwierzyłam w to ogłoszenie i zapłaciłam tym ludziom aż trzy gwinee. Oczywiście nawet palcem nie kiwnęli i nic się nie wydarzyło. Gdybym tylko wiedziała, co mnie czeka. Najpierw pan Reid, a potem Charlie, który pojawił się w moim życiu w taki cudowny i romantyczny sposób. I pomyśleć tylko, że gdyby nie zbieg okoliczności, to nigdy bym go nie poznała...

Odwróciła się i posłała swojemu mężowi uśmiech pełen uwielbienia.

Sprawa zrozpaczonej damy

Brzęczyk na biurku pana Parkera Pyne'a zahuczał dyskretnie.

— Tak? — zapytał ów wielki człowiek.

— Pewna młoda dama pragnie się z panem zobaczyć — oznajmiła jego sekretarka. — Nic była umówiona.

— Proszę ją wpuścić, panno Lemon.

Chwilę później ścisnął już dłoń niespodziewanego gościa.

— Dzień dobry, proszę spocząć.

Dziewczyna usiadła i spojrzała na pana Pyne'a. Ładna i całkiem młoda, miała ciemne, falujące włosy, które na karku zwijały się w loczki. Była przepięknie ubrana, począwszy od białej włóczkowej czapki, przez pończochy cieniutkie niczym pajęczyna, aż po delikatne pantofelki. Bez wątpienia bardzo się denerwowała.

— Pan Parker Pyne? — spytała.

— We własnej osobie.

— Ten, który dał to... ogłoszenie?

— Ten sam.

— Tam jest napisane, że jeśli ktoś nie jest... nie jest szczęśliwy... powinien do pana przyjść.

— Owszem. Podjęła decyzję.

— No więc ja jestem okrutnie nieszczęśliwa. Pomyślałam, że w takim razie przyjdę i... i porozmawiam z panem.

Pan Pyne czekał, wiedząc, że nastąpi ciąg dalszy. — Ja... mam poważny kłopot — nerwowo zacisnęła dłonie.

— Rozumiem. Czy może mi pani o tym opowiedzieć?

Najwyraźniej tego właśnie dziewczyna nie była pewna. Wpatrywała się w Pyne'a z desperacją. Nagle zaczęła gorączkowo wyrzucać z siebie słowa.

— Tak, opowiem panu. Zdecydowałam się. Widzi pan, niemalże oszalałam ze zmartwienia. Nie

wiedziała, co robić ani do kogo się zwrócić. I wtedy zobaczyłam pana ogłoszenie. Pomyślałam, że to pewnie zwykłe oszustwo, ale utkwiło mi w pamięci. Brzmiało jakoś tak pocieszająco. A potem stwierdziłam, że nic zaszkodzi przyjść i zobaczyć. Zawsze przecież mogłabym znaleźć jakąś wymówkę i pójść sobie, gdybym... no, gdyby to...

— Oczywiście, oczywiście — uspokoił ją pan Pyne.

— Widzi pan — podjęła dziewczyna — to kwestia zaufania.

— I poczuła pani, że może mi zaufać? — odpowiedział z uśmiechem.

— To dziwne — odparła dziewczyna nieświadoma swego nietaktu — ale tak jest. Choć nic o panu nie wiem, jestem pewna, że mogę panu zaufać.

— A ja zapewniam panią — obiecał Parker — że nie zawiodę pani zaufania.

— No to powiem wszystko. Nazywam się Daphne St John.

— Bardzo mi miło, panno St John.

— Pani St John. Jestem mężatką.

— Oops! — mruknął niezadowolony z siebie pan Pyne, patrząc na platynową obrączkę na środkowym palcu jej lewej ręki. — Jaki ja głupi.

— Gdybym nie była mężatką — ciągnęła dziewczyna — nie byłby to aż taki problem. To znaczy, nie przejmowałabym się tak bardzo. Ale na samą myśl o Geraldzie... Proszę, oto źródło wszystkich kłopotów!

Sięgnęła do torebki, wyjęła z niej coś i rzuciła na biurko. Przedmiot lśniąco i pobłyskując potoczył się w stronę pana Pyne'a.

Był to platynowy pierścionek z ogromnym brylantem.

Pan Pyne podszedł z nim do okna, żeby sprawdzić, czy rysuje szybę, a następnie założył jubilerską lupę i dokładnie go obejrzał.

— Brylant nadzwyczajnej urody — ocenił wracając do biurka. — Wart co najmniej dwa tysiące funtów.

— Tak. I jest kradziony! Ja go ukradłam! A teraz nie wiem, co począć.

— O mój Boże! — wykrzyknął Parker. — To bardzo interesujące.

Jego klientka załamała się i zaczęła płakać w śmiesznie małą chusteczkę.

— No już, już dobrze — pocieszał ją pan Pyne. — Wszystko będzie dobrze.

Dziewczyna osuszyła oczy i pociągnęła nosem.

— Naprawdę? — zapyłała. — Och, czy naprawdę?

— Oczywiście. A teraz proszę mi opowiedzieć całą historię.

— Wszystko wzięło się od tego, że popadłam w długi. Widzi pan, jestem niebywale rozrzutna, co bardzo drażni Geralda. Gerald to mój mąż. Jest ode mnie dużo starszy i ma bardzo surowe zasady. Uważa, że zaciąganie długów jest nie do przyjęcia. Więc nic mu nic powiedziałam. A potem poszłam z przyjaciółmi do “Le Touquet” i pomyślałam, że może dopisze mi szczęście w bakarata i wyjdę na swoje. Początkowo wygrywałam, lecz później przegrałam i uznałam, że muszę się odegrać. I tak to poszło. Aż w końcu...

— Rozumiem — przerwał pan Pyne. — Nie musi pani wdawać się w szczegóły. Popadła pani w jeszcze gorsze tarapaty niż poprzednio. Mam rację, prawda?

Daphne St John pokiwała głową.

— A wtedy już po prostu nie mogłam przyznać się Geraldowi, bo on nienawidzi hazardu. Och, znalazłam się w strasznej sytuacji. No i pewnego dnia wybraliśmy się w odwiedzinach do Dortheimerów koło Cobham. On jest oczywiście potwornie bogaty, a jego żona, Naomi, chodziła ze mną do szkoły. Jest śliczna i bardzo kochana. No a kiedy tam byliśmy, poluzowała się oprawa tego brylantu. Rano w dniu naszego wyjazdu Naomi poprosiła, żebym zabrała pierścionek do miasta i podrzuciła do jej jubilera na Bond Street... — urwała.

— Doszliśmy zatem do najtrudniejszej części historii — podpowiedział usłużnie pan Pyne. — Proszę mówić dalej, pani St John.

— Ale nie powie pan nikomu? — spytała dziewczyna błagalnym tonem.

— Sekrety moich klientów są święte. Poza tym wiem już tyle, że prawdopodobnie mógłbym skończyć tę opowieść za panią.

— To prawda. Dobrze. Ale wstyd mi o tym mówić, to takie wstętne. Poszłam na Bond Street. Jest tam jeszcze inny sklep, “Viro”, w którym robią imitacje biżuterii. Nagle straciłam głowę. Zaniiosłam im pierścionek, i zażądałam dokładnej kopii. Wyjaśniłam, że wyjeżdżam za granicę i nie chcę brać ze sobą prawdziwych klejnotów. Najwyraźniej uznali takie działanie za zupełnie normalne. Dostałam duplikat, który był tak dobry, że nie odróżniłby go pan od oryginału. Zapakowałam go w firmowe pudełko z nazwiskiem jubilera i wysłałam przesyłką poleconą do lady Dortheimer. A potem... ja... zastawiłam prawdziwy pierścionek — ukryła twarz w dłoniach. — Jak ja mogłam? Jak mogłam? Stałam się nędznym, pospolitym złodziejem. Pan Parker Pyne odkaszlnął.

— Myślę, że to jeszcze nie koniec.

— To prawda. Wszystko to stało się sześć tygodni temu. Spłaciłam długi i wyrównałam wszystkie rachunki, ale przez cały ten czas czułam się okropnie. I nagle zmarł mój starszy kuzyn, po którym odziedziczyłam trochę pieniędzy. Natychmiast wykupiłam ten nieszczęsny pierścionek. Do tamtej

pory wszystko układało się dobrze. Ale potem cała sprawa się skomplikowała.

— W jaki sposób?

— Poróżniliśmy się z Dortheimerami. Chodziło o jakieś udziały, do kupna których sir Reuben nakłonił Geralda. Mnóstwo na nich stracił i powiedział sir Reubenowi, co o nim myśli. Och, to takie potworne! I teraz, jak sam pan widzi, nie mam jak zwrócić pierścionka.

— Czy nie mogłaby pani odesłać go lady Dortheimer anonimowo?

— Wtedy cała sprawa wyszłaby na jaw. Obejrzy tamten pierścionek, odkryje, że to imitacja i od razu się domyśli, co zrobiłam.

— Przecież jest pani przyjaciółką. Może by wyznać całą prawdę i zdać się na jej łaskę?

Pani St John pokręciła głową.

— Aż tak się nie przyjaźnimy. Jeśli w grę wchodzi pieniądze lub biżuteria, Naomi ma serce jak gład. Może nie zaskarżyłaby mnie, gdybym oddała jej pierścionek, ale mogłaby wszystkim opowiedzieć, co zrobiłam, a wtedy byłabym zrujnowana. Gerald by się dowiedział, a on nigdy by mi nie wybaczył. Och, jakież to wszystko straszne — znowu zalała się łzami. — Myślałam i myślałam, ale nadal nie wiem, co robić! Och, panie Pyne, może pan na coś wpadnie?

— Mam już kilka pomysłów — odpowiedział.

— Naprawdę?

— Oczywiście. Zaproponowałem najprostszą metodę, bo z doświadczenia wiem, że zawsze jest najlepsza. Pozwala uniknąć zbędnych komplikacji. Jednak dostrzegam siłę pani argumentów. Na razie o tym niefortunnym wydarzeniu wie tylko pani?

— I pan — dodała Daphne.

— Och, ja się nie liczę. Zatem na razie pani tajemnica jest bezpieczna. Trzeba tylko podmienić pierścionki w nie budzący podejrzeń sposób.

— No właśnie — gorliwie przytaknęła dziewczyna.

— To nie powinno być trudne. Trochę czasu zajmie nam opracowanie najlepszej metody...

— Ale nie mamy czasu! — przerwała mu. — Dlatego odchodzę od zmysłów. Naomi zamierza zmienić oprawę brylantu.

— Skąd pani wie?

— Dowiedziałam się przez przypadek. Byłam na lunchu z pewną znajomą i spodobał mi się jej pierścionek z wielkim szmaragdem. Powiedziała, że to ostatni krzyk mody i że Naomi Dortheimer

zamierza tak samo oprawić swój brylant.

— Co oznacza, że będziemy musieli działać szybko — z namysłem stwierdził pan Pyne. — Ktoś musi dostać się do ich domu, i to w dodatku nie w przebraniu służącego. Służba raczej nie ma dostępu do cennej biżuterii. Czy ma pani jakiś pomysł, pani St John?

— Dortheimerowie wydają duże przyjęcie w środę. Ta moja znajoma wspomniała, że Naomi chce zatrudnić parę tancerzy. Nie wiem, czy kogoś już znalazła...

— Myślę, że to się da załatwić — stwierdził pan Pyne.

— Jeżeli już kogoś zatrudniła, to oznacza jedynie, że sprawa będzie trochę bardziej kosztowna. I jeszcze jedno: czy wie pani może, gdzie znajduje się główny wyłącznik prądu?

— Tak się składa, że wiem, ponieważ kiedyś późnym wieczorem, gdy służba poszła już spać, przepalił się bezpiecznik. W głębi holu, wewnątrz małej szafki.

Na prośbę pana Pyne'a narysowała dokładny szkic.

— Teraz — powiedział — wszystko już będzie dobrze, więc proszę się nie martwić. A co zrobimy z pierścionkiem? Czy zostawi go pani teraz, czy woli go pani zatrzymać do środy?

— No, może lepiej go zatrzymam.

— Dobrze, ale proszę się już nie martwić — napomniął ją ponownie Parker.

— A pańskie... honorarium? — spytała nieśmiało.

— To może jeszcze poczekać. W środę zawiadomię panią, jakie wydatki były konieczne. Mogę jednak zapewnić panią, że honorarium będzie symboliczne.

Odprowadził ją do drzwi, po czym przycisnął brzęczyk na swoim biurku.

— Proszę wezwać Claude'a i Madelcine.

Claude Luttrell był jednym z najprzystojniejszych fordanserów w całej Anglii, a Madeleine de Sara była niezwykle uwodzicielskim wampem.

Pan Parker Pyne przyjrzał im się z aprobatą.

— Moje dzieci — powiedział — mam dla was zadanie. Będziecie tancerzami o międzynarodowej renomie. A teraz posłuchaj uważnie, Claude, i postaraj się wszystko dokładnie zapamiętać...

Lady Dortheimer była bardzo zadowolona z przebiegu przygotowań do balu. Poddała oględzinom dekoracje z kwiatów, wydała kilka ostatnich poleceń kamerdynerowi, po czym powiadomiła męża,

że jak do tej pory wszystko układa się świetnie!

Rozczarował ją jedynie fakt, że Michael i Juanita, tancerze z “Czerwonego Admirala”, w ostatniej chwili zerwali umowę, ponieważ Juanita skrzyła kostkę. Na szczęście w zamian przysyłano inną parę tancerzy, która zrobiła furorę w Paryżu, jak zapewniono ją przez telefon. Tancerze przyjechali zgodnie z planem i zyskali aprobatę lady Dortheimer. Wieczór rozpoczął się wspaniale. Występ Julesa i Sanchii okazał się wręcz sensacyjny. Najpierw zaprezentowali ognisty hiszpański taniec rewolucyjny, potem układ o nazwie “Sen degenerata”, a następnie znakomity pokaz tańców nowoczesnych.

Gdy ich występ dobiegł końca, całe towarzystwo ruszyło w tany. Przystojny Jules poprosił lady Dortheimer i razem popłynęli po parkiecie. Naomi nigdy nie miała tak doskonałego partnera.

Sir Reuben rozglądał się za kuszącą Sanchią, ale na próżno. Nie było jej w sali balowej.

W rzeczywistości znajdowała się w opustoszałym holu w pobliżu małej skrzyneczki, ze wzrokiem utkwionym w tarczy wysadzanego klejnotami zegarka, który nosiła na nadgarstku.

— Nie jest pani Angielką, nie może pani nią być, skoro tak pani tańczy — mruzczał Jules do ucha lady Dortheimer. — Jest pani nimfą, boginią wiatru. *Drouszka petrovka nawaruczi*.

— Co to za język?

— Rosyjski — odrzekł Jules kłamliwie. — Powiedziałem po rosyjsku to, czego nie śmiem wyznać pani po angielsku.

Lady Dortheimer zamknęła oczy. Jules przytulił ją mocniej.

Nagle zgasły światła. W ciemności Jules pochylił się i ucałował dłoń spoczywającą na jego ramieniu. Naomi wykonała gest, jakby chciała ją cofnąć, lecz on pochwycił jej rękę i ponownie uniósł do ust. Jakimś cudem pierścionek zsunął się jej z palca prosto w jego dłoń. Lady Dortheimer miała wrażenie, że minęła ledwie sekunda, zanim ponownie zapaliły się światła. Piękny tancerz uśmiechał się do niej.

— Pani pierścionek — powiedział — zsunął się. Pozwoli pani?

Włożył go jej na palec, a kiedy to robił, jego oczy miały bardzo wymowny wyraz.

Sir Reuben rozprawiał o tym incydencie.

— To pewnie jakiś idiota. Myślał, że robi dobry kawał.

Lady Dortheimer w ogóle się tym nie przejęła. Tych kilka minut w ciemności upłynęło jej bardzo przyjemnie.

Kiedy w czwartek rano pan Parker Pyne przybył do swojego biura, pani St John już na niego czekała.

— Proszę ją wprowadzić — polecił.

— I co? — była niezwykle przejęta.

— Mizernie pani wygląda — powiedział oskarżycielskim tonem.

Pokręciła głową.

— Nie mogłam zasnąć w nocy. Cały czas rozmyślałam...

— Proszę, oto lista wydatków. Bilety kolejowe, kostiumy oraz pięćdziesiąt funtów dla Michaela i Juanity. W sumie sześćdziesiąt pięć funtów i siedemnaście szylingów.

— Dobrze, dobrze. Ale co z wczorajszym wieczorem? Udało się? Zrobiliście to?

Pan Pyne spojrział na nią ze zdumieniem.

— Naturalnie, droga pani. Byłem przekonany, że to oczywiste.

— Co za ulga! Bałam się...

Starszy pan z wyrzutem pokręcił głową.

— Porażka jest słowem nie znanym w moim biurze. Jeżeli nic jestem pewien, że mi się powiedzie, nie podejmuję się sprawy. Ale jeśli już się jej podejmę, sukces można właściwie założyć z góry.

— Naprawdę odzyskała pierścionek i nic nie podejrzewa?

— Zupełnie nic. Przeprowadziliśmy całą operację w nad wyraz dyskretny sposób.

Daphne St John westchnęła.

— Kamień spadł mi z serca. A co pan mówił o kosztach?

— Sześćdziesiąt pięć funtów i siedemnaście szylingów. Pani St John otworzyła torebkę i odliczyła pieniądze.

Pan Parker Pyne podziękował jej i wypisał pokwitowanie.

— A pańskie honorarium? — zapytała Daphne. — Przecież to pokrywa tylko wydatki.

— W tym przypadku nie przyjmę wynagrodzenia.

— Och, panie Pyne! Nie mogę się na to zgodzić, naprawdę!

— Droga pani, nalegam. Nie wezmę ani pensa. To by było wbrew moim zasadom. Proszę, oto pokwitowanie. A teraz...

Z uśmiechem iluzjonisty robiącego sprytną sztuczkę wyjął z kieszeni małe pudełeczko i pchnął je po blacie w stronę dziewczyny. Daphne otworzyła je. W środku leżał identyczny pierścionek z brylantem.

— Potwór! — powiedziała pani St John, krzywiąc się zabawnie. — Jak ja cię nienawidzę! Miałabym ochotę wyrzucić cię przez okno.

— Nie radziłbym — przestrzegł pan Pyne. — Mogłoby to wywołać spore zdumienie.

— Jest pan zupełnie pewien, że to nie oryginał? — dopytywała się Daphne.

— Ależ nie! Ten, który mi pani pokazała poprzednio, spoczywa bezpiecznie na palcu lady Dortheimer.

— W takim razie wszystko jest już w porządku — Daphne wstała śmiejąc się radośnie.

— Ciekawe, że mnie pani o to zapytała — zauważył Parker Pyne. — Oczywiście Claude, biedaczyna, nie jest zbyt bystry. Mógł się pomylić. Zatem, żeby zyskać zupełną pewność, odwiedziłem dziś rano eksperta.

Pani St John usiadła raptownie.

— Och! I co on stwierdził?

— Że to wyjątkowo udana imitacja — promiennie oświadczył pan Pyne. — Pierwszorzędna robota. Teraz już chyba może pani być spokojna, prawda?

Pani St John chciała coś powiedzieć, ale zamilkła. Bez słowa wpatrywała się w Parkera.

On natomiast ponownie usadowił się za biurkiem i spojrzał na nią dobrotliwie.

— Kot, który chce wyciągnąć kasztany z ognia — powiedział melancholijnie. — Niezbyt przyjemna rola. Nie pozwoliłbym, żeby odgrywał ją któryś z moich pracowników. Pani wybaczy, coś pani mówiła?

— Ja... nie, nic.

— To dobrze. Ja za to opowiem pani krótką historyjkę. O pewnej młodej damie. Zdaje się, że jasnowłosej. Nie jest mężatką i nie nazywa się St John. Na imię nie ma Daphne. Nazywa się za to Ernestine Richards i do niedawna była sekretarką lady Dortheimer. Pewnego dnia poluzował się diament w pierścionku lady i panna Richards przywiozła go do miasta do naprawy. Zupełnie jak w pani opowieści, prawda? Pannie Richards również przyszedł do głowy ten sam pomysł co pani: zrobiła kopię pierścionka. Ale będąc dalekowzroczną młodą damą, przewidziała, że musi nadejść dzień, gdy lady Dortheimer odkryje zamianę. A wtedy przypomni sobie, kto zawiózł pierścionek do

reperacji i wszystkie podejrzenia skieruje na pannę Richards.

Co zatem uczyniła nasza bohaterka? Po pierwsze, udała się do salonu “La Merveilleuse”, gdzie zainwestowała w cudowną przemianę: przedziałek z boku i — jak sądzę — farba numer siedem, odcień ciemnobrązowy — obrzucił niewinnym spojrzeniem kręcone włosy swojej klientki. — Następnie odwiedziła mnie. Pokazała mi pierścionek, pozwoliła, żebym sprawdził, czy jest autentyczny, i rozwiął w ten sposób swoje rozbrajająco naiwne podejrzenia. Dokonawszy tego i zapewniwszy sobie plan zamiany, udała się do jubilera, który we właściwym czasie oddał pierścionek lady Dortheimer.

Wczoraj wieczorem inny pierścionek, tym razem fałszywy, dostarczyła w pośpiechu, właściwie w ostatniej chwili, na dworzec Waterloo. Zupełnie słusznie panna Richards założyła, iż pan Luttrell nie będzie autorytetem w dziedzinie kamieni szlachetnych. Niestety ja, żeby upewnić się, iż wszystko jest zgodne z prawem, poprosiłem mojego przyjaciela, kupca brylantów, żeby również pojechał tym pociągiem. Spojrzał na pierścionek i natychmiast zawyrokował: “To nie jest prawdziwy diament, lecz świetna imitacja ze strasu”.

Naturalnie rozumie pani, w czym leży sedno sprawy? Co przypominałaby sobie lady Dortheimer w chwili odkrycia zamiany? Czarującego młodego tancerza, który zsunął jej pierścionek z palca, gdy zgasły światła! Przeprowadziłaby śledztwo i okazałoby się, że tancerzy, których zatrudniła na początku, przekupiono, by odwołali swój przyjazd. Idąc tym tropem dotarłaby do tego biura, a moja opowiadka o pani St John wydawałaby się bardzo grubymi nićmi szyta. Lady Dortheimer nigdy nie znała pani o takim nazwisku. Od razu uznałaby, że to zwykłe kłamstwo.

Teraz rozumie już pani chyba, że nie mogłem do tego dopuścić. Zatem mój przyjaciel Claude włożył na palec lady Dortheimer ten sam pierścionek, który z niego zdjął — uśmiech pana Pyne’a nie był już tak dobroduszny. — Dlatego też nie mogłem przyjąć honorarium. Gwarantuję ludziom szczęście. A pani bez wątpienia nie uszczęśliwiłem. Powiem jeszcze tylko jedno: jest pani młoda. Prawdopodobnie po raz pierwszy usiłowała pani zrobić coś podobnego. Ja zaś jestem już w zaawansowanym wieku i zdobyłem bogate doświadczenie, zbierając dane statystyczne. Na podstawie tego doświadczenia mogę panią zapewnić, że w osiemdziesięciu siedmiu procentach przypadków nieuczciwość nie popłaca. W osiemdziesięciu siedmiu procentach! Proszę to przemyśleć.

Fałszywa pani St John gwałtownie poderwała się z miejsca.

— Ty tłusty, stary “bydlaku! — wrzasnęła. — Tak mnie wodzić za nos! Kazać mi pokrywać wydatki! A tymczasem... — aż ją zatkało ze złości, więc odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę drzwi.

— Pani własność — zawołał za nią pan Pyne, wyciągając rękę z pierścionkiem.

Chwyciła go i bez namysłu cisnęła przez otwarte okno.

Trzasnęły drzwi i już jej nie było.

Pan Parker Pyne z zainteresowaniem wyjrzał przez okno.

— Tak jak myślałem — powiedział do siebie. — Wzbudziła spore zdumienie. A dżentelmen sprzedający na straganie zupełnie nie wie, co zrobić z tym fantem.

Sprawa nieszczęśliwego męża

Niewątpliwie jedną z największych zalet pana Parkera Pyne'a była umiejętność okazywania współczucia, dzięki czemu potrafił zachęcić do zwierzeń dosłownie każdego. Doskonale rozumiał naturę tego przedziwnego paraliżu, jaki obezwładniał klientów tuż po przekroczeniu progu jego gabinetu. Zadaniem pana Pyne'a było uspokojenie ich i ułatwienie im koniecznych wynurzeń.

Tego szczególnego ranka siedział naprzeciwko nowego petenta, niejakiego pana Reginalda Wade'a. Od razu zorientował się, że pan Wade nie jest osobą szczególnie elokwentną. Należał do tego typu ludzi, którym sprawia ogromny trud ubranie w słowa jakichkolwiek emocji.

Był to wysoki, opalony, dobrze zbudowany mężczyzna o łagodnych niebieskich oczach. Z roztargnieniem skubał mały wąsik, wpatrując się w pana Pyne'a z całym patosem niemego zwierzątka.

— Ogłoszenie zobaczyłem, wie pan — rzucił. — Pomyślałem, że wpadnę. Dziwny tekst, ale nigdy nic nie wiadomo, nie?

Pan Pyne bezbłędnie zinterpretował te zagadkowe uwagi.

— Człowiek chwyta się każdej okazji, kiedy ma poważne kłopoty — odpowiedział.

— No właśnie. Tak jest. Ja chwycę się każdej okazji. Mam kłopot, panie Pyne. Nie wiem, co zrobić. Trudna sprawa, wie pan. Cholernie trudna.

— Dlatego — wtrącił Parker — przyszedł pan do mnie. Ja wiem, co robić! Jestem specjalistą w dziedzinie ludzkich kłopotów.

— Eee tam, mowa–trawa!

— Wcale nie. Kłopoty można z łatwością zaklasyfikować do kilku głównych kategorii. Choroby. Nuda. Żony mające kłopoty z mężami. Oraz... — zrobił znaczącą pauzę — oraz mężowie mający kłopoty z żonami.

— W rzeczy samej, trafił pan. Trafił pan w dziesiątkę.

— Proszę mi wszystko opowiedzieć — poprosił pan Pyne.

— Nic ma o czym opowiadać. Żona chce rozwodu, żeby wyjść za innego faceta.

— To bardzo powszechna praktyka w obecnych czasach. A pan, jak wnoszę, nie całkiem się zgadza na takie rozwiązanie?

— Lubię ją — odrzekł mężczyzna z prostotą. — No wie pan, bardzo lubię.

Proste i oszczędne w słowach wyznanie, ale nawet gdyby powiedział: “Uwielbiam ją. Czczę ziemię, po której stąpa. Dla niej dałbym się posiekać na kawałki”, nie byłoby bardziej wymowne dla Parkera Pyne’a.

— Mimo to — ciągnął nieszczęśliwy mąż — co mogę zrobić? Człowiek jest całkiem bezradny w takiej sytuacji. Skoro woli tego drugiego... trzeba się z tym pogodzić. Usunąć się im z drogi i w ogóle...

— Zgodnie z umową ona ma wnieść o rozwód?

— Oczywiście. Nie pozwoliłbym, żeby to ją ciągnano po sądach.

Pan Pyne przyjrzał mu się z namysłem.

— A jednak pan przyszedł do mnie. Dlaczego?

Pan Wade zaśmiał się z zażenowaniem.

— Nie wiem. Rozumie pan, ja nie jestem zbyt bystry. Nie umiem sam nic wymyślić. Przyszło mi do głowy, że może pan... no, podpowie coś. Mam pół roku, na tyle się zgodziła. Jeśli przez pół roku nie zmieni zdania, to wtedy wypadam z gry. Pomyślałem, że może pan da mi jakieś wskazówki. Teraz drażni ją wszystko, cokolwiek bym zrobił. Widzi pan, wszystko sprowadza się do jednego: że nie jestem bystry. Lubię pokopać sobie piłkę. Zagrać rundkę golfa czy tenisa. Nie znam się na muzyce, sztuce i innych takich. A moja żona jest mądra. Lubi obrazy, operę i koncerty, no i oczywiście nudzi się ze mną. Ten drugi facet — paskudny, długowłosej typ — wie wszystko o tych rzeczach. Potrafi o nich mówić. Ja nie. W gruncie rzeczy potrafię zrozumieć, że inteligentna piękna kobieta ma po dziurki w nosie takiego pacana jak ja. Pan Pyne jęknął.

— Od jak dawna jesteście małżeństwem? Od dziewięciu lat? I przypuszczam, że przyjął pan taką postawę od samego początku. To źle, drogi panie, wręcz katastroficznie! Nigdy nie należy zachowywać się przeprasząco w stosunku do kobiety. Będzie oceniała pana tak, jak pan się sam oceniał, i słusznie. Powinien pan wychwalać swoje umiejętności sportowe. Powinien pan mówić o sztuce i muzyce “wszystkie te głupstwa, które moja żona tak lubi”. Powinien pan ubolewać, że nie jest lepsza w sporcie. Pokorni duchem, drogi panie, w małżeństwie zawsze ponoszą porażkę! Żadna kobieta nie będzie w stanie tego znieść. Nic dziwnego, że i pana żonie nie starczyło sił.

Zdezorientowany pan Wade wpatrywał się w niego.

— No dobrze — powiedział w końcu — to co powinienem w takim razie zrobić?

— Oto jest pytanie. Na to, co powinien pan być zrobić dziewięć lat temu, jest już niewątpliwie za późno. Trzeba obrać nową taktykę. Czy miał pan jakieś przygody z innymi kobietami?

— Oczywiście, że nie.

— Źle się wyraziłem. Chodziło mi o przelotne flirty.

— Nigdy się nie uganiałem za kobietami.

— Błąd. Musi pan to natychmiast zmienić.

Pan Wade wyglądał na zaniepokojonego.

— Proszę posłuchać, ja nie mógłbym...

— Nie będzie pan miał w tym względzie żadnych kłopotów. Tę rolę odegra jedna z moich pracownic. Powie panu, czego się po nim spodziewa, a wszelkie awanse pod swoim adresem będzie traktowała czysto zawodowo.

Na twarzy młodzieńca wyraźnie pojawiła się ulga.

— Tak lepiej. Ale czy naprawdę pan myśli... to znaczy, wydaje mi się, że wtedy Iris tym chętniej się mnie pozbędzie.

— Nie rozumie pan ludzkiej natury, panie Wade. A jeszcze mniej rozumie pan kobiecą naturę. W chwili obecnej, z kobiecego punktu widzenia, jest pan bezużyteczny. Nikt pana nie chce. A jaki pożytek ma kobieta z kogoś, kogo nikt nie chce? Żadnego. A spójrzmy na to pod innym kątem. Przypuśćmy, że żona odkryje, iż czeka pan na odzyskanie wolności równie niecierpliwie jak ona.

— Powinna się ucieszyć.

— Powinna, ale się nie ucieszy! Co więcej, zobaczy, że zainteresowała się panem fascynująca młoda kobieta. Kobieta, która może przebierać wśród mężczyzn. Natychmiast pana akcje pójną w górę. Zacznie się obawiać, iż wszyscy znajomi orzekną, że to pan się nią znudził i chciał poślubić kogoś atrakcyjniejszego. To ją zaniepokoi.

— Tak pan sądzi?

— Jestem tego pewien. Nie będzie o panu już myślała "biedny, poczciwy Reggie." Zostanie pan "tym szczwanym lisem". A to ogromna różnica! Niewątpliwie, nie rezygnując z tamtego mężczyzny, będzie próbowała odzyskać pana. Ale pan się nie da. Zachowa pan rozsądek i użyje wszystkich argumentów, którymi ona się posłużyła. "Lepiej się rozstać". "Nie pasujemy do siebie". Uświadomił pan sobie, że to, co mówiła, jest prawdą i że nigdy pan jej nie rozumiał, ale również ona nie rozumiała pana. No dobrze, nie będziemy teraz roztrząsać wszystkich szczegółów. Otrzyma pan dokładne instrukcje, kiedy nadejdzie właściwa pora.

Nie rozwiało to wszystkich wątpliwości pana Wade'a.

— Naprawdę myśli pan, że ten plan się powiedzie? — zapytał niepewnie.

— Nie powiem, że mam stuprocentową pewność — odrzekł ostrożnie Parker Pyne. — Istnieje nikła możliwość, że pana żona jest tak bardzo zakochana w tamtym mężczyźnie, iż nic, co pan powie czy zrobi, nie wywrze na niej wrażenia. Lecz uważam to za mało prawdopodobne. Niewątpliwie wdała się w tamtą sprawę z nudy — znużona atmosferą bezkrytycznego oddania i absolutnej

wierności, którą tak nierozsądnie pan ją otoczył. Jeżeli będzie się pan stosował do moich poleceń, to ma pan dziewięćdziesiąt siedem procent szans na zwycięstwo.

— To wystarczy — powiedział mężczyzna. — Zgadzą się. A tak przy okazji, to... ile?

— Opłata wynosi dwieście gwinei, płatne z góry. Pan Wade wyjął książeczkę czekową.

Teren wokół Lorrimer Court wyglądał uroczym w promieniach popołudniowego słońca. Iris Wade, spoczywająca na leżaku, przedstawiała bardzo malowniczy widok. Ubrana była w pastelowe odcienie różu, a zręczny makijaż, ujmował jej wiele lat. W żadnym calu nie wyglądała na kobietę trzydziestopięcioletnią.

Rozmawiała właśnie ze swoją przyjaciółką, panią Massington, u której zawsze mogła znaleźć zrozumienie. Obie panie los obarczył wysportowanymi mężczyznami, którzy rozmawiali na przemian tylko o udziałach, akcjach i golfie.

— Tak więc człowiek uczy się żyć i pozwalać żyć innym — dokończyła Iris.

— Jesteś cudowna, kochanie — powiedziała pani Massington i zbyt szybko spytała: — Kim jest ta dziewczyna?

Iris ze znużeniem wzruszyła ramionami.

— Nie pytaj mnie! Reggie skądś ją wytrzasnął. To jego przyjaciółeczka! Zabawne. Wiesz, on z zasady nie ogląda się za dziewczynami. Przyszedł do mnie, jąkał się i pochrząkiwał, aż wreszcie powiedział, że chce na weekend zaprosić pannę de Sara. Oczywiście wybuchnęłam śmiechem, nie mogłam się powstrzymać. Rozumiesz — Reggie w takiej roli! No i przyjechała.

— Gdzie się poznali?

— Nie wiem. Mówił o tym bardzo niejasno.

— Może zna ją od dłuższego czasu.

— Och, nie sądzę — odpowiedziała pani Wade. — Oczywiście, jestem zachwycona, po prostu zachwycona. Taka sytuacja znacznie ułatwia mi całą sprawę. Ponieważ naprawdę było mi żal Reggie'ego. Jest taki biedny i poczciwy. Powtarzałam Sinclairowi, że on bardzo to przeżyje. Ale Sinclair twierdził, iż Reggie szybko się z tego otrząśnie. Wydaje się, że miał rację. Dwa dni temu Reggie wyglądał, jakby miał złamane serce, a teraz sprowadza sobie dziewczynę! Mówię ci, jestem ubawiona. Cieszę się, że dobrze się bawi. Pewnie biedaczyna myślał, że będę zazdrosna. Co za absurdalny pomysł! “Naturalnie — odpowiedziałam — możesz zaprosić swoją przyjaciółkę”. Biedny Reggie, jakby takiej dziewczynie mogło na nim zależeć. Po prostu znalazła sobie rozrywkę.

— Jest niesamowicie atrakcyjna — uznała pani Massington. — Wręcz niebezpiecznie, jeśli wiesz, co mam na myśli. Taka dziewczyna zorientowana wyłącznie na mężczyzn. Jednak nie wydaje mi się,

żeby mogła być naprawdę miła.

— Pewnie masz rację — zgodziła się Iris.

— Ma cudowne ubrania — dodała jej przyjaciółka.

— Trochę zbyt ekstrawaganckie, nie sądzisz?

— Ale bardzo drogie.

— Wyzywające. Wygląda zbyt ostentacyjnie.

— Idą tutaj — szepnęła pani Massington.

Madeleine de Sara i Reggie Wade szli przez trawnik. Śmiali się, rozmawiali i wyglądali na bardzo szczęśliwych. Madeleine rzuciła się na krzesło, zerwała z głowy берет i przeczesła palcami swoje wspaniałe czarne loki.

Była bezsprzecznie piękna.

— Cudownie się bawiłam! — wykrzyknęła. — Och, jak mi gorąco. Muszę wyglądać okropnie.

Reggie wzdrygnął się nerwowo usłyszawszy umówiony sygnał.

— Wyglądasz... wyglądasz... — zaśmiał się lekko. — Nie powiem, jak — dokończył.

Ich oczy spotkały się. Było to spojrzenie wyrażające pełne zrozumienie, co z niepokojem odnotowała pani Massington.

— Powinna pani grać w golfa — zwróciła się Madeleine do żony gospodarza. — Tyle pani traci. Czemu pani nie spróbuje? Moja przyjaciółka nauczyła się i całkiem nieźle sobie radzi, a jest od pani o wiele starsza.

— Nie interesują mnie takie rozrywki — chłodno oświadczyła Iris.

— Ach, nie radzi sobie pani ze sportem? Co za nieszczęście! Człowiek ma wtedy uczucie, że tyle go w życiu omija. Ale proszę mi wierzyć, pani Wade, można teraz znaleźć tak świetnych instruktorów, że chyba każdego są w stanie nauczyć. Zeszłego lata zrobiłam ogromne postępy w tenisie. Oczywiście w golfa gram beznadziejnie.

— Nonsens! — zaprotestował Reggie. — Trzeba ci tylko trochę treningu. Spójrz tylko, jak fantastycznie dzisiaj uderzałaś.

— Bo pokazałeś mi, jak to robić. Jesteś cudownym nauczycielem. Większość ludzi po prostu nie potrafi uczyć. Ale ty masz dar. Zazdroszczę ci, że jesteś taki, jaki jesteś. Wszystko potrafisz zrobić.

— Bzdury. Do niczego się nic nadaję, nie ma ze mnie żadnego pożytku — Reggie był wyraźnie

zmieszany.

— Musi pani być z niego bardzo dumna — powiedziała Madeleine odwracając się do Iris. — Jak pani się udało utrzymać go przy sobie przez tyle lat? Musi pani być bardzo sprytna. A może trzymała go pani w ukryciu?

Pani Wade nie odpowiedziała. Drżącą dłonią ujęła książkę.

Reggie mruknął coś o tym, że musi się przebrać, i odszedł.

— To naprawdę miło z pani strony, iż mogłam tu przyjechać — ciągnęła Madeleine. — Niektóre kobiety są bardzo zazdrosne o swoich mężów. Ja uważam, że zazdrość to absurdalne uczucie, zgodzi się pani ze mną?

— Naturalnie. Nigdy by mi nie przyszło do głowy, żeby być zazdrosną o Reggie'ego.

— To naprawdę wspaniale! Bo przecież każdy widzi, że on jest niesłychanie atrakcyjny dla kobiet. Przeżyłam szok, kiedy się dowiedziałam, że jest żonaty. Dlaczego wszyscy interesujący mężczyźni żenią się tak młodo?

— Cieszę się, że Reggie tak się pani podoba — powiedziała pani Wade.

— Och, tak! Taki przystojny i taki niewiarygodnie wysportowany. A ta jego udawana obojętność w stosunku do kobiet. To nas, oczywiście, jeszcze bardziej pociąga.

— Przypuszczam, że ma pani wielu przyjaciół wśród mężczyzn.

— To prawda. Wolę ich od kobiet. Kobiety jakoś nigdy nie są dla mnie naprawdę miłe. Nie wiem, dlaczego.

— Może pani jest zbyt miła dla ich mężów — podpowiedziała pani Massington, śmiejąc się perliście.

— No cóż, czasami jest mi ich żal. Tylu wspaniałych facetów jest uwiązanych do nudnych żon. Wic pani, takie "artystyczne", przeintelektualizowane baby. Naturalnie mężczyźni chcą pogadać z kimś młodym i wesołym. Zresztą współczesne podejście do małżeństwa i rozwodu wydaje mi się bardzo rozsądne. Zacząć od nowa, kiedy człowiek jest jeszcze młody, z kimś, kto podziela jego upodobania i poglądy. W rezultacie tak jest lepiej dla wszystkich. Żona-inlektualistka pewnie poderwie jakieś długowłose indywiduum o podobnych zapatrywaniach. Myślę, że przecięcie więzów i zaczęcie od nowa to bardzo mądry plan, prawda, pani Wade?

— Oczywiście.

Madeleine uświadomiła sobie wreszcie, że atmosfera zrobiła się cokolwiek lodowata. Bąknęła pod nosem, że powinna zmienić strój do podwieczorku i zostawiła panie same.

— Te nowoczesne dziewczyny są doprawdy obrzydliwe — uznała Iris. — Zupełnie pstro w

głowie.

— Ta akurat nic ma zupełnie pstro, Iris — zaproponowała pani Massington. — Jest zakochana w Reggie.

— Bzdura!

— To prawda. Widziałam, jak na niego patrzy. Ma w nosie to, czy jest żonaty, czy nie. Chce go mieć. To doprawdy niesmaczne.

Pani Wade milczała przez chwilę, a potem zaśmiała się niepewnie.

— W końcu — powiedziała — jakie to ma znaczenie?

Po chwili ona również udała się na górę. Jej mąż przebierał się w garderobie, podśpiewując pod nosem.

— Dobrze się bawiłeś, kochanie? — zapytała go.

— Och, eee... owszem.

— Cieszę się. Chciałabym, żebyś był szczęśliwy.

— No tak, więc jestem.

Wszelkie udawanie było obce naturze Reggie'ego Wade'a, ale głębokie zażenowanie wywołane przekonaniem, że odgrywa rolę przed własną żoną, spełniło swoje zadanie. Unikał wzroku Iris i wzdrygał się nerwowo, kiedy do niego mówiła. Czuł wstyd. Nie cierpiał całej tej farsy. A nic nie dałoby lepszego efektu. Stanowił uosobienie poczucia winy.

— Od jak dawna ją znasz? — nagle spytała pani Wade.

— Eee... kogo?

— Pannę de Sara, oczywiście.

— No, nie bardzo wiem. To znaczy... od jakiegoś czasu.

— Naprawdę? Nigdy o niej nie wspominałeś.

— Nie? Pewnie zapomniałem.

— Zapomniałeś, co? — parsknęła pani Wade i wyszła szeleszcząc różową materią.

Po podwieczorku pan Wade postanowił pokazać pannie de Sara ogród różany. Szli przez trawnik świadomi dwóch par oczu wlepionych w ich plecy.

— Posłuchaj mnie — Reggie, bezpiecznie skryty w ogrodzie różanym, spróbował zrzucić ciężar z

serca. — Posłuchaj, uważam, że musimy z tym skończyć. Żona patrzyła na mnie tak, jakby mnie nienawidziła.

— Nie martw się — pocieszyła go Madeleine. — Wszystko idzie doskonale.

— Tak myślisz? Nic chcę jej wrogo do siebie nastawiać. Zrobiła tyle przykrych uwag podczas podwieczorku.

— Wszystko idzie po naszej myśli — podkreśliła dziewczyna. — Świetnie sobie radzisz.

— Naprawdę tak uważasz?

— Tak — ściszyła głos. — Twoja żona zeszła właśnie z tarasu. Chce sprawdzić, co robimy. Pocałuj mnie.

— Och! — zdenerwował się Reggie. — Muszę? To znaczy...

— Pocałuj mnie! — zażądała Madeleine.

Pocałował ją. Brak entuzjazmu z jego strony zrekompensowała, tuląc się do niego namiętnie i zarzucając mu ręce na szyję. Pan Wade zatoczył się.

— Och! — zaprotestował.

— Czy bardzo to było przykre? — zapytała dziewczyna.

— Nic, oczywiście, że nie — zaprzeczył szarmancko. — Po prostu... wzięłaś mnie przez zaskoczenie.

Po chwili dodał z niepokojem:

— Chyba już wystarczająco długo jesteśmy w ogrodzie, jak myślisz?

— Chyba rzeczywiście — zgodziła się Madeleine. — Odwaliliśmy tu kawał dobrej roboty.

Wrócili na trawnik. Pani Massington poinformowała ich, że Iris poszła się położyć.

Nieco później zaniepokojony Reggie wrócił do Madeleine.

— Jest w strasznym stanie, wpadła w histerię.

— To dobrze.

— Widziała, jak cię całowałem.

— O to nam chodziło.

— No tak, ale przecież nie mogłem jej tego wyjawić, prawda? Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

Powiedziałem, że to... no... po prostu się stało.

— Wyśmienicie.

— Odrzekła, że zastawiłaś na mnie sidła i że nic nie jesteś warta. Zdenerwowałem się, bo to bardzo niesprawiedliwy osąd. Chodzi mi o to, że ty przecież tylko wykonujesz swoją pracę. Odpowiedziałem, że nic ma racji oraz że darzę cię najwyższym szacunkiem. Obawiam się, że trochę mnie poniosło, kiedy dalej cię szkalowała.

— Cudownie!

— A potem kazała mi odejść. Nie chce już nigdy ze mną rozmawiać. Zamierza się spakować i wyjechać — na jego obliczu malowała się ogromna konsternacja.

Madeleine uśmiechnęła się.

— Coś ci powiem. Oświadczysz, że to ty wyjeżdżasz; że się pakujesz i przenosisz do miasta.

— Ale ja nie chcę!

— Nie denerwuj się. Nie będziesz musiał. Twoja żona nie dopuści do tego, żebyś zabawiał się w Londynie.

Następnego ranka Reggie podzielił się z nią świeżymi wiadomościami.

— Mówi, że przemyślała to i że postąpiłaby nie fair odchodząc teraz, skoro zgodziła się zostać jeszcze przez pół roku. Ale skoro ja sprowadzam swoje przyjaciółki do domu, to nie widzi powodów, dla których ona nie miałaby sprowadzać swoich przyjaciół. Zamierza zaprosić Sinclaira Jordana.

— Czy to ten?

— Tak. I niech mnie szlag, jeśli się zgodzę, żeby mieszkał pod moim dachem!

— Musisz się zgodzić — zaproponowała dziewczyna. — I niczym się nie martw, ja się nim zajmę. Powiedz żonie, że po zastanowieniu uznałeś, iż nie masz nic przeciwko temu, i że w takim razie ona chyba nie sprzeciwi się, bym ja została dłużej.

— O Boże! — jęknął pan Wade.

— Nic trać nadziei — pocieszyła go Madeleine. — Wszystko układa się fantastycznie. Za dwa tygodnie twoje kłopoty się skończą.

— Dwa tygodnie? Naprawdę? — upewnił się Reggie.

— Oczywiście, gwarantuję ci to — zapewniła go Madeleine.

Tydzień później Madeleine de Sara wkroczyła do gabinetu pana Parkera Pyne'a i ze znużeniem opadła na fotel.

— Oto wchodzi Królowa Wampów — powitał ją z uśmiechem starszy pan.

— Wampów! — powtórzyła Madeleine i zaśmiała się głucho. — Jeszcze nigdy tak nie harowałam jako wamp. Ten facet ma obsesję na punkcie swojej żony! To jak jakaś choroba.

Pan Pyne uśmiechnął się.

— W rzeczy samej. Ale w pewnym sensie ułatwiło nam to zadanie. Nie każdego mężczyznę, droga Madeleine, wystawiłbym tak beztróska na działanie twoich wdzięków.

Dziewczyna wybuchnęła śmiechem.

— Gdybyś wiedział, ile się natrudziłam, żeby mnie pocałował i żeby wyglądało na to, że mu się to podoba!

— Nowe doświadczenie dla ciebie, moja droga. Czy osiągnęłaś cel?

— Tak, myślę, że wszystko poszło dobrze. Wczoraj wieczorem mieliśmy wielką scenę. Zaraz, ostatni raport składałam trzy dni temu?

— Owszem.

— Tak jak ci mówiłam, wystarczyło, że raz spojrzałam na tego nieszczęsnego robaka, Sinclaira Jordana, i cały należał do mnie. Zwłaszcza kiedy oszacował mój strój i uznał, że muszę być bogata. Pani Wade oczywiście wpadła w furję. Oto obaj jej mężczyźni nadskakują innej kobiecie. Ale ja szybko pokazałam, ku któremu się skłaniam. Kpiłam z Sinclaira, prosto w oczy, a także kiedy byliśmy same. Wyśmiałam jego ubrania i przydługie włosy. Zauważyłam również, że ma iksowate nogi.

— Doskonała taktyka — pochwalił pan Pyne.

— Wszystko wybuchło wczoraj wieczorem. Pani Wade przystąpiła do otwartej wojny. Oskarżyła mnie, że zniszczyłam ich związek. Reggie napomknął o udziale Sinclaira. Ona na to, że był to tylko rezultat jej nieszczęścia i samotności. Zauważyła, że mąż od jakiegoś czasu ją zaniedbuje, ale nie miała pojęcia, jaki był tego powód. Powiedziała, że zawsze byli szczęśliwym małżeństwem, że go uwielbia i że on o tym wie, że jest jedynym mężczyzną, jakiego pragnie. Wtrąciłam, że na to już chyba za późno. Pan Wade rewelacyjnie wypełnił polecenia. Oznajmił, że już go to nie obchodzi! Zamierza się ze mną ożenić! Pani Wade może sobie wziąć tego swojego Sinclaira, kiedy tylko zechce. Nie ma powodu, żeby odkładać proces rozwodowy; czekanie pół roku byłoby absurdalne. Oświadczył, że za kilka dni przekaże jej stosowne dowody i będzie mogła poinstruować swoich prawników. Potem

powiedział, że nie może beze mnie żyć. Wtedy pani Wade chwyciła się za pierś i zaczęła narzekać na swoje słabe serce, więc musieliśmy podać jej brandy. Ale on nie ustąpił. Dziś rano pojechał do miasta i nie ma wątpliwości, że ona ruszyła jego śladem.

— Zatem wszystko w porządku — wesolutko oznajmił pan Pyne. — Bardzo udana akcja.

Wtem drzwi otworzyły się z hukiem. Na progu stał Reggie Wade.

— Czy ona tu jest? — spytał wkraczając do pokoju. — Gdzie ona jest?

Spostrzegł Madeleine.

— Kochana! — wykrzyknął i chwycił ją za rękę. — Kochana, kochana. Wiesz przecież, że wczoraj wieczorem nie udawałem, każde słowo było prawdziwe. Nie rozumiem, czemu tak długo byłem zaślepiony. Ale trzy dni temu przejrzałem na oczy. Teraz już wiem.

— Co wiesz? — słabym głosem zapytała Madeleine.

— Że cię ubóstwiam. Że nie istnieje dla mnie żadna inna kobieta prócz ciebie. Iris może wystąpić o rozwód, a kiedy już będzie po wszystkim, wyjdiesz za mnie, prawda? Powiedz, że się zgadzasz, Madeleine. Uwielbiam cię.

Chwycił oszołomioną dziewczynę w ramiona akurat w momencie, gdy znowu otworzyły się drzwi, lecz tym razem stanęła w nich szczupła kobieta ubrana w niechlujny zielony kostium.

— Tak myślałam — oświadczyła. — Śledziłam cię! Wiedziałam, że pójdziesz do niej.

— Mogę panią zapewnić... — zaczął pan Parker Pyne, ocknąwszy się z kompletnego osłupienia, w które popadł.

Pani Wade nie zwróciła na niego żadnej uwagi i dalej przemawiała do męża:

— Och, Reggie, chyba nie chcesz złamać mi serca! Wróc do mnie! Nigdy ani słowem nie wspomnę o tej sprawie. Nauczę się grać w golfa. Zerwę ze wszystkimi przyjaciółmi, którzy ci nie odpowiadają. Po tych wszystkich latach, kiedy byliśmy tacy szczęśliwi...

— Nigdy do tej pory nie byłem szczęśliwy — odparł pan Wade, nadal wpatrując się w Madeleine. — Daj spokój, Iris, chciałaś wyjść za tego osła Jordana. Więc idź i zrób to.

Pani Wade zanosła się płaczem.

— Nienawidzę go! Nie mogę znieść jego widoku. Odwróciła się do Madeleine.

— Ty podła zmijo! Ty wampirzyco! Ukradłaś mi męża.

— Ależ ja nie chcę pani męża — odpowiedziała strapiona dziewczyna.

— Madeleine! — Reggie spojrział na nią z udręką.

— Proszę, idź sobie — powiedziała dziewczyna.

— Posłuchaj, ja nie udaję. Mówię szczerze.

— Odejdź! — krzyknęła histerycznie. — Idź precz! Reggie z ociąganiem skierował się w stronę wyjścia.

— Wrócę — ostrzegł ją. — Jeszcze się zobaczymy. Wyszedł trzaskając drzwiami.

— Takie kobiety jak ty powinno się chłostać i piętnować! — wrzasnęła pani Wade. — Zanim się pojawiłaś, Reggie był dla mnie jak anioł. Teraz tak się zmienił, że ledwo go poznaję.

Łkając wybiegła śladem męża. Madeleine i pan Pyne spojrzeli na siebie.

— Nic na to nie poradzę — powiedziała bezradnie dziewczyna. — To dobry człowiek, bardzo miły... ale nie chcę za niego wyjść. Nie miałam pojęcia, że tak się to wszystko skomplikowało. Gdybyś wiedział, ile się namęczyłam, zanim zgodził się mnie pocałować!

— Hmm — chrząknął Parker. — Z przykrością to stwierdzam, ale to ja popełniłem błąd w ocenie sytuacji.

Pokiwał głową ze smutkiem i przysunąwszy sobie akta pana Wade'a napisał na nich:

NIEPOWODZENIE z przyczyn naturalnych.

UWAGA: należało to przewidzieć.

Sprawa urzędnika z City

Pan Parker Pyne w zamyśleniu odchylił się na oparcie obrotowego krzesła i bacznie przyjrzał się swojemu gościowi. Siedział przed nim niski, krępy mężczyzna w wieku około czterdziestu pięciu lat, który wpatrywał się w niego z mieszaniną nadziei i niepokoju.

— Zobaczyłem pana ogłoszenie w gazecie — powiedział nerwowo.

— Ma pan kłopoty, panie Roberts?

— Nie, nie całkiem.

— Jest pan nieszczęśliwy?

— Tego też bym nic powiedział. Jest wiele rzeczy, za które powinienem być wdzięczny losowi.

— Tak jak my wszyscy — zauważył pan Pyne. — Ale kiedy musimy sobie przypominać o tym fakcie, to znak, że czegoś nam brakuje.

— To prawda — gorliwie przytaknął pan Roberts. — O to właśnie chodzi! Trafił pan w samo sedno.

— A może opowie mi pan coś o sobie — zaproponował Parker.

— Nie ma za bardzo o czym opowiadać, sir. Tak jak wspomniałem, za wicie rzeczy mogę być wdzięczny losowi. Mam pracę, udało mi się odłożyć trochę pieniędzy, dzieci są silne i zdrowe.

— Zatem chce pan...

— Nic wiem czego — zaczerwienił się. — Pewnie uważa pan, że to głupie, sir.

— Ależ skąd — zaprotestował pan Pyne.

Zręcznie formułując pytania, skłonił klienta do dalszych zwierzeń. Dowiedział się, że pan Roberts jest zatrudniony w renomowanej firmie, gdzie powoli, ale nieustannie pnie się w górę. Dowiedział się o jego małżeństwie, o staraniach, żeby przyzwoicie się prezentować, zapewnić dzieciom wykształcenie i “ubrać je porządnie”. O skrupulatnym planowaniu, wyrzeczeniach i oszczędzaniu, żeby co roku odłożyć parę funtów. W rzeczywistości usłyszał sagę o życiu złożonym z nieustających starań, by przetrwać.

— No i widzi pan, tak to leci — wyznał pan Roberts.

— Teraz żona pojechała z dziećmi do swojej matki. Dla nich to będzie odmiana, a dla niej wypoczynek. Nic starczyło już dla mnie miejsca, a nie możemy sobie pozwolić, żeby wyjechać

gdzieś indziej. Zostałem sam, przeczytałem pańskie ogłoszenie i zacząłem myśleć. Mam czterdzieści osiem lat. Ciekaw jestem... Tyle różnych rzeczy dzieje się na świecie... — urwał, a z oczu mu wycierała cała jego podmiejska wygłodniała dusza.

— Chciałby pan — dopowiedział Parker Pyne — przeżyć swoje dziesięć minut chwały?

— No, ja bym tego tak nie określił. Ale być może ma pan rację. Chciałbym wyrwać się z kieratu. Potem wrócę do niego z wdzięcznością... jeśli tylko będę miał co wspominać — spojrzał z obawą na swojego rozmówcę.

— Przypuszczam, że nie ma na co liczyć, sir. Obawiam się... obawiam się, że nic mogę zapłacić zbyt wiele.

— A na ile może pan sobie pozwolić?

— Mógłbym wskrobać pięć funtów — z zapartym tchem czekał na odpowiedź.

— Pięć funtów — powtórzył pan Pyne. — Wydaje mi się, że mógłbym coś wymyślić. Czy gotów jest pan narazić się na niebezpieczeństwo? — spytał ostro.

Lekki rumieniec wypłynął na ziemistą twarz pana Roberta.

— Mówi pan: niebezpieczeństwo? Och tak, oczywiście. Ja... ja nigdy nie zrobiłem nic niebezpiecznego.

Pan Parker Pyne uśmiechnął się.

— Proszę przyjść do mnie jutro. Zobaczę, co się da zrobić.

“Bon Voyageur” to mało znany zajazd. W znajdującej się tam restauracji jadają tylko nieliczni stali bywalcy, którzy bardzo nie lubią nowych gości.

Pan Pyne został tam powitany z sympatią i z szacunkiem.

— Jest pan Bonnington? — zapytał.

— Tak, sir. Siedzi przy tym stoliku co zwykle.

— To dobrze. Dosiądę się do niego.

Pan Bonnington był dżentelmenem o wygładzie wojskowego i nieco tępym wyrazie twarzy. Z radością powitał swojego przyjaciela.

— Cześć, Parker. Rzadko cię teraz widuję. Nie wiedziałem, że tu bywasz.

— Od czasu do czasu. Zwłaszcza gdy chcę uściskać grabę staremu przyjacielowi.

— Znaczy mnie?

— Znaczy tobie. Prawdę mówiąc, Lucas, przemyślałem sobie to, o czym rozmawialiśmy ostatnio.

— Chodzi ci o aferę Peterfielda? Czytałeś ostatnie wiadomości w gazetach? Nie, nie mogłeś. Ukażą się dopiero w wieczornym wydaniu.

— A co nowego?

— Wczoraj w nocy Peterfield został zamordowany — powiedział pan Bonnington, spokojnie pałaszując sałatkę.

— Wielkie nieba! — wykrzyknął pan Pyne.

— Wcale mnie to nie zdziwiło — wyznał jego kolega. — Uparty stary osioł z tego Peterfielda. Nie chciał nas słuchać. Nalegał, żeby plany zostały u niego.

— Zabrali je?

— Nie. Jakaś kobieta przyniosła profesorowi przepis na gotowaną szynkę. A stary dureń, roztrzepany jak zawsze, wetknął przepis do sejfu, a plany zaniósł do kuchni.

— Całe szczęście!

— Opatrzność czuwała nad nim. Jednak nadal nic wiem, kto je zawiezie do Genewy. Maitland jest w szpitalu. Carslake w Berlinie. Ja nie mogę pojechać. Zostaje młody Hooper — spojrzał na przyjaciela.

— Nadal nie zmieniłeś zdania? — upewnił się Parker.

— Ani na jotę. Przekupili go! Jestem tego pewien. Nie mam żadnego dowodu, ale mówię ci, Parker, na kilometr rozpoznaję nieuczciwego faceta! A chcę, żeby te plany dotarły do Genewy. Są potrzebne Lidze. Po raz pierwszy wynalazek nie zostanie sprzedany żadnemu państwu. Zostanie dobrowolnie oddany Lidze. To najpiękniejszy pokojowy gest, jaki kiedykolwiek wykonano, więc trzeba go doprowadzić do końca. A Hooper jest wtyczką. Zobacysz, na pewno będzie twierdził, że ktoś go uspił w pociągu! A jeżeli polecą samolotem, to maszyna pewnie wyląduje całkiem gdzie indziej! A ja nie mogę tego ujawnić, niech to szlag. Dyscyplina! Trzeba utrzymać dyscyplinę! Dlatego wtedy z tobą rozmawiałem.

— Pytałeś, czy znam kogoś odpowiedniego.

— Tak. Pomyślałem, że to możliwe w twoim biznesie. Jakiegoś zawadiakę rwącego się do walki. Każdy, kogo ja pošlę, zostanie najprawdopodobniej załatwiony. Za to twojego człowieka nikt pewnie by nie podejrzewał. Lecz musiałyby mieć silne nerwy.

— Myślę, że znam kogoś, kto się do tego nadaje — powiedział jego przyjaciel.

— Bogu dzięki nadal istnieją ludzie gotowi podjąć ryzyko. Zatem umowa stoi?

— Stoi — potwierdził pan Pyne.

Parker Pyne jeszcze raz podsumował instrukcje.

— Czy wszystko jest jasne? Pojedzie pan sypialnym pierwszej klasy do Genewy. Wyjedzie pan z Londynu pociągiem o dziesiątej czterdzieści pięć, przez Folkestone do Bolonii, a tam wsiądzie pan do sypialnego. O ósmej następnego ranka dotrze pan do Genewy. Zgłosi się pan pod ten adres. Proszę go zapamiętać, a potem zniszczyć kartkę. Następnie proszę się udać do tego hotelu i czekać na dalsze instrukcje. Tu jest wystarczająca ilość pieniędzy w walucie francuskiej i szwajcarskiej. Zrozumiał pan?

— Tak, sir — oczy Roberta lśniły z podniecenia. — Przepraszam, ale czy wolno mi spytać, co zawiera ta przesyłka?

Pan Pyne uśmiechnął się dobrodusznie.

— Wiezie pan kryptogram, który ujawnia miejsce ukrycia rosyjskich klejnotów koronnych — oświadczył uroczyście. — Naturalnie rozumie pan, że bolszewicy agenci będą starali się pana powstrzymać. Jeśli będzie pan musiał wyjawić coś na swój temat, proszę mówić, iż odziedziczył pan trochę pieniędzy i wybiera się na krótkie wakacje za granicę.

Pan Roberts popijając kawę spoglądał na Jezioro Genewskie. Był szczęśliwy, ale jednocześnie rozczarowany.

Czuł się szczęśliwy, gdyż po raz pierwszy w życiu przebywał za granicą. Co więcej, mieszkał w hotelu, na który sam nigdy by nie mógł sobie pozwolić, i ani przez chwilę nie musiał się martwić o pieniądze! Miał pokój z łazienką, posiłki były wyśmienite, a obsługa niezwykle uprzejma. Wszystko to naprawdę bardzo mu się podobało.

A rozczarowany był, ponieważ jak do tej pory nie spotkało go nic, co można by określić mianem przygody. Nie pojawili się żadni zakamuflowani bolszewicy ani tajemniczy Rosjanie. Jediną osobą, z jaką do tej pory rozmawiał, był spotkany w pociągu francuski handlowiec, który zresztą doskonale władał angielskim. Pan Roberts ukrył papiery w kosmetyczce, tak jak mu przykazano, i dostarczył je na miejsce zgodnie z instrukcją. Nie czyhały na niego żadne niebezpieczeństwa, nie brał udziału w zapierających dech w piersi pościgach. Był doprawdy srodze zawiedziony.

W tym momencie wysoki mężczyzna z brodą mruknął *pardon* i usiadł po drugiej stronie małego stolika.

— Pan wybaczy — powiedział — ale chyba mamy wspólnego przyjaciela. Jego inicjały to “P.P.”

Pan Roberts poczuł przyjemny dreszczyk. Nareszcie, oto tajemniczy Rosjanin.

— Z-zgadza się.

— Zatem myślę, że się rozumiemy — dodał nieznajomy.

Urzędnik przyjrzał mu się badawczo. Mężczyzna stanowił ucieleśnienie bohatera powieści szpiegowskiej. Miał około pięćdziesiątki i wyglądał na dystyngowanego cudzoziemca. Nosił monokl i kolorową wstążeczkę wpiętą w klapę marynarki.

— Doskonale wywiązał się pan z misji — podjął. — Czy jest pan gotów podjąć się następnej?

— Oczywiście. Och tak.

— To dobrze. Zarezerwuj pan miejsce w wagonie sypialnym w pociągu relacji Genewa–Paryż na jutrzejszy wieczór. Poprosi pan o łóżko numer dziewięć.

— A jeżeli będzie zajęte?

— Nie będzie. Postaramy się o to.

— Łóżko numer dziewięć — powtórzył Roberts. — Dobrze, zapamiętam.

— W czasie podróży ktoś zada panu następujące pytanie: “Przepraszam, *monsieur*, ale chyba był pan ostatnio w Grasse?” Odpowie pan: “Owszem, w zeszłym miesiącu”. Ta osoba spyta: “Czy interesuje się pan perfumami?” A pan na to: “Tak, jestem producentem syntetycznego olejku jaśminowego”. Potem odda się pan całkowicie do dyspozycji tej osoby. Przy okazji, czy jest pan uzbrojony?

— Nie — odpowiedział przestraszony Roberts. — Nic sądziłem... to znaczy...

— Zaraz temu zaradzimy — odrzekł brodac. Rozejrzał się wokół. Nikogo nic było w pobliżu. Wcisnął do ręki pana Roberta coś twardego i błyszczącego. — Mała broń, ale skuteczna — wyjaśnił z uśmiechem.

Urzędnik, który nigdy w życiu nie strzelił z pistoletu, ostrożnie wsunął go do kieszeni. Miał niepokojące uczucie, że w każdej chwili może wypalić.

Jeszcze raz powtórzyli hasła i cudzoziemiec wstał.

— Życzę panu szczęścia — powiedział. — Oby nic się panu nie stało. Jest pan dzielnym człowiekiem, panie Roberts.

— Naprawdę? — pomyślał Roberts, kiedy nieznajomy się oddalił. — Na pewno nie chcę zginąć. Zupełnie mi to nie odpowiada.

Wzdłuż kręgosłupa przebiegł mu przyjemny dreszczyk, odrobinę osłabiony dreszczykiem, który wcale przyjemny nie był.

Wrócił do pokoju i obejrzał pistolet. Nadal nie miał pewności, jak się nim posługiwać, ufał więc, że nie będzie musiał go użyć.

Następnie poszedł zrobić rezerwację.

Pociąg odjeżdżał z Genewy o dziewiątej trzydzieści. Roberts pojawił się na dworcu punktualnie. Konduktor z wagonu sypialnego wziął od niego bilet oraz paszport, zrećnie odsuwając się na bok, gdy jego pomocnik z rozmachem umieszczał walizkę Roberta na półce. Znajdował się na niej już inny bagaż: neseser ze świńskiej skóry i waliza typu *Gladstone*.

— Łóżko numer dziewięć znajduje się na dole — odpowiedział konduktor.

Roberts odwrócił się, żeby wyjść z przedziału, i zderzył się w drzwiach z potężnym mężczyzną. Grzecznie się przeprosili — Roberts po angielsku, obcy po francusku. Był to wysoki, krzepki mężczyzna o gładko ogolonej twarzy. Na nosie miał grube okulary, zza których jego oczy zdawały się patrzeć bardzo podejrzliwie.

— Dziwny gość — mruknął pod nosem nasz poszukiwacz przygód.

Wyczuwał coś niejasno złowieszczonego w towarzystwie podróży. Czy dlatego miał zarezerwować łóżko numer dziewięć, żeby mieć tego faceta na oku? Uznał, że to bardzo prawdopodobne.

Wyszedł na korytarz. Do odjazdu pociągu zostało jeszcze dziesięć minut, więc postanowił przejść się po peronie. W połowie długości korytarza musiał stanąć z boku, żeby przepuścić jakąś damę. Właśnie wsiadła do pociągu i prowadził ją konduktor z biletem w ręku. Przechodząc obok Roberta upuściła torebkę. Anglik podniósł ją i oddał kobiecie.

— Dziękuję, *monsieur* — mówiła po angielsku, ale z obcym akcentem. Miała niski, bardzo zmysłowy głos. Już miała ruszyć dalej, ale zawahała się i szepnęła: — Przepraszam, *monsieur*, ale chyba był pan ostatnio w Grasse?

Serce aż mu podskoczyło z podniecenia. Miał być do dyspozycji tej uroczej istoty — gdyż naprawdę była urocza, bez dwóch zdań. Ubrana była w podróżny futrzany płaszcz i szykowny kapelusz, a jej szyję otaczały perły. Miała ciemne włosy i szkarłatne usta.

Roberts odpowiedział zgodnie z instrukcją:

— Owszem, w zeszłym miesiącu.

— Czy interesuje się pan perfumami?

— Tak, jestem producentem syntetycznego olejku jaśminowego.

Pochyliła głowę i ruszyła dalej, a jego uszu dobiegł ledwie słyszalny szept.

— Na korytarzu, jak tylko pociąg ruszy.

Roberts miał wrażenie, że następne dziesięć minut trwało całe wieki. W końcu pociąg ruszył. Urzędnik poszedł wolno wzdłuż korytarza i spostrzegł, że dama w futrze mocuje się z oknem. Natychmiast pośpieszył jej z pomocą.

— Dziękuję, *monsieur*. Przyda się trochę świeżego powietrza, zanim każą nam wszystko pozamykać — a potem szybko dodała miękko, cichym głosem: — Gdy przekroczymy granicę, a pana towarzysz podróży zaśnie, nie wcześniej, proszę przejść przez łazienkę do sąsiedniego przedziału. Rozumie pan?

— Tak — opuścił okno i spytał trochę głośniej: — Czy tak jest lepiej, *madame*?

— Dziękuję panu bardzo.

Wrócił do swojego przedziału. Jego współpasażer leżał już wyciągnięty na swoim miejscu. Niewątpliwie przygotowania do snu nie zajęły mu wiele czasu. W rzeczy samej, zdjął tylko buty i płaszcz.

Roberts przez chwilę zastanawiał się nad swoim strojem. Skoro wybierał się do przedziału zajmowanego przez kobietę, nie mógł się przecież rozebrać.

Znalazł pantofle, które włożył zamiast butów, a potem wyłączył światło i położył się. Kilka minut później pasażer na górnym łóżku zaczął chrapać.

Tuż po dziesiątej przekroczyli granicę. Drzwi otworzyły się i padło zdawkowe pytanie: “Czy *messieurs* mają coś do oclenia?” Drzwi znowu się zamknęły i po chwili pociąg ruszył ze stacji w Bellegarde.

Mężczyzna na górnym łóżku znowu zachrapał. Roberts odczekał dwadzieścia minut, wstał po cichutku i otworzył drzwi do łazienki. Kiedy już znalazł się w środku, zamknął je na zasuwkę i przyjrzał się drzwiom po drugiej stronie. Nie były zamknięte. Zawahał się. Czy powinien zapukać?

W tej sytuacji byłoby to raczej absurdalne. Jednakże nie miał ochoty wchodzić bez pukania. Zdecydował się uchylić trochę drzwi i poczekać. Zdobył się nawet na nieśmiałe kasznięcie.

Reakcja była natychmiastowa. Drzwi otworzyły się gwałtownie, dziewczyna chwyciła go za ramię, wciągnęła do przedziału i zaryglowała drzwi.

Robertsowi zaparło dech w piersi. Nigdy nawet sobie nie wyobrażał czegoś równie cudownego. Dziewczyna miała na sobie długą, zwiewną szatę z szyfonu i koronek. Ciężko oddychając oparła się o drzwi prowadzące na korytarz. Roberts często czytał o pięknych damach ściganych przez złoczyńców. Teraz widział taką istotę na własne oczy i był to zaiste cudowny widok.

— Dzięki Bogu! — westchnęła.

Była młoda i tak urocza, że wydawała mu się wręcz istotą nie z tego świata. Nareszcie

romantyczna historia, a on bierze w niej udział!

Zacząła pośpiesznie mówić ściszym głosem. Jej angielszczyzna była zupełnie dobra, ale akcent wyraźnie obcy.

— Tak się cieszę, że pan przyszedł. Potwornie się bałam. Wasiliewicz znajduje się w tym pociągu. Rozumie pan, co to znaczy?

Roberts nie miał zielonego pojęcia, co to może znaczyć, ale twierdząco skinął głową.

— Myślałam, że się mu wymknęłam, ale mogłam się domyślić, iż mi się to nie uda. Co teraz zrobimy? Wasiliewicz jest w przedziale obok. Cokolwiek by się stało, on nie może dostać klejnotów.

— Nie skrzywdzi pani i nie zabierze klejnotów — oświadczył Roberts z determinacją.

— To co mam z nimi zrobić?

Roberts spojrział na drzwi, o które się opierała.

— Drzwi są zamknięte — powiedział. Dziewczyna zaśmiała się.

— Cóż znaczą zamknięte drzwi dla Wasiliewicza? Roberts coraz bardziej czuł się tak, jakby się znalazł w samym środku jednej ze swoich ulubionych powieści.

— Można zrobić tylko jedno. Proszę mi je dać. Obrzuciła go pełnym wahania spojrzeniem.

— Są warte ćwierć miliona. Mężczyzna zarumienił się.

— Może mi pani zaufać.

Dziewczyna wahała się jeszcze chwilę, po czym podjęła decyzję.

— Dobrze, zaufam panu.

Wykonała wdzięczny gest i w następnej chwili wyciągała w jego stronę parę zwiniętych pończoch — pończoch z jedwabiu cienkiego niczym pajęczyna.

— Weź je, mój przyjacielu — powiedziała do zdumionego Roberta.

Wziął pończochy do ręki i od razu zrozumiał. Zamiast być lekkie jak powietrze, pończochy okazały się nadspodziewanie ciężkie.

— Proszę je zabrać do swojego przedziału — dodała.

— Może mi pan oddać je rano... jeśli jeszcze tu będę.

Roberts odchrząknął.

— Proszę posłuchać — odezwał się. — Chodzi mi o panią — zamilkł na chwilę. — Ja... muszę panią chronić — znów zarumienił się udręczony niestosownością propozycji. — To znaczy nie tutaj. Ukryję się tam — wskazał na łazienkę.

— Jeśli ma pan ochotę zostać tu... — zerknęła na górne łóżko, które było wolne.

Roberts zaczerwienił się po korzonki włosów.

— Nie, nie — zaprotestował. — Tam mi będzie dobrze. Proszę zawołać, jeśli będzie mnie pani potrzebowała.

— Dziękuję, przyjacielu — czule odpowiedziała dziewczyna.

Wsunęła się do łóżka, podciągnęła kołdrę pod brodę i uśmiechnęła się z wdzięcznością. Nasz bohater wycofał się do łazienki.

Nagle — musiało to być już kilka godzin później — wydało mu się, że coś słyszy. Nadstawił uszu — i nic. Może się pomylił. A jednak wydawało mu się, że z przedziału dobiegł jakiś cichy dźwięk. A jeżeli... jeżeli...

Cichutko uchylił drzwi. Pomieszczenie wyglądało tak, jak w chwili, gdy je opuszczał. Jedyne oświetlenie stanowiła mała niebieska lampka na suficie. Stał przez chwilę, próbując przebić wzrokiem mrok, dopóki jego oczy nie przywykły do ciemności. Dziewczyny nie było w łóżku!

Zapalił światło. Przedział był pusty. Nagle poczuł jakiś zapach. Tak, ledwo uchwytny, ale rozpoznał go — słodka, mdła woń chloroformu!

Zauważył, że zasuwka na drzwiach jest odsunięta, wyszedł więc na korytarz i rozejrzał się. Pusto! Jego wzrok spoczął na drzwiach do sąsiedniego przedziału.

Dziewczyna powiedziała, że tam właśnie był Wasiliewicz. Roberts ostrożnie nacisnął klamkę. Zamknięte od środka.

Co powinien zrobić? Domagać się, by go wpuszczono? Ale ten człowiek na pewno odmówi, a poza tym dziewczyna może być gdzie indziej! A nawet gdyby tam była, to czy podziękuje mu, że zrobił tyle zamieszania wokół jej sprawy? Przecież dyskrecja stanowiła najistotniejszy element tej rozgrywki.

Nie wiedząc, co ma począć, ruszył powoli wzdłuż korytarza. Zatrzymał się przy ostatnim przedziale. Za otwartymi drzwiami dostrzegł śpiącego konduktora. A nad nim na haczyku wisiała brązowa konduktorska marynarka i czapka z daszkiem.

W mgnieniu oka Roberts zdecydował się, co robić. Już po minucie miał na sobie marynarkę i czapkę i pędził z powrotem korytarzem. Zatrzymał się pod drzwiami przedziału Wasiliewicza, przywołał w sukurs całą swoją stanowczość i zapukał energicznie.

Nikt nie odpowiedział, więc zastukał ponownie.

— *Monsieur* — zawołał z najlepszym akcentem, na jaki było go stać.

Drzwi uchyliły się nieco i w szparze ukazała się twarz — twarz cudzoziemca, gładko ogolona, poza czarnymi wąsami. Mężczyzna był zdecydowanie zagniewany i nastawiony wrogo.

— *Qu'est-ce-qu'il y a?* — warknął.

— *Votre passeport, monsieur.*

Roberts cofnął się i kiwnął głową.

Mężczyzna zawahał się, ale w końcu wyszedł na korytarz. Dokładnie na to liczył nasz bohater. Jeżeli dziewczyna była w środku, to naturalnie cudzoziemiec nie będzie chciał tam wpuścić konduktora. Roberts zadziałał szybko niczym błyskawica. Z całej siły odepchnął bandytę na bok — w czym dopomogło mu kołysanie pociągu oraz fakt, że mężczyzna się (ego nie spodziewał — wpadł do przedziału i zaryglował drzwi.

Dziewczyna leżała na pryczy. Miała zakneblowane usta i związane ręce. Szybko ją uwolnił, a ona oparła się o niego z westchnieniem ulgi.

— Czuję się taka słaba i chora — szepnęła. — To chyba był chloroform. Czy on... czy zdobył klejnoty?

— Nie — Roberts poklepał się po kieszeni. — Co teraz zrobimy? — zapytał.

Dziewczyna usiadła prosto. Wyraźnie dochodziła do siebie. Wtem zauważyła jego strój.

— Jaki pan sprytny. Że też pan wpadł na taki pomysł! Powiedział, że mnie zabije, jeśli nie zdradzę mu, gdzie są klejnoty. Tak się bałam... a wtedy pojawił się pan.

Nagle zaśmiała się.

— Przechytrzyliśmy go! Nie odważy się teraz na nic. Nawet nie może dostać się z powrotem do własnego przedziału. Musimy tu zostać do rana. Zapewne wysiądzie z pociągu w Dijon, gdzie powinniśmy dotrzeć za jakieś pół godziny. Zatelegrafuje do Paryża i pewnie ktoś tam podejmie trop. Tymczasem lepiej, żeby wyrzucił pan tę marynarkę i czapkę przez okno, bo może pan mieć z tego powodu kłopoty.

Roberts posłusznie wykonał polecenie.

— Nie wolno nam zasnąć — postanowiła dziewczyna. — Musimy trzymać straż do rana.

Było to bardzo dziwne i ekscytujące czuwanie. O szóstej rano Roberts ostrożnie otworzył drzwi i wyjrzał. Nikogo nie było w pobliżu. Dziewczyna szybko przemknęła do swojego przedziału, a on za nią. Ktoś najwyraźniej starannie przeszukał wszystkie jej bagaże.

Roberts wrócił do siebie przez łazienkę. Jego współtowarzysz nadal chrapał.

Do Paryża dotarli o siódmej rano. Konduktor robił mnóstwo zamieszania z powodu utraty munduru i czapki. A nie odkrył jeszcze, że zgubił również jednego pasażera. Potem rozpoczęła się niezwykle ekscytująca ucieczka. Przesiadali się z jednej taksówki do drugiej, jeżdżąc po całym mieście. Wchodzili do różnych hoteli i restauracji jednymi drzwiami, a wychodzili innymi. W końcu dziewczyna dała mu znak.

— Jestem już pewna, że nikt nas nie śledzi — powiedziała. — Zgubiliśmy ich.

Zjedli śniadanie, po czym pojechali do Le Bourget. Trzy godziny później byli już na lotnisku Croydon. Roberts nigdy przedtem nie leciał samolotem.

Na lotnisku czekał na nich wysoki dżentelmen odrobinę podobny do mentora Roberta z Genewy. Powitał dziewczynę z wyjątkową rewerencją.

— Samochód czeka, proszę pani — powiedział.

— Ten dżentelmen będzie nam towarzyszył, Paul — uprzedziła go dziewczyna i zwróciła się do Roberta: — Hrabia Paul Stepanij.

Samochód okazał się luksusową limuzyną. Podróż trwała około godziny. Wreszcie wjechali na teren posiadłości ziemskiej i zatrzymali się przed imponującą rezydencją. Pan Roberts został zaprowadzony do gabinetu, gdzie oddał cenną parę pończoch. Zostawiono go na chwilę samego, po czym wrócił hrabia Stepanij. — Panie Roberts — przemówił — pragniemy panu podziękować i wyrazić naszą wdzięczność. Udowodnił pan, że jest człowiekiem odważnym i pomysłowym — wyciągnął w jego stronę szkatułkę obitą czerwonym marokinem. — Pragnę odznaczyć pana Orderem Świętego Stanisława dziesiątej klasy z laurami.

Roberts jak we śnie otworzył szkatułkę i spojrzał na order ozdobiony cennymi kamieniami. Starszy dżentelmen mówił dalej:

— Zanim nas pan opuści, wielka księżna Olga chciałaby osobiście panu podziękować.

Zaprowadził Roberta do ogromnego salonu. A tutaj, odziana w powiewne szaty, stała piękna towarzyszką jego podróży.

Władczym gestem dłoni odprawiła hrabiego z pokoju.

— Zawdzięczam panu życie — powiedziała wielka księżna.

Wyciągnęła do niego rękę, a Roberts ją ucałował. Niespodziewanie pochyliła się w jego stronę.

— Jest pan dzielny człowiekiem — dodała.

Jej wargi dotknęły jego ust. Owionął go zapach orientalnych perfum.

Przez krótki moment trzymał tę smukłą, piękną istotę w ramionach...

Nadal jeszcze marzył, gdy ktoś nagle odezwał się do niego:

— Limuzyna zawiezie pana, dokądkolwiek pan sobie zażyczy.

Godzinę później samochód wrócił po wielką księżną Olę. Wsiadła do niego wraz z siwowłosym mężczyzną, który zdjął już brodę, gdyż było mu w niej za gorąco. Limuzyna podwiozła wielką księżną pod niepozorny dom w Streatham. Kiedy weszła do środka, starsza kobieta spojrzała na nią znad stolika do kawy.

— Ach, Maggie, kochanie, dobrze, że już wróciłaś. W ekspresie relacji Genewa–Paryż dziewczyna była wielką księżną Olgą, w biurze pana Parkera Pyne’a była panną Madeleine de Sara, natomiast w domu w Streatham — Maggie Sayers, czwartą córką w ucziwej, ciężko pracującej rodzinie.

Oto jak upadają możni tego świata!

Pan Pyne jadł lunch ze swoim przyjacielem.

— Moje gratulacje — powiedział Bonnington — twój człowiek bezbłędnie przeprowadził całą akcję. Gang Tormaliego musi się gotować z wściekłości na myśl, że plany tej broni zostały przekazane Lidze. Powiedziałaś kurierowi, co wiezie?

— Nie. Uznałem, że lepiej będzie... trochę podkoloryzować sprawę.

— Bardzo rozważne posunięcie.

— Tu nie chodziło o rozważę. Zależało mi, żeby ten człowiek dobrze się bawił. Pomyślałem, że plany broni mogą mu się wydać trochę banalne, a pragnąłem zapewnić mu ciekawą przygodę.

— Banalne? — zapytał pan Bonnington, wpatrując się w niego ze zdumieniem. — Przecież ta banda zamordowałaby go bez chwili wahania.

— To prawda — łagodnie odrzekł pan Pyne. — A ja nie chciałem, żeby go zamordowano.

— Dużo zarabiasz na tym swoim interesie, Parker? — zainteresował się pan Bonnington.

— Czasami tracę — wyznał pan Pyne. — Ale tylko wtedy, gdy sprawa jest tego warta.

W Paryżu trzech wściekłych dżentelmenów oskarżało się nawzajem.

— To ten przekłety Hooper — powiedział jeden z nich.

— To on nas zawiódł.

— Planów nic przewoził nikt z biura — odezwał się drugi. — Ale wyjechały w środę, jestem o tym przekonany. Zatem to ty sknociłeś sprawę.

— Nie ja — nadał się trzeci. — W pociągu nic było żadnych Anglików, z wyjątkiem tego małego urzędnika.

A on nigdy nie słyszał ani o Peterfieldzie, ani o tej broni. Wiem to. Sprawdziłem go. Nic go nie obchodził Peterfield ani broń — zaśmiał się — miał za to jakiś kompleks na punkcie bolszewików.

Pan Roberts siedział przed kominkiem, a na jego kolanach leżał list od pana Parkera Pyne'a, zawierający czek na pięćdziesiąt funtów “od ludzi, którzy byli zachwyceni sposobem, w jaki przeprowadzono pewne zlecenie”.

Na poręczy fotela leżała książka z biblioteki. Pan Roberts otworzył ją na chybił trafił. “Skuliła się pod drzwiami, piękna, osaczona istota”.

Cóż, wiedział wszystko na ten temat.

Przeczytał inne zdanie. “Wciągnął powietrze przez nos i poczuł słabą, mdlącą woń chloroformu”.

O tym też wszystko wiedział.

“Pochwycił ją w ramiona i ucałował jej drżące, szkarłatne wargi”.

Pan Roberts westchnął. Nie śnił. To wszystko się wydarzyło naprawdę. Podróż w tamtą stronę była dosyć nudna, ale za to podróż powrotna! Cieszył się każdą jej chwilą. Mimo to był zadowolony, że wrócił już do domu. Niejasno przeczuwał, że nie dałby rady bezustannie żyć w takim tempie. Nawet wielka księżna Olga —nawet jej ostatni pocałunek — zaczynała już wydawać mu się nierealna jak sen.

Jutro wraca do domu Mary z dziećmi. Pan Roberts uśmiechnął się uszczęśliwiony.

Pewnie powie: “Mieliśmy takie miłe wakacje. Tak mi było przykro, że siedziałeś tu samotnie, staruszek”. A on na to: “Nie ma sprawy, staruszek. Musiałem pojechać w interesach do Genewy, w sprawie bardzo delikatnych negocjacji. Zobacz, co dostałem”. I pokaże jej czek na pięćdziesiąt funtów.

Pomyślał o Orderze Świętego Stanisława, dziesiątej klasy z laurami. Ukrył go, ale jeśli Mary go znajdzie! Musiałby się gęsto tłumaczyć...

— Już wiem, powiem jej, że kupiłem go za granicą — pomyślał. — Taka tam ciekawostka.

Ponownie otworzył książkę i bardzo szczęśliwy zagłębił się w lekturze. Z jego twarzy zniknął już

ten tęskny wyraz.

On również należał do tych wspaniałych bohaterów, którym przytrafiają się Niezwykłe Przygody.

Sprawa bogatej wdowy

Sekretarka zaanonsowała panią Abnerową Rymer. Pan Parker Pyne, któremu to nazwisko nie było obce, ze zdumieniem uniósł brwi.

Po chwili klientka została wprowadzona do jego gabinetu.

Była wysoką, grubokościstą kobietą. Niedostatków jej figury nie mogła ukryć nawet aksamitna suknia i obszerne futro. Na jej potężnych dłoniach wyraźnie odznaczały się wystające kłykcie. Jej dużą, szeroką i mocno wymalowaną twarz otaczały czarne włosy, bardzo modnie ufryzowane, a z kapelusza sterczało mnóstwo strusich piór.

Kiwnąwszy głową, usadowiła się w fotelu.

— Dzień dobry — powiedziała, a w jej głosie zabrzmiał twardy akcent. — Jeśli jest pan coś wart, to powie mi pan, jak mam wydawać swoje pieniądze!

— Niezwykle oryginalne — mruknął pan Pyne.

— W obecnych czasach niewiele osób może o to pytać. Zatem sprawia to pani kłopoty, pani Rymer?

— Tak — odparła prosto z mostu. — Posiadam trzy futra, mnóstwo kreacji z Paryża i inne takie. Mam samochód i dom przy Park Lane. Kupiłam też jacht, ale nie lubię morza. Mam też stado nadętych służących, którzy patrzą na wszystkich z góry. Dużo podróżowałam i zwiedziłam kawał świata, I niech mnie gęś kopnie, jeśli wymyślę, co jeszcze można by kupić albo zrobić — spojrzała z nadzieją na pana Pyne'a.

— Jest jeszcze dobroczynność — zasugerował.

— Co? Ach, chodzi panu o to, żeby rozdawać pieniądze? Nie, tego nie zrobię! To są ciężko zapracowane pieniądze, powiem panu, i to bardzo ciężko. Jeśli myśli pan, że zamierzam je oddać ciepłą rączką, to się pan myli. Chcę je wydawać. Wydawać i coś z tego mieć. Jeśli tną pan jakieś pomysły warte zachodu, to może pan liczyć na sowitą zapłatę.

— Jestem zainteresowany pani propozycją — zapewnił Parker. — Ale nie wspomniała pani nic o rezydencji na wsi.

— Zapomniałam, ale mam jedną. Nudzę się tam śmiertelnie.

— Musi mi pani opowiedzieć coś więcej o sobie. Pani problem nie jest łatwy do rozwiązania.

— Chętnie opowiem. Nie wstydzę się swojego pochodzenia. Za młodu pracowałam na farmie. Ciężka to była praca. Potem zaprzyjaźniłam się z Abnerem, który pracował w młynie nieopodal.

Zalecał się do mnie przez osiem lat, zanim się pobraliśmy.

— I była pani szczęśliwa? — zapytał pan Pyne.

— Oj, tak. Abner był dla mnie dobrym mężem, choć ledwo wiązaliśmy koniec z końcem. Dwa razy stracił pracę, kiedy akurat dzieci były w drodze. W sumie mieliśmy czwórkę, trzech chłopców i dziewczynkę. Wszystkie umarły w dzieciństwie. Tak sobie myślę, że pewnie byłoby inaczej, gdyby żyły — jej twarz złagodniała i nagle wydała się dużo młodsza. — Mój Abner miał słabe płuca, więc nie wzięli go na wojnę. Za to w kraju nieźle mu się działo. Awansował na brygadzystę. To był łebski chłop. Wymyślił jakiś proces czy coś. I mówiąc szczerze, potraktowali go sprawiedliwie. Całkiem przyzwoicie mu zapłacili. Wszystko wydał na nowy wynalazek, który przyniósł całe góry pieniędzy. Nadal przynosi. Mówię panu, na początku to dopiero była frajda. Dom, pierwszorzędna łazienka i własna służba. Koniec z gotowaniem, szorowaniem i praniem. Siedzisz tylko w salonie na jedwabnych poduszkach i dzwonisz po herbatę — jak jaka hrabina! Bardzo nam było fajnie. A potem sprowadziliśmy się do Londynu. Chodziłam po ciuchy do najlepszych krawców. Pojechaliśmy do Paryża i na Riwierę. Rzadka zabawa, mówię panu.

— A potem... — zachęcił ją pan Pyne.

— Chyba przywykliśmy — podjęła pani Rymer. — Po jakimś czasie już nas to nie bawiło. Zdarzały się dni, kiedy nawet nie mieliśmy ochoty jeść — my, którzy mogliśmy mieć wszelkie frykasy! A jeśli o kąpiele idzie, to w końcu jedna dziennie wystarczy każdemu. Zdrowie Abnera zaczęło się pogarszać. Wydaliśmy fortunę na lekarzy, ale oni nic nie mogli zrobić. Próbowali tego i owego, ale wszystko na nic. No i umarł — zamilkła. — Był młodym człowiekiem, miał ledwie czterdzieści trzy lata.

Pan Pyne współczująco pokiwał głową.

— To było pięć lat temu. Pieniądze ciągle napływają. Wydaje mi się, że to straszne marnotrawstwo, kiedy tak leżą odłogiem. Ale nie potrafię wymyślić, co by tu jeszcze z nimi zrobić.

— Innymi słowy — podsumował Parker Pyne — pani życie jest nudne. Nie sprawia pani radości.

— Mam go powyżej uszu — ponuro wyznała pani Rymer. — Nie mam żadnych przyjaciół. Nowi znajomi chcą tylko składek członkowskich, a za moimi plecami wyśmiewają się ze mnie. A starzy nie chcą już ze mną gadać. Onieśmiela ich, jak podjeżdżam limuzyną. Może pan coś z tym zrobić?

— Prawdopodobnie mogę — odpowiedział z namysłem pan Pyne. — Sprawa nie będzie łatwa, ale wierzę, że może nam się udać. Niewykluczone, że mogę pani zwrócić to, co pani straciła, czyli zainteresowanie życiem.

— Jak? — szorstko spytała pani Rymer.

— To tajemnica zawodowa. Nigdy nie ujawniam swoich metod przed podjęciem działania. Pytanie tylko, czy zechce pani zaryzykować. Nic gwarantuję sukcesu, ale myślę, że istnieją realne szanse. Będę musiał zastosować nadzwyczajne środki i dlatego koszta będą wysokie. Opłata wyniesie tysiąc

funtów, płatne z góry.

— Umie pan zagadać, co? — powiedziała pani Rymer z uznaniem. — Dobra, zaryzykuję. Przywykłam płacić najwyższą cenę. Ale umiem dopilnować, żeby dostać to, za co płacę.

— Dostanie pani to — zapewnił ją Parker. — Bez obawy.

— Wyślę czek dziś wieczorem — dodała wstając z fotela. — Zupełnie nie wiem, czemu panu ufam. Pieniądze nie trzymają się głupców, jak to się mówi. Zdaje się, że jestem głupia. Trzeba mieć nie lada tupet, żeby tak ogłaszać w gazetach, że się uszczęśliwia ludzi!

— Płacę za te ogłoszenia — wyjaśnił pan Pyne. — Gdybym nie umiał spełnić swojej obietnicy, ten wydatek szedłby na marne. Wiem, jakie są powody tego, że ludzie czują się nieszczęśliwi, i w rezultacie mam jasną wizję tego, jak można im pomóc.

Pani Rymer z powątpiewaniem potrząsnęła głową i wyszła, zostawiając po sobie obłok przemieszanych kosztownych perfum.

Do gabinetu wkroczył przystojny Claude Lullrell.

— Coś z mojej dziedziny?

Pan Pyne przecząco pokręcił głową.

— Dużo bardziej skomplikowany przypadek — odparł. — To będzie trudna sprawa. Obawiam się, że będziemy musieli zaryzykować. Spróbujemy nadzwyczajnych metod.

— Pani Oliver?

Pan Pyne uśmiechnął się na wzmiankę o światowej sławy pisarce.

— Pani Oliver — powiedział — jest w gruncie rzeczy najbardziej konwencjonalna z nas wszystkich. A ja zamierzam wykonać śmiało i zuchwałe posunięcie. A tak przy okazji, zadzwoń po doktora Antrobusa.

— Antrobusa?

— Tak. Będziemy musieli skorzystać z jego usług.

Tydzień później pani Rymer ponownie wkroczyła do gabinetu pana Pyne'a, który grzecznie wstał na powitanie.

— Zapewniam panią, że ta zwłoka była konieczna — powiedział. — Trzeba było zorganizować wiele rzeczy, musiałem też zapewnić sobie usługi niezwykłego człowieka, który przemierzył na to spotkanie pół Europy.

— Och! — odpowiedziała podejrzliwie. Ani na sekundę nie zapomniała, że wystawiła czek na tysiąc funtów i że został on już zrealizowany.

Pan Parker Pyne nacisnął brzęczyk. Weszła młoda, ciemnowłosa dziewczyna o orientalnych rysach, ubrana w biały pielęgniarski fartuch.

— Czy wszystko jest gotowe, siostrze de Sara?

— Tak. Doktor Constantine czeka.

— Co zamierzacie? — zaniepokoiła się ich klientka.

— Zaprezentować odrobinę wschodniej magii, droga pani.

Pani Rymer poszła za pielęgniarką piętro wyżej. Tutaj została wprowadzona do pokoju, który nijak nie pasował do reszty domu. Orientalne draperie pokrywały ściany, a na podłodze leżały piękne kobierce i stały otomany zarzucone miękkimi poduszkami. Jakiś mężczyzna pochylał się nad dzbankiem do kawy. Kiedy panie weszły do pokoju, wyprostował się.

— Doktor Constantine — przedstawiła go pielęgniarka. Doktor był ubrany zgodnie z europejską modą, ale twarz miał smagłą, a oczy czarne, skośne i niebywale wprosi przenikliwe.

— Zatem to jest moja pacjentka? — zapytał niskim, dźwięcznym głosem.

— Nie jestem pacjentką — zaproponowała pani Rymer.

— Pani ciało nie jest chore — odrzekł doktor — ale pani dusza cierpi. My, ludzie Wschodu, znamy lek na to cierpienie. Proszę usiąść i wypić filiżankę kawy.

Usiadła i przyjęła maleńką filiżaneczkę z wonnym naparem. Doktor mówił dalej, podczas gdy ona piła.

— Tutaj, na Zachodzie, leczy się tylko ciało. To błąd. Ciało jest tylko instrumentem, na którym gra się melodię. Może ona być smutna i tęskna. Może też być wesoła i zachwycająca. My obdarzymy panią taką muzyką. Ma pani pieniądze. Będzie je pani wydawać i cieszyć się nimi. Znow będzie warto żyć. To takie łatwe, łatwe, bardzo łatwe...

Pani Rymer poczuła się niezwykle ociężała. Postacie doktora i pielęgniarki stały się zamazane. Czuli się błogo szczęśliwa i strasznie śpiąca. Nagle sylwetka doktora zaczęła robić się coraz większa i większa. Cały świat zrobił się większy.

Doktor patrzył jej w oczy.

— Śpij — mówił. — Śpij. Twoje powieki są ciężkie. Zасыpiasz. Zасыpiasz. Zасыpiasz...

Pani Rymer zamknęła oczy i odpłynęła wraz z wielkim cudownym światem...

Kiedy w końcu otworzyła oczy, miała wrażenie, że upłynęło mnóstwo czasu. Niejasno przypominała sobie kilka rzeczy — dziwne, nieprawdopodobne sny; potem takie uczucie, jakby się budziła, i znowu sny. Przypominała sobie jakiś samochód i piękną brunetki; w pielęgniarskim fartuchu pochylającą się nad nią.

W każdym razie obudziła się już na dobre, i to we własnym łóżku.

Zaraz, czy aby na pewno we własnym? Wydawało się jakieś inne. Brakowało mu tej rozkosznej miękkości. Przywodziło jej raczej na myśl dni, które już prawie poszły w niepamięć. Poruszyła się, a ono zaskrzypiało. Łóżko pani Rymer przy Park Lane nigdy nie skrzypiało.

Rozejrzała się wokół. Bez wątpienia to nie był dom przy Park Lane. Może szpital? Nie — uznała — to nie szpital. Ani nie hotel. Pokój o ścianach w nieokreślonym liliowym odcieniu był prawie pusty. Znajdowała się w nim jedynie sosnowa umywalnia z miednicą i dzbankiem, obok której stała sosnowa komoda oraz metalowy kuferek. Jakieś nie znane jej ubrania wisiały na kołkach. Na łóżku leżała gęsto pocerowana kołdra, a pod nią ona.

— Gdzie ja jestem? — zapytała na głos. Otworzyły się drzwi i do pokoju wtoczyła się niska, pulchna kobieta o czerwonych policzkach. Od razu było widać, że jest bardzo pogodna. Miała podwinięte rękawy i nosiła fartuch.

— No proszę! — wykrzyknęła. — Obudziła się. Proszę wejść, panie doktorze.

Pani Rymer już otworzyła usta, żeby nagadać mu do słuchu, ale nie powiedziała nic, ponieważ człowiek, który wszedł za okrągłutką kobietą w niczym nie przypominał eleganckiego, smagłego doktora Constantine'a. Był to przygarbiony starszy pan, który spoglądał na nią zza grubych szkieł.

— Już lepiej — powiedział podchodząc do łóżka i chwytając panią Rymer za nadgarstek. — Wkrótce zupełnie wydobrzejesz, moja droga.

— Co mi było? — zażądała odpowiedzi pani Rymer.

— Miałaś bardzo dziwny atak — odrzekł lekarz. — Byłaś nieprzytomna przez dwa dni. Ale nie ma powodów do zmartwień.

— Napędziłaś nam strachu, Hanno — odezwała się kobieta. — Krzyczałaś okropnie i mówiłaś same dziwne rzeczy.

— Dobrze już, dobrze, pani Gardner — przerwał jej doktor. — Nie wolno denerwować pacjentki. Wkrótce znowu staniesz na nogach, moja droga.

— I nie martw się o robotę, Hanno — dodała pani Gardner. — Pani Roberts przysłała mi pomoc i świetnie sobie radzimy. Leż tylko spokojnie i zdrowiej, kochanieńka.

— Dlaczego nazywacie mnie Hanną? — spytała pani Rymer.

— No bo tak masz na imię — odrzekła skonsternowana pani Gardner.

— To nieprawda. Mam na imię Amelia. Amelia Rymer. Pani Abnerowa Rymer.

Lekarz i pani Gardner wymienili spojrzenia.

— No już dobrze, leż sobie spokojnie — powiedziała kobieta.

— Tak, tak — zawtórował jej doktor — nie ma się czym martwić.

Wycofali się z pokoju. Pani Rymer rozmyślała leżąc w łóżku. Dlaczego mówią do mnie per “Hanna” i dlaczego popatrzyli na siebie z takim rozbawieniem i niedowierzaniem, kiedy powiedziałam im, jak się nazywam? Gdzie ja jestem i co się stało?

Wysunęła się z pościeli. Czowała się jeszcze bardzo osłabiona, ale powoli podeszła do małego mansardowego okna i wyjrzała na zewnątrz. Zobaczyła zabudowania gospodarskie! Zupełnie zbita z tropu wróciła do łóżka.

Co ona robi na farmie, której nigdy w życiu nie widziała na oczy?

Do pokoju weszła pani Gardner niosąc na tacy miseczkę zupy.

Pani Rymer zaczęła przesłuchanie.

— Co ja robię w tym domu? — zapytała. — Kto mnie tu przywiózł?

— Nikt cię tu nie przywiózł, kochanieńka. To twój dom. A przynajmniej mieszkasz tu od pięciu lat i nigdy przedtem nie miałaś takiego ataku.

— Mieszkam tu od pięciu lat?

— Zgadza się. No, Hanno, chyba nie chcesz powiedzieć, że nadal nic nie pamiętasz?

— Nigdy tu nie mieszkałam! Nigdy przedtem cię nie widziałam.

— No, to przez tę chorobę o wszystkim zapominasz.

— Nigdy tu nie mieszkałam.

— Ależ mieszkałaś, kochanieńka.

Nagle pani Gardner podreptała do komody i pokazała pani Rymer wyblakłą fotografię w ramce.

Widniały na niej cztery osoby: brodaty mężczyzna, pulchna kobieta (pani Gardner), wysoki, chudy mężczyzna z miłym, nieśmiałym uśmiechem oraz kobieta w sukience i fartuchu — ona we własnej osobie!

Ogłupiała pani Rymer wpatrywała się w zdjęcie. Gospodyni postawiła tacę na stoliku obok łóżka i

cicho wyszła z pokoju.

Pani Rymer zaczęła mechanicznie jeść — zupa była dobra, mocna i gorąca. W jej umyśle panował kompletny zamęt. Kto tu oszalał? Pani Gardner czy ona? Na pewno jedna z nich! Ale przecież był jeszcze lekarz.

— Jestem Amelią Rymer — stanowczo oświadczyła na głos. — Wiem, że nią jestem i nikt mi nie wmówi niczego innego.

Skończyła posiłek i odstawiła naczynie na tacę. Jej wzrok przyciągnęła złożona gazeta, więc wzięła ją do ręki i spojrzała na datę: dziewiętnasty października. Kiedy poszła do biura Parkera Pyne'a? Piętnastego albo szesnastego. Zatem musiała być chora przez trzy dni.

— Ten łajdak doktor! — wykrzyknęła z gniewem. Ale mimo to odrobinę jej ulżyło. Słyszała o przypadkach, kiedy ludzie przez całe lata nic mogli sobie przypomnieć, kim są. Bała się, że i jej przytrafiło się coś podobnego.

Zaczęła przerzucać strony, bez pośpiechu przeglądając gazetę, kiedy nagle jeden artykuł przykuł jej wzrok.

Pani Abnerowa Rymer, wdowa po Abnerze Rymerze, znanym przemysłowcu, została wczoraj przewieziona do prywatnej kliniki dla psychicznie chorych. Od dwóch dni utrzymuje, że nie jest sobą, lecz służącą o nazwisku Hanna Moorhouse.

— Hanna Moorhouse! Więc o to chodzi — powiedziała pani Rymer. — Ona jest mną, a ja nią. Pewnie zrobili podmianę. —”No, ale możemy to szybko wyjaśnić! Jeśli len tłusty hipokryta Parker Pyne myśli, że te machinacje ujdą mu na sucho...

Ale w tym momencie rzuciło jej się w oczy nazwisko Constantine'a patrzące na nią z zadrukowanej strony. Tym razem był to nagłówek.

OŚWIADCZENIE DOKTORA CONSTANTINE'A

Na pożegnalnym wykładzie wygłoszonym w wigilię swego wyjazdu do Japonii, doktor Claudius Constantine przedstawił zdumiewającą teorię. Naukowiec utrzymuje, że można udowodnić istnienie duszy poprzez przeniesienie jej z jednej powłoki cielesnej do drugiej. Twierdzi, że podczas eksperymentów na Wschodzie udawało mu się z powodzeniem przeprowadzić podwójne przeniesienie duszy z zahipnotyzowanego ciała A do zahipnotyzowanego ciała B i z ciała B do ciała A. Po przebudzeniu z hipnotycznego snu

osobnik A utrzymywał, że jest osobnikiem B, a B uważał siebie za A. Aby eksperyment się udał, konieczne jest uczestnictwo dwóch osób o podobnej powierzchowności. Łatwo to można było zauważyć w przypadku bliźniąt, ale dwoje nieznanomych o całkiem różnej pozycji społecznej, lecz podobnych pod względem fizycznym, również przejawiało taką samą harmonie struktury wewnętrznej.

Pani Rymer z furią odrzuciła gazetę.

— Łajdak! Skończony drań!

Teraz już zrozumiała wszystko! To nikczemny spisek, żeby przejąć jej pieniądze. Ta Hanna Moorhouse stanowiła narzędzie w ręku Parkera Pyne'a — być może nawet niczego nieświadome. To on i ten diabeł Constantine uknuli tę podłą intrygę.

Ale ona to ujawni! Zdemaskuje go! Odda w ręce sprawiedliwości! Powie wszystkim...

Nagle oburzenie pani Rymer ucichło. Przypomniał jej się pierwszy artykuł. Hanna Moorhouse nie była potulnym narzędziem. Protestowała, ujawniała swoją tożsamość. I do czego to doprowadziło?

— Zamknęli biedactwo w szpitalu wariatów — sama sobie odpowiedziała Amelia.

Wzdłuż jej kręgosłupa przebiegł zimny dreszcz.

Szpital wariatów. Zamkną cię tam i nigdy nie wypuszczą. Im bardziej będziesz się upierała, że jesteś zdrowa, tym mniej będą ci wierzyli. Wpakują cię lam i zostaniesz tam na zawsze. Nie, pani Rymer nie zamierzała podjąć takiego ryzyka.

Otworzyły się drzwi i weszła pani Gardner.

— O, zjadłaś zupkę, kochanieńka. To dobrze. Już wkrótce poczujesz się lepiej.

— Kiedy zachorowałam? — zapyłała Amelia.

— Niech no pomyślę. Trzy dni temu, w środę. Czyli piętnastego. Pogorszyło ci się około czwartej.

— Aha! — ten krótki okrzyk obfitował w znaczenia. Około czwartej pani Rymer znalazła się u doktora Constantine'a.

— Osunęłaś się na krzesło — mówiła pani Gardner. — “Och!” powiedziałaś. Tylko “Och!” A potem takim sennym głosem: “Zasypiam”. “Zasypiam”. I rzeczywiście zasnęłaś, położyliśmy cię więc do łóżka, posłaliśmy po doktora i od tamtej pory tu leżysz.

— Przypuszczam — zaryzykowała pani Rymer — że nie ma niczego na potwierdzenie tego, kim jestem, oczywiście poza moją twarzą.

— Dziwaczne przypuszczenie — stwierdziła pani Gardner. — Chciałabym wiedzieć, czym jeszcze można się kierować poza twarzą człowieka. Ale masz jeszcze znamię, jeśli to ci bardziej odpowiada.

— Znamię? — powiedziała z nadzieją pani Rymer. Nigdy nie miała żadnego znamienia.

— Znak w kształcie truskawki tuż pod prawym łokciem — odrzekła kobieta. — Sama zobacz, kochanieńka.

— To będzie dowód — mruknęła pod nosem. Wiedziała, że nie ma znamienia w kształcie truskawki. Podwinęła rękaw koszuli nocnej. Pod łokciem znajdowało się znamię.

Pani Rymer wybuchnęła płaczem.

Cztery dni później wstała z łóżka. Udało jej się obmyślić kilka planów działania, ale wszystkie natychmiast odrzuciła.

Mogła pokazać artykuł w gazecie pani Gardner i wszystko wyjaśnić. Ale czy jej uwierzy? Była pewna, że nie.

Mogła też pójść na policję. Czy tam jej uwierzą? Odpowiedź znowu brzmiała przecząco.

Mogła pojechać do biura pana Pyne'a. Ten pomysł niewątpliwie najbardziej jej odpowiadał. Nade wszystko chciałaby powiedzieć temu tłustemu łajdakowi, co o nim myśli. Odwiodła ją od wcielenia tego planu w życie podstawowa przeszkoda. Pani Rymer dowiedziała się, że przebywa właśnie w Kornwalii, a nie miała pieniędzy na podróż do Londynu. Jej finanse stanowiły dwa szylingi i cztery pence znalezione w podniszczonej portmonetce.

I tak, po czterech dniach, pani Rymer podjęła bohaterską decyzję. Na razie zaakceptuje swoją sytuację! Była Hanną Moorhouse. Dobrze, niech tak zostanie. Na razie będzie grać tę rolę, a później, gdy zaoszczędzi wystarczającą ilość pieniędzy, pojedzie do Londynu i stawi czoło temu oszustowi w jego jaskini.

Podjąwszy decyzję, pani Rymer pogodziła się ze swoją sytuacją pogodnie, a nawet z pewnym rozbawieniem. W rzeczy samej, historia lubi się powtarzać. Obecne życie przypominało jej młodość. Jak dawno to było!

Po latach wygody i luksusów praca wydawała jej się dosyć ciężka, ale już po tygodniu wpadła w rytm obowiązków na farmie.

Pani Gardner była spokojną, miłą kobietą. Jej mąż, potężny, małomówny mężczyzna, również okazał się bardzo sympatyczny. Kudłaty, niezdarny chłopak ze zdjęcia odszedł; zajął jego miejsce inny rolnik — pogodny olbrzym w wieku około czterdziestu pięciu lat, wolno myślący i wolno mówiący, z nieśmiałymi iskierkami w niebieskich oczach.

Tygodnie mijały. W końcu nadszedł dzień, gdy pani Rymer zaoszczędziła kwotę wystarczającą na podróż do Londynu. Ale nie pojechała tam. Odłożyła wyjazd. Mam dosyć czasu — pomyślała. Ciągłe niepokoila ją myśl o zakładzie dla obłąkanych. Ten kundel, Parker Pyne, był cwany. Na pewno załatwi lekarza, który oświadczy, że ona jest szalona, zamkną ją gdzieś w odosobnionym miejscu i nikt nawet nic będzie o tym wiedział.

— Poza tym — przekonywała samą siebie — mała odmiana każdemu dobrze robi.

Wstawiała wcześnie i ciężko pracowała. Joe Welsh, nowy farmer, zachorował tej zimy, więc ona i pani Gardner opiekowały się nim. Rozbrajało ją, że ten potężny mężczyzna był tak całkowicie od nich uzależniony.

Nadeszła wiosna i czas kocenia się owiec. Łąki pokryły się dzikimi kwiatami, a w powietrzu czuło się słodką woń. Joe Welsh pomagał Hannie w jej obowiązkach. Hanna cerowała mu ubrania.

Czasami, w niedziele, szli razem na spacer. Joe był wdowcem. Jego żona umarła cztery lata temu. Od jej śmierci — jak — sam wyznał — zbyt często zaglądał do kieliszka.

Teraz nie zachodził już tak często “Pod Koronę”. Kupił też sobie trochę nowych ubrań. Pan i pani Gardner śmiali się z niego.

Hanna również trochę z niego pokpiwała. Docinała mu, mówiąc, że jest niezgrabiaszem, ale Joe nie miał nic przeciwko temu. Wyglądał na zawstydzonego, ale też i na szczęśliwego.

Po wiośnie nadeszło lato, a tego roku było to wyjątkowo dobre lato. Wszyscy ciężko pracowali.

Minęły żniwa. Liście na drzewach zaczęły żółknąć i czerwienieć.

Był ósmy października, kiedy Hanna uniosła wzrok znad kapusty, którą właśnie ścinała, i ujrzała pana Parkera Pyne’a opartego o płot.

— Ty! — zawołała Hanna alias pani Rymer. — Ty...

Trochę czasu minęło, zanim wszystko z siebie wyrzuciła, a kiedy już powiedziała, co miała do powiedzenia, zabrakło jej tchu.

Pan Pyne uśmiechnął się łagodnie.

— Całkowicie się z panią zgadzam.

— Oszust i kłamca, oto kim pan jesteś! — mówiła, powtarzając się już niestety. — Pan z tym pańskim Constantinem i hipnozą! I ta biedna dziewczyna, Hanna Moorhouse, zamknięta w wariatkowie.

— Nie — zaprotestował pan Pyne — źle mnie pani osądza. Hanny Moorhouse nie ma w szpitalu dla psychicznie chorych, a to dlatego, że Hanna Moorhouse po prostu nie istnieje.

— Doprawdy? — zapytała ironicznym tonem jego klientka. — A co z jej zdjęciem, które widziałam na własne oczy?

— Fotomontaż — odparł. — Bardzo łatwa sprawa.

— A ta wzmianka w gazecie o niej?

— Cała gazeta została sfabrykowana tak, żeby te dwa artykuły wyglądały zupełnie naturalnie i nie budziły podejrzeń. Co się w pełni udało.

— A ten łajdak, doktor Constantine?

— Przybrane nazwisko — jednego z moich przyjaciół, przejawiającego talent aktorski.

Pani Rymer parsknęła z niedowierzaniem.

— Oho! I zapewne nie zostałam też zahipnotyzowana?

— W rzeczy samej, nie. Wypiła pani podany w kawie wywar z indyjskich konopi. Potem podano pani również inne środki i przywieziono samochodem do tego domu, gdzie odzyskała pani przytomność.

— Więc pani Gardner cały czas była w to wtajemniczona? — zapytała ofiara.

Pan Pyne kiwnął głową.

— Pewnie przekupił ją pan! Albo napchał jej głowę łgarstwami!

— Pani Gardner po prostu mi ufa — wyjaśnił pan Pyne. — Kiedyś ocaliłem jej jedyne syna przed zesłaniem na ciężkie roboty.

Coś w jego postawie kazało pani Rymer przestać drążyć ten temat.

— A co ze znamieniem? — dociekała dalej. Parker Pyne uśmiechnął się.

— Już błędnie. Za pół roku zniknie zupełnie.

— No dobrze, ale jaki był cel całej tej maskarady? Zrobiliście ze mnie idiotkę, uwięziliście mnie tutaj w roli służącej — mnie, która mam w banku całą fortunę! Ale chyba nie muszę pytać. Pewnie sobie z niej korzystałeś, przyjacielu. Taki był cel.

— To prawda — przyznał pan Pyne — że otrzymałem od pani pełnomocnictwo prawne, gdy była pani pod wpływem, narkotyków, i że podczas pani... eee... nieobecności przejąłem kontrolę nad finansami, ale zapewniam, moja droga, że poza tym pierwszym tysiącem funtów ani grosz z pani pieniędzy nie znalazł się w mojej kieszeni. Właściwie dzięki rozsądnym inwestycjom pani sytuacja finansowa znacznie się poprawiła — uśmiechnął się do niej promiennie.

— To dlaczego?... — zaczęła pani Rymer.

— Chciałbym zadać pani jedno pytanie — przerwał jej pan Pyne. — Jest pani uczciwą kobietą i wiem, że odpowie mi pani szczerze. Chciałbym panią zapytać, czy jest pani szczęśliwa.

— Szczęśliwa? Dobrze sobie! Okradł kobietę z pieniędzy i pyta, czy jest szczęśliwa. Podoba mi się pański tupet!

— Nadal jest pani zła — powiedział. — To zupełnie naturalne. Ale przez chwilę nie mówmy o moich przewinieniach. Pani Rymer, kiedy dokładnie rok temu przyszła pani do mojego biura, była pani nieszczęśliwą kobietą. Czy chce pani powiedzieć, że nic się nie zmieniło? Jeżeli tak, przeproszę panią i zgodzę się, żeby podjęła pani przeciwko mnie wszelkie kroki, jakie uzna pani za stosowne. Co więcej, zwrócę owe tysiąc funtów, które wówczas otrzymałem. A teraz słucham, pani Rymer, czy jest pani nieszczęśliwa?

Spojrzała na niego, ale kiedy zaczęła mówić spuściła wzrok.

— Nie — odpowiedziała. — Nie jestem nieszczęśliwa — w jej głosie zabrzmiała nuta zdziwienia. — Tu mnie pan ma, przyznaję. Nie byłam taka szczęśliwa, od kiedy umarł Abner. Zamierzam... zamierzam wyjść za mężczyznę, który tu pracuje. Nazywa się Joe Welsh. Nasze zapowiedzi zostaną ogłoszone w przyszłą niedzielę. To znaczy, takie mieliśmy plany.

— Ale teraz oczywiście wszystko się zmieniło.

Pani Rymer zaczerwieniła się gwałtownie. Zrobiła krok do przodu.

— Co to znaczy: “zmieniło się”? Uważa pan, że gdybym miała wszystkie pieniądze świata, to stałabym się damą? Nie chcę być damą, wielkie dzięki. To bezradne, gnuśne baby. Joe jest dla mnie wystarczająco dobry, a ja jestem dla niego. Pasujemy do siebie i będziemy szczęśliwi. A jeśli o pana idzie, panie Wścibski Parker, niech pan się stąd zabiera i nie wtrąca w coś, co pana nie dotyczy!

Pan Pyne wyjął z kieszeni jakiś dokument i podał go jej.

— Pełnomocnictwo prawne — wyjaśnił. — Czy mam je podrzeć? Teraz chyba sama przejmie pani kontrolę nad swoim majątkiem.

Na twarzy pani Rymer pojawił się dziwny wyraz. Odepchnęła dłoń trzymającą papier.

— Niech pan to weźmie. Powiedziałam panu wicie przykrych słów, ale na niektóre pan zasłużył. Chytra z pana sztuka, lecz mimo to ufam panu. Niech pan przekaże dla mnie siedemset funtów do tutejszego banku, kupimy za to farmę, którą mamy na oku. A resztę... niech pan odda szpitalom.

— Chyba nie chce pani oddać całej swojej fortuny?

— Właśnie tego chcę. Joe jest kochanym, dobrym człowiekiem, ale ma słaby charakter. Pieniądze by go zniszczyły. Wyciągnęłam go z pijaństwa i nie pozwolę, żeby do tego wrócił. Dzięki Bogu wiem, na czym mi naprawdę zależy. Nie pozwolę, żeby pieniądze stanęły mi na drodze do szczęścia.

— Jest pani niezwykłą kobietą — powoli rzekł Parker Pyne. — Tylko jedna kobieta na tysiąc postąpiłaby w taki sposób.

— Więc tylko jedna kobieta na tysiąc ma trochę oleju w głowie — odparła pani Rymer.

— Chylę przed panią czoło — powiedział pan Pyne, a w jego głosie zabrzmiała szczególna nuta. Uroczystym gestem uniósł kapelusz, uklonił się i odszedł.

— I niech pan pamięta, że Joe nigdy nie może się o tym dowiedzieć — zawołała za nim jego klientka.

Stała w promieniach zachodzącego słońca z wielką niebieskozieloną kapustą w dłoniach, z podniesioną głową i wyprostowanymi ramionami. Majestatyczna postać wieśniaczki rysująca się na tle czerwonego słońca...

Czy masz wszystko, czego pragniesz?

— *Par ici, madame.*

Wysoka kobieta w futrze z norek szła za objuczonym bagażowym wzdłuż peronu Gare de Lyon.

Na głowie miała ciemnobrązowy wełniany kapelusz nałożony na bakier tak, że przesłaniał jedno oko i ucho. Z drugiej strony widać było uroczy profil o lekko zadartym nosku oraz drobne złote loki okalające uszko przypominające muszelkę. Choć wyglądała na typową Amerykankę, była tak czarującym stworzeniem, że oglądał się za nią niejeden mężczyzna.

Na wagonach widniały włożone w uchwyty duże tabliczki.

PARYŻ–ATENY. PARYŻ–BUKARESZT. PARYŻ–ISTAMBUŁ

Bagażowy przystanął przy tym ostatnim. Odpiął pasek, którym związane były walizki, i ciężko opuścił je na ziemię.

— *Voici, madame.*

Przy schodkach stał konduktor z *wagon-lit*. Podeszedł do niej i z szacunkiem godnym cesarzowej, a wywołanym zapewne jakością i ceną futra z norek powiedział:

— *Bonsoir, madame.*

Kobieta wręczyła mu bilet na miejsce w wagonie sypialnym, wydrukowany na cieniutkim papierze.

— Numer sześć — oznajmił. — Tędy proszę.

Zwinnie wskoczył do pociągu, a dama podążyła za nim. Idąc korytarzem niemal zderzyła się z korpulentnym dżentelmenem, który wychodził właśnie z sąsiedniego przedziału. Zerknęła przelotnie na dużą sympatyczną twarz i dobrotliwe oczy.

— *Voici, madame.*

Konduktor pokazał jej przedział, po czym otworzył okno i dał znak bagażowemu. Pomocnik konduktora odebrał walizki i ułożył je na półkach. Kobieta usiadła.

Na siedzeniu obok siebie ustawiła mały szkarłatny kuferek i torebkę. W wagonie było gorąco, ale jej nie przyszło do głowy, żeby zdjąć futro. Niewidzącym wzrokiem wpatrywała się w okno. Po

peronie kręciło się mnóstwo ludzi. Byli wśród nich sprzedawcy gazet, poduszek, czekolady, owoców i napojów. Prezentowali swoje towary, ale ona sprawiała wrażenie, jakby ich w ogóle nie widziała. Gare de Lyon rozmył się jej przed oczami. Na twarzy kobiety malował się smutek i niepokój.

— Czy *madame* zechce dać mi paszport?

Najwyraźniej nie usłyszała pytania. Stojący w drzwiach konduktor powtórzył prośbę. Elsie Jeffries drgnęła zaskoczona.

— Słucham?

— Pani paszport, *madame*.

Wyjęła dokument z torebki i podała go konduktorowi.

— Dziękuję, *madame*, zajmę się wszystkim — zawiesił znacząco głos. — Jadę z *madame* aż do Istambułu.

Elsie dała mu banknot pięćdziesięciofrankowy. Przyjął go bez żadnych oznak skrępowania, u następnie zapytał, kiedy *madame* pragnie zjeść kolację i udać się na spoczynek.

Gdy już ustalili powyższe kwestie, wycofał się i niemalże natychmiast korytarzem przebiegł posłaniec z restauracji, energicznie potrząsając dzwoneczkiem i wołając: “*Premier service. Premier service*”.

Elsie wstała, zdjęła ciężkie futro i zerknąwszy w małe lusterko zabrała torebkę oraz kuferek na biżuterię i wyszła na korytarz. Zdołała ująć ledwie kilka kroków, gdy ponownie pojawił się posłaniec z restauracji pędzący z powrotem. Ustępując mu z drogi, na chwilę weszła w drzwi sąsiedniego przedziału, w którym teraz nikogo nie było. Chłopak minął ją i już miała ruszyć dalej korytarzem, gdy jej wzrok padł na nalepkę przyklejoną do walizki leżącej na siedzeniu.

Była to wypchana waliza ze świńskiej skóry, cokolwiek już podniszczona. Na nalepce widniały słowa: “J. Parker Pyne, cel podróży: Istambuł”. Sama walizka opatrzona była inicjałami “P.P.”

Na twarzy dziewczyny pojawił się wyraz zdumienia. Przez chwilę niezdecydowanie stała na korytarzu, po czym wróciła do swojego przedziału i wzięła do ręki egzemplarz *Timesa*, który odłożyła na stół wraz z innymi czasopismami i książkami.

Przebiegła wzrokiem kolumnę z ogłoszeniami na pierwszej stronie, ale nie znalazła tego, czego szukała. Lekko zmarszczywszy brwi ruszyła w kierunku wagonu restauracyjnego.

Kelner poprowadził ją do małego stolika, przy którym siedziała już jedna osoba. Był to mężczyzna, z którym nieomalże zderzyła się na korytarzu, a zarazem właściciel walizki ze świńskiej skóry.

Elsie przyjrzała mu się dyskretnie. Wydawał się bardzo miły, bardzo dobroduszny i w jakiś niewyjaśnialny sposób budził w człowieku otuchę. Zachowując typowo brytyjską rezerwę, odezwał się dopiero wtedy, gdy na stół wjechały owoce.

— W takich miejscach zawsze jest potwornie gorąco — zauważył.

— To prawda — zgodziła się Elsie. — Żeby chociaż można było otworzyć okno.

Mężczyzna uśmiechnął się smutno. — To niemożliwe! Poza nami zaprotestowałyby wszystkie obecne tu osoby.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi, a palem żadne z nich już nic nie mówiło.

Przyniesiono kawę i jak zwykle zupełnie nieczytelny rachunek. Elsie położyła na nim kilka banknotów i nagle zebrała się na odwagę.

— Przepraszam pana — odezwała się cichym głosem — ale zauważyłam pańskie nazwisko na walizce... Parker Pyne. Czy to pan... Czy jest pan może...

Zawahała się, a on niezwłocznie pośpieszył jej z pomocą.

— Zdaje się, że jestem. To znaczy... — zacytował ogłoszenie, które Elsie kilkakrotnie widziała w *Timesie* i którego niedawno na próżno szukała: — “Czy jesteś szczęśliwy? Jeśli nie, zasięgnij rady pana Parkera Pyne’a”. Tak, to właśnie ja.

— Och — westchnęła Elsie. — To takie... takie nadzwyczajne!

Przecząco pokręcił głową.

— Wcale nie. Być może z pani punktu widzenia, ale nie z mojego — uśmiechnął się ciepło, a potem pochylił do przodu. Większość pasażerów opuściła już wagon restauracyjny. — Zatem jest pani nieszczęśliwa? — zapytał.

— Ja... — zaczęła Elsie, lecz zaraz urwała.

— W innym przypadku nic powiedziałaaby pani, że to nadzwyczajne — wyjaśnił.

Elsie milczała przez chwilę. O dziwo sama obecność pana Pyne’a podnosiła ją na duchu.

— Tak — przyznała wreszcie. — Jestem... nieszczęśliwa. A przynajmniej bardzo zmartwiona.

Ze współczuciem pokiwał głową.

— Widzi pan — ciągnęła — przydarzyła mi się bardzo dziwna rzecz i w ogóle nie wiem, co o niej myśleć.

— Proszę mi o tym opowiedzieć — zaproponował pan Pyne.

Elsie przypomniała sobie, że ona i Edward często komentowali to ogłoszenie i śmiali się z niego. Nigdy by nic przypuszczała, że akurat ona... Może lepiej tego nie robić... Jeśli pan Pyne okaże się zwykłym szarlatanem... Ale wygląda tak sympatycznie!

Podjęła decyzję. Zrobi wszystko, byleby zrzucić ten ciężar z serca.

— Opowiem panu. Jadę do Konstantynopola, do mojego męża. Prowadzi interesy na Wschodzie i w tym roku uznał, że musi tam pojechać. Wyjechał dwa tygodnie temu. Miał wszystko przygotować na mój przyjazd. Byłam tym wszystkim bardzo podekscytowana. Widzi pan, spędziliśmy w Anglii sześć miesięcy, a ja nigdy przedtem nie byłam za granicą.

— Oboje pochodzicie ze Stanów?

— Tak.

— I, jak przypuszczam, jesteście małżeństwem od niedawna?

— Od półtora roku.

— Szczęśliwym?

— Och, tak! Edward to istny anioł — zawahała się. — Może jest zbyt zasadniczy. Trochę pruderyjny, powiedziałabym. To całe purytańskie dziedzictwo i tak dalej. Ale jest bardzo kochany — dodała pośpiesznie.

Pan Parker Pyne przyglądał jej się chwilę w zadumie, po czym poprosił:

— Niech pani mówi dalej.

— To się wydarzyło mniej więcej tydzień po wyjeździe Edwarda. Pisałam list w jego gabinecie i zauważyłam, że na prawie zupełnie nowej i czystej bibule są odcisnięte jakieś słowa. Niedawno przeczytałam kryminał, w którym główna wskazówka znajdowała się na bibularzu, więc tak dla zabawy przyłożyłam do niej lusterko. To naprawdę miała być tylko zabawa, panie Pyne. Edward jest łagodny jak baranek i w życiu nic złego nie przyszłoby mi nawet do głowy.

— Tak, tak, doskonale rozumiem.

— Odczytałam wszystko bez problemów. Najpierw było słowo “żona”, potem “Ekspres Simplon”, a poniżej zdanie: “Najlepiej zrobić to tuż przed Wenecją” — urwała.

— Ciekawe — zauważył pan Pyne. — Niewątpliwie ciekawe. To było pismo pani męża?

— Och, tak. Łamałam sobie głowę, ale wciąż nie pojmuję, z jakiego powodu miałby pisać taki dziwny list.

— “Należy to zrobić tuż przed Wenecją” — powtórzył pan Pyne. — Bardzo interesujące.

Pani Jeffries opierała się o stół, patrząc na niego z nadzieją w oczach.

— Co mam zrobić? — spytała wprost.

— Obawiam się — odrzekł Parker — że będziemy musieli poczekać aż do Wenecji.

Wziął ze stolika prospekt.

— Tutaj jest rozkład jazdy naszego pociągu. Przyjedziemy do Wenecji o drugiej dwadzieścia siedem jutro po południu.

Spojrzeli na siebie.

— Proszę zostawić to mnie — dodał Parker.

Było pięć po drugiej. Ekspres Simplon miał jedenaście minut opóźnienia. Mniej więcej kwadrans wcześniej minął Mestre.

Pan Parker Pyne siedział w przedziale pani Jeffries. Do tej pory podróż przebiegała miło i bez przygód. Lecz jeśli w ogóle cokolwiek miało się wydarzyć, to powinno się wydarzyć właśnie teraz. Pan Pyne i Elsie siedzieli naprzeciwko siebie. Serce dziewczyny biło szybko. Wpatrywała się w swojego towarzysza, jakby szukała w nim otuchy.

— Może pani być zupełnie spokojna — zapewnił ją. — Nic pani nie grozi. Jestem przy pani.

Nagle na korytarzu rozległ się krzyk.

— Ratunku! Pociąg się pali!

W ułamku sekundy Elsie i pan Pyne znaleźli się na korytarzu. Zdenerwowana kobieta o słowiańskim typie urody wskazywała na coś pełnym dramatyzmu gestem. Z przedziału na przedzie wagonu wydobywały się kłęby dymu. Parker i Elsie pobiegli w tamtym kierunku. Wkrótce dołączyli do nich inni. Przedział pełen był dymu, więc ci, którzy dotarli do niego najpierw, zaczęli się wycofywać kaszląc. Pojawił się konduktor.

— Ten przedział jest pusty! — zawołał. — Proszę zachować spokój, *messieurs et dames*. *Le feu*, zaraz go opanujemy.

Posypały się pytania i odpowiedzi. Pociąg przejeżdżał właśnie po moście łączącym Wenecję ze stałym lądem.

Nagle pan Pyne zawrócił i torując sobie drogę przez tłum pośpieszył do przedziału Elsie. Siedziała w nim dama o słowiańskich rysach i głęboko oddychała powietrzem wpadającym przez otwarte okno.

— Pani wybaczy, *madame* — odezwał się pan Pyne — ale to nie jest pani przedział.

— Wiem, wiem — odrzekła. — Pardon. To szok, takie emocje... moje serce — rozparła się na siedzeniu, wskazując na okno. Wciągała powietrze wielkimi haustami.

Pan Pyne stał w drzwiach. Mówił spokojnym głosem, niczym ojciec pocieszający dziecko.

— Nie ma się czego obawiać — mówił. — Bez wątpienia pożar nie jest poważny.

— Nie? Och, co za ulga! Czuję się już lepiej — uniosła się nieco. — Wrócę do swojego przedziału.

— Jeszcze nie — pan Pyne łagodnie przytrzymał ją na miejscu. — Chcę prosić, żeby pani chwilę poczekała, *madame*.

— *Monsieur*, to skandal!

— Zostanie pani tutaj — jego głos zabrzmiał bardzo zimno. Kobieta siedziała bez ruchu, wpatrując się w niego. Wróciła Elsie.

— To była prawdopodobnie świeca dymna — powiedziała bez tchu. — Jakiś kawał. Konduktor jest wściekły. Wszystkich wypytuje... — urwała zauważywszy drugą pasażerkę w przedziale.

— Pani Jeffries — odezwał się Parker — co pani wiezie w tym szkarłatnym kufierku?

— Bizuterię.

— Będzie pani łaskawa sprawdzić, czy niczego nie brakuje.

Słowiańska dama wybuchnęła potokiem słów. Przeszła na francuski, który lepiej oddawał stan jej uczuć. Tymczasem Elsie wzięła kasetkę na klejnoty.

— Och! — krzyknęła. — Jest otwarta!

— *Et je porterai plainte à la Compagnie des Wagons-Lits* — zakończyła nieznajoma.

— Jest pusta! — zawołała Elsie. — Wszystko zniknęło! Moja brylantowa bransoletka, 1 kolia od tatusia. Szmaragdowe i rubinowe pierścionki. A także te śliczne broszki z brylantami. Dzięki Bogu, że perły miałam na sobie. Och, panie Pyne, co my teraz zrobimy?

— Proszę sprowadzić konduktora — odpowiedział — a ja dopilnuję, żeby do jego przybycia ta kobieta nie opuściła przedziału.

— *Scélérat! Monstre!* — darła się Słowianka. Wymyśliła jeszcze sporo obelg, zanim pociąg zatrzymał się w Wenecji.

To, co wydarzyło się w ciągu następnej półgodziny, można streścić w kilku słowach. Pan Pyne przeprowadził rozmowy z kilkoma różnymi urzędnikami w kilku różnych językach — i poniósł porażkę. Podejrzana dama zgodziła się na rewizję osobistą, z której wyszła bez uszczerbku na honorze. Klejnotów przy niej nic znaleziono.

Między Wenecją i Triestem pan Pyne i Elsie omawiali sprawę.

— Kiedy widziała pani swoją biżuterię po raz ostatni?

— Dziś rano. Odłożyłam szafirowe kolczyki, które nosiłam wczoraj, i wyjęłam skromniejsze, z perłami.

— I cała biżuteria była na miejscu?

— No, naturalnie nie sprawdzałam wszystkiego. Ale wyglądała tak samo jak zwykle. Mogło brakować co najwyżej jakiegoś pierścionka, ale nic więcej.

Pan Pyne kiwnął głową.

— A gdy konduktor sprzątał dziś rano przedział?

— Wzięłam kuferek ze sobą do wagonu restauracyjnego. Zawsze go ze sobą noszę. Zostawiłam go dopiero teraz, kiedy wybiegłam na korytarz.

— Zatem — podsumował Parker — ta urażona niewinność, *madame* Subajska, czy jak tam ona się nazywa, musiała ukraść klejnoty. Lecz co, do diabła, zrobiła z tym wszystkim? Była tu może półtorej minuty, czyli wystarczyło jej czasu, żeby otworzyć kuferek dorobionym kluczem i wyjąć biżuterię, ale co dalej?

— Czy mogła ją przekazać komuś innemu?

— Raczej nie. Zawróciłem i przedzierałem się przez tłum na korytarzu. Zauważyłbym, gdyby ktoś wyszedł z tego przedziału.

— Może rzuciła ją komuś przez okno?

— Doskonały pomysł. Tylko tak się akurat składa, że w tamtym momencie przejeżdżaliśmy nad morzem. Byliśmy na moście.

— To znaczy, że musiała ukryć klejnoty w przedziale.

— Poszukajmy ich więc.

Elsie przystąpiła do poszukiwań z prawdziwie amerykańskim wigorem. Pan Pyne pomagał jej, lecz jakby nieobecny duchem. Zganiła go, że się nie dość stara.

— Myślę o tym, że muszę wysłać z Triestu ważny telegram — wyjaśnił.

Elsie chłodno przyjęła jego tłumaczenie. Pan Parker Pyne znacznie stracił w jej oczach.

— Obawiam się, że jest pani na mnie zła — powiedział potulnie.

— Nie na wiele się pan przydał — odparowała.

— Ależ, droga pani, proszę pamiętać, że nie jestem detektywem. Nie znam się na kradzieżach i przestępstwach. Moją domeną jest ludzkie serce.

— Kiedy wsiadałam do tego pociągu, byłam odrobinę nieszczęśliwa — wybuchnęła dziewczyna — ale to nic w porównaniu z tym, co czuję teraz! Mogłabym wylać morze łez. Moja śliczna, prześliczna bransoletka... I pierścionek ze szmaragdem, który dostałam od Edwarda na zaręczyny.

— Ale na pewno jest pani ubezpieczona na wypadek kradzieży? — łagodził pan Pyne.

— Jestem? Nie wiem. Tak, pewnie jestem. Ale tu chodzi o sentyment, jaki miałam do tych rzeczy.

Pociąg wyraźnie zwolnił. Pan Pyne wyjrzał przez okno.

— Triest — zakomunikował. — Muszę wysłać telegram.

— Edward!

Kiedy Elsie dostrzegła męża śpieszącego jej na spotkanie po peronie dworca w Istambule, jej twarz się rozpromieniła. Na moment nawet myśl o utracie biżuterii wyleciała jej z głowy. Zapomniała o dziwnych słowach, które odkryła na bibularzu. Zapomniała o wszystkim z wyjątkiem jednego: że nie widziała męża od dwóch tygodni i że — choć pruderyjny i poważny — jest tak niebywale atrakcyjny.

Wychodzili właśnie z dworca, kiedy Elsie poczuła przyjacielskie klepnięcie po ramieniu i odwróciwszy się ujrzała pana Parkera Pyne'a. Jego sympatyczną twarz rozjaśniał serdeczny uśmiech.

— Pani Jeffries — odezwał się — czy zechciałaby pani odwiedzić mnie w hotelu "Tokatlian" za pół godziny? Myślę, że będę miał dla pani dobre nowiny.

Elsie spojrzała niepewnie na Edwarda, a potem przedstawiła sobie obu dżentelmenów.

— To... eee... mój mąż... poznaj pana Parkera Pyne'a.

— Przypuszczam, że żona powiadomiła pana telegraficznie, iż ukradziono jej klejnoty — powiedział jej znajomy. — Robiłem, co mogłem, żeby pomóc je odzyskać. Być może za pół godziny będę miał dla państwa pomyślnie wiadomości.

Dziewczyna spojrzała pytająco na Edwarda, który niezwłocznie odpowiedział:

— Lepiej idź, moja droga. "Tokatlian", powiada pan? Dopilnuję, żeby tam trafiła.

Pół godziny później Elsie została wprowadzona do saloniku w apartamencie pana Pyne'a.

— Rozczarowałem panią, pani Jeffries — powiedział wstając na jej widok. — Niech pani nie zaprzecza. Cóż, nie udaję, że jestem czarodziejem, ale robię, co mogę. Proszę tu zajrzeć.

Przesunął po blacie stołu małe kartonowe pudełko. Elsie otworzyła je. Pierścionki, broszki, bransoletki, kolia — wszystko tam było.

— Panie Pyne, to cudowne! Och, to wspaniałe!

Jej towarzysz uśmiechnął się skromnie:

— Rad jestem, że jednak pani nic zawiodłem, młoda damo.

— Och, czuję się jak ostatnia jędza! Od Triestu traktowałam pana wprost potwornie. A teraz to! Ale jak pan je zdobył? Kiedy? Gdzie?

Pan Pyne z namysłem pokręcił głową. — To długa historia — odrzekł. — Może pewnego dnia pozna ją pani. Być może stanie się to już niebawem.

— A dlaczego nie mogę poznać jej teraz?

— Istnieją pewne powody — odpowiedział Parker.

I Elsie musiała odejść nie zaspokoiwszy swojej ciekawości.

Pan Pyne wziął kapelusz oraz laskę i wyszedł na ulice Pery. Szedł uśmiechając się do siebie, aż w końcu dotarł do małej kawiarenki, o tej porze opustoszałej, z widokiem na Golden Horn. Po drugiej stronie na tle popołudniowego nieba odcinały się smukłe minarety istambulskich meczetów. Widok był przepiękny. Pan Pyne usiadł i zamówił dwie kawy, które okazały się mocne i słodkie. Właśnie zaczął popijać swoją, kiedy ktoś wsunął się na krzesło naprzeciw niego. Był to Edward Jeffries.

— Zamówiłem dla pana kawę — powiedział Parker Pyne wskazując malutką filiżankę.

Edward odsunął ją od siebie i pochylił się nad stolikiem.

— Skąd pan wiedział? — zapytał.

Pan Pyne leniwie sączył kawę.

— Czy żona powiedziała panu o tym, co odkryła na bibularzu? Nie? Och, na pewno panu powie. Musiało jej to chwilowo wypaść z głowy.

Opowiedział o odkryciu Elsie.

— To pasowało idealnie do dziwnego incydentu, który zdarzył się pod Wenecją. Z jakichś powodów planował pan kradzież biżuterii własnej żony. Ale co miało znaczyć zdanie: “Najlepiej to zrobić tuż przed Wenecją”? Wydało mi się absurdalne. Dlaczego nie pozwolił pan swojej... agentce samodzielnie wybrać czasu i miejsca? I nagle zrozumiałem. Klejnoty pańskiej żony zostały

ukradzione i zastąpione duplikatami, zanim opuścił pan Londyn. Ale takie rozwiązanie nie satysfakcjonowało pana. Jest pan szlachetnym i odpowiedzialnym człowiekiem. Bał się pan, że podejrzenia padną na jakiegoś służącego czy inną niewinną osobę. Musiało dojść do prawdziwej kradzieży — w takim miejscu i w taki sposób, żeby ani cień podejrzenia nie splamił nikogo z pańskich znajomych lub domowników. Wyposażył pan swoją współpracowniczkę w klucz do kufierka na kosztowności i świecę dymną. W odpowiednim momencie podniosła alarm, wpadła do przedziału pańskiej żony, otworzyła szkatułkę i jej zawartość wyrzuciła do morza. Mogliśmy ją podejrzewać i rewidować, ale i tak nie dało się jej nic udowodnić, ponieważ nie miała przy sobie biżuterii. Teraz wyjaśnia się, dlaczego taki ważny był wybór miejsca. Gdyby po prostu wyrzuciła klejnoty po drodze, ktoś mógłby je znaleźć. Dlatego najodpowiedniejszy był moment, gdy pociąg przejeżdżał nad morzem. Tymczasem pan poczynił przygotowania, żeby sprzedać biżuterię tutaj. Musiał pan tylko przekazać kamienic, kiedy współpracowniczka dokona kradzieży w pociągu. Na szczęście w porę otrzymał pan mój telegram. Wypełnił pan moje polecenie i zdeponował pudełko z biżuterią w hotelu "Tokatlan", gdzie czekało na mnie, gdyż w przeciwnym wypadku spełniłbym groźbę i przekazał sprawę w ręce policji. Zastosował się pan również do dalszych instrukcji i pojawił się tutaj.

Edward Jeffries patrzył błagalnie na swojego rozmówcę. Był przystojnym, młodym mężczyzną, wysokim i jasnowłosym o okrągłym podbródku i bardzo okrągłych oczach.

— Co mam zrobić, żeby pan mnie zrozumiał? — powiedział bezradnie. — Dla pana jestem po prostu pospolitym złodziejem.

— Wcale nie — zaprzeczył pan Pyne. — Wręcz przeciwnie, powiedziałbym, że jest pan niemalże do bólu uczciwy. Potrafię trafnie oceniać typy ludzkiej osobowości. Pan, mój drogi, przynależy do kategorii ofiar. A teraz proszę opowiedzieć mi całą historię.

— Mogę ją streścić w jednym słowie: szantaż.

— Tak?

— Poznał pan moją żonę. Wie pan, jakie to czyste i niewinne stworzenie. Ona nie rozumie zła, nawet nie wie, co to jest.

— Tak, tak.

— Ma takie czyste ideały. Gdyby dowiedziała się o... o tym, co zrobiłem, odeszłaby ode mnie.

— Nie byłbym tego pewien. Ale nie o tym teraz mówimy. Co pan takiego zrobił, przyjacielu? Zakładam, że w sprawę wplątana jest kobieta.

Edward Jeffries kiwnął głową.

— Czy działo się to w trakcie pańskiego małżeństwa, czy też przedtem?

— Przedtem... och, oczywiście, że przedtem.

— Zatem cóż się stało?

— Nic, nic takiego. Na tym polega cała ironia sytuacji. Zdarzyło się to w pewnym hotelu w Indiach Zachodnich. Przebywała tam wtedy bardzo atrakcyjna kobieta, niejaka pani Rossiter. Jej mąż był człowiekiem gwałtownym, miewał potworne napady szału. Pewnej nocy groził jej rewolwerem. Uciekła i przybiegła do mojego pokoju. Niemalże odchodziła od zmysłów ze strachu. Ona... poprosiła, żebym pozwolił jej zostać do rana. A ja... cóż innego mogłem zrobić?

Parker Pyne wpatrywał się w młodego człowieka, a młody człowiek odpowiadał mu spojrzeniem nieco zażenowanym, lecz ucziwym. Pan Pyne westchnął.

— Innymi słowy, mówiąc wprost, zrobili z pana frajera.

— Och, doprawdy...

— Tak, tak... Sztuczka stara jak świat, ale często się udaje z młodymi mężczyznami o skłonnościach do donkiszoterii. Przypuszczam, że dokręcili śrubę, kiedy rozniosły się wiadomości o pana ślubie.

— To prawda. Dostałem list, w którym żądali pewnej sumy pieniędzy. Gdybym im nie zapłacił, o wszystkim powiadomiliby mojego przyszłego teścia. O tym, że... nastawiłem tę kobietę przeciwko jej mężowi, że widziano, jak wchodziła do mojego pokoju. A mąż wniosłby sprawę o rozwód. Naprawdę, panie Pyne, w tym świetle wyszedłbym na skończonego łajdaka — otarł czoło zmęczonym gestem.

— Tak, wiem. Więc zapłacił pan. A od czasu do czasu znowu pana dręczyli.

— Zgadza się. To była już ostatnia kropla goryczy. Nasza firma bardzo ucierpiała z powodu kryzysu. Po prostu nie mogłem zdobyć żadnej gotówki. I wpadłem na ten pomysł — podniósł filiżankę z zimną kawą, przyjrzał się jej z roztargnieniem i wypił. — I co ja mam teraz zrobić? — zapytał żałośnie. — Co ja mam zrobić, panie Pyne?

— Pomogę panu — zdecydowanie oświadczył jego rozmówca. — Zajmę się pana prześladowcami. A jeśli chodzi o pańską żonę, pójdzie pan prosto do niej i wyjawি jej całą prawdę. Odbiegnie pan od niej tylko w kwestii tego, co naprawdę wydarzyło się w Indiach Zachodnich. Musi pan ukryć fakt, że zrobiono z pana... hm, jak już mówiłem, frajera.

— Ale...

— Drogi panie, nie rozumie pan kobiet. Jeżeli kobieta ma wybierać między frajerem i Don Juanem, bez wahania wybierze tego drugiego. Pańska żona, panie Jeffries, jest uroczą, niewinną, szlachetną dziewczyną, lecz myśl, że z hulaki zrobiła ucziwego człowieka, będzie dla niej bardzo ekscytująca.

Edward Jeffries wpatrywał się w niego z otwartymi ustami.

— Mówię poważnie — zapewnił go Parker Pyne. — Żona jest w panu zakochana, ale to może się zmienić. Już dostrzegłem pewne niepokojące oznaki. Musi pan przestać być takim ucieleśnieniem dobroci i prawości, które jest właściwie równoznaczne z nudą. Idź do niej, chłopcze — dodał łagodnie. — Wyznaj wszystko, to znaczy tyle, ile zdołasz wymyślić. A potem wyjaśnij, że od chwili,

gdy ją poznałeś, zerwałeś z dotychczasowym życiem. Gotów byłeś nawet kraść, żeby tylko o niczym się nie dowiedziała. Wybaczy ci z entuzjazmem.

— Ale skoro tak naprawdę nie ma czego wybaczać...

— Czymże jest prawda? Z moich doświadczeń wynika, że to coś, co potrafi tylko narobić bigosu! Podstawowym aksjomatem małżeńskiego życia jest zasada, że kobiecie nie należy mówić prawdy. One to lubią! Idź, zyskaj przebaczenie, mój chłopcze. I żyj potem długo i szczęśliwie. Śmiem twierdzić, że w przyszłości żona nic spuści z pana oka, gdy tylko w pobliżu pojawi się ładna kobieta. Niektórym mężczyznom by to przeszkadzało, ale pan chyba do nich nie należy.

— Nie mam ochoty nawet spojrzeć na żadną inną prócz mojej Elsie — odpowiedział z prostotą Jeffries.

— Wspaniale, chłopcze — ucieszył się pan Pyne. — Ale gdybym był tobą, nie pozwoliłbym jej się tego domyślić. Żadna kobieta nie lubi czuć się zbyt pewna swego.

Edward Jeffries wstał.

— Naprawdę sądzi pan?...

— Ja to wiem — odrzekł z mocą pan Parker Pyne.

Wrota Bagdadu

“Cztery wielkie bramy ma miasto Damaszek...” — pan Parker Pyne powtarzał pod nosem wersety Fleckera.

“Furta Przeznaczenia, Brama Pustyni, Łuk Nieszczęścia, Fort Strachu,
Jam jest Portal Bagdadu, Wrota Diarbekiru”.

Stał na ulicy Damaszku pod hotelem “Oriental” i przyglądał się ogromnemu sześciokołowemu pulmanowi, który nazajutrz miał przewieźć jego i jedenastu innych pasażerów przez pustynię do Bagdadu.

“Nie przejeżdżaj tędy, o Karawano, nic jedź ze śpiewem. Czy słyszałaś
Tę ciszę, gdy ptaki milczą, a jednak coś kwili jak ptak?

Odjeżdżasz na zawsze, o Karawano, Karawano Przeznaczenia, Karawano Śmierci!”

Teraz to już nieaktualne. Ale onegdaj Wrota Bagdadu rzeczywiście były wrotami śmierci. Karawana musiała pokonać czterysta mil pustyni, co oznaczało całe miesiące ciężkiej podróży. Teraz karmione benzyną, niestrudzone monstra pokonywały ten dystans w trzydzieści sześć godzin.

— Co pan mówił, panie Pyne? — zabrzmiał podniecony głosik panny Netty Pryce, najmłodszej i najbardziej czarującej turystki. Choć obarczona surową ciotką z cieniem zarostu i głodem wiedzy biblijnej, Netta potrafiła znaleźć wiele frywolnych rozrywek, których starsza panna Pryce prawdopodobnie by nie pochwaliała.

Pan Pyne powtórzył jej strofkę Fleckera.

— Jakież to emocjonujące! — wykrzyknęła.

W pobliżu stało trzech mężczyzn w mundurach sił powietrznych i jeden z nich, adorator Netty, wtrącił się do rozmowy.

— Teraz też można przeżyć w podróży różne emocje — powiedział. — Nawet w dzisiejszych

czasach zdarza się, że bandyci napadają na konwój. Bywa też, że ktoś się gubi, a wtedy wysyła się nas na poszukiwania. Jeden człowiek został odnaleziony na pustyni dopiero po pięciu dniach. Na szczęście miał ze sobą zapas wody. Zdarzają się też wyrwy w drodze. I to jakie! Jeden facet zginął przez nie. Mówię prawdę! Zasnął i uderzył głową w dach samochodu. Zginął na miejscu.

— W pojeździe sześciokołowym, panie O'Rourke? — zapytała starsza panna Pryce.

— No nie, nie w sześciokołowym — przyznał młodzieniec.

— Chodźmy coś zwiedzić — zażądała Netta. Jej ciotka wyjęła przewodnik.

Netta przezornie odeszła kawałek.

— Na pewno będzie chciała mnie zabrać do miejsca, w którym święty Paweł został opuszczony z okna — szepnęła. — A ja tak bym chciała zobaczyć bazary.

O'Rourke zareagował natychmiast.

— W takim razie proszę pójść ze mną. Zaczniemy od ulicy, którą nazywają Prosta...

Dyskretnie opuścili towarzystwo.

Pan Pyne odwrócił się do małomównego mężczyzny, pana Hensleya, który stał obok niego. Był on pracownikiem wydziału robót publicznych w Bagdadzie.

— Kiedy się po raz pierwszy zwiedza Damaszek, można doznać rozczarowania — zagaił uprzejmie. — Jest zbyt cywilizowany. Tramwaje, nowoczesne domy i sklepy.

Hensley kiwnął głową. Nie lubił szastać słowami.

— Człowiek myśli... koniec świata... i nic z tego — wyrzucił z siebie.

Podszedł do nich młody jasnowłosy mężczyzna w krawacie z Eton. Miał sympatyczną, lecz nieco pustą twarz, na której w tej chwili widniało zatroskanie. Pracował w tym samym wydziale co Hensley.

— Cześć, Smethurst — powitał go kolega. — Zgubiłeś coś?

Kapitan Smethurst pokręcił głową. Nie był szczególnie lotnym młodzieńcem.

— Tak się rozglądam — odrzekł niejasno, lecz po chwili nieco się ożywił. — Musimy się zabawić wieczorem. Co ty na to?

Przyjaciele oddalili się razem, a pan Pyne kupił lokalną gazetę wydawaną po francusku.

Okazała się niezbyt interesująca. Miejscowe wiadomości nic mu nie mówiły, a nigdzie indziej najwyraźniej nie działo się nic ciekawego. Znalazł kilka akapitów zatytułowanych *Londres*.

Pierwszy odnosił się do kwestii finansowych. Drugi dotyczył przypuszczalnego miejsca pobytu pana Samuela Longa, finansisty nie dotrzymującego zobowiązań. Jego długi sięgały już kwoty trzech milionów. Krążyły pogłoski, że obecnie znajduje się w Afryce Południowej.

— Nieźle jak na człowieka tuż po trzydziestce — powiedział do siebie Parker Pyne.

— Słucham?

Odwróciwszy się, pan Pyne stanął twarzą w twarz z włoskim generałem, który płynął wraz z nim statkiem z Brindisi do Bejrutu.

Gdy wyjaśniał mu swoje słowa, generał kilkakrotnie pokiwał głową.

— To groźny przestępca. Nawet we Włoszech ucierpieliśmy z jego powodu. Wszędzie wzbudza zaufanie. Powiadają, że to dobrze wychowany człowiek.

— Cóż, absolwent Eton i Oksfordu — ostrożnie dopowiedział pan Pyne.

— Myśli pan, że go złapią?

— To zależy, jaką ma przewagę. Może nadal być w Anglii. Ale równie dobrze może być... wszędzie.

— Na przykład tutaj z nami? — generał zaśmiał się.

— To możliwe — pan Pyne zachował powagę. — Z tego, co wiem, generale, ja też mógłbym nim być.

Wojskowy zerknął na niego ze zdumieniem, lecz po chwili jego oliwkową twarz rozjaśnił uśmiech pełen zrozumienia.

— Och! A to dobre, naprawdę bardzo dobre. Ale pan...

Jego spojrzenie powędrowało w dół sylwetki pana Pyne'a, który bezbłędnie je zinterpretował.

— Nie wolno sądzić po wyglądzie — przestrzegł.

— Łatwo dołożyć trochę dodatkowego... eee... *embonpoint*... co ma wybitnie postarzający efekt. Istnieją prócz tego oczywiście farby do włosów — dodał marzycielsko — oraz barwniki do skóry, a nawet możliwość zmiany narodowości.

Generał Poli odszedł pełen wątpliwości. Nigdy nic potrafił określić, kiedy Anglicy żartują, a kiedy nie.

Tego wieczora pan Pyne postanowił rozerwać się i pójść do kina. Następnie skierował się do "Pałacu Nocnych Radości", który nie wydał mu się ani pałacem, ani tym bardziej nie miał nic wspólnego z radością. Różne damy tańczyły z wyraźnym brakiem *verve*, za co nagradzano je

niemrawymi oklaskami.

Nagle pan Pyne dostrzegł Smethursta. Młodzieniec siedział sam przy stoliku. Twarz miał zaczerwienioną i Parker domyślił się, że musiał już wypić więcej, niż należało. Wstał i przysiadł się do kapitana.

— Niewdzięcznice, jak one traktują człowieka — lamentował kapitan. — Stawiasz takiej dwa drinki... trzy... no, mnóstwo drinków. A potem śmieje ci się w nos i odchodzi z jakimś mieszańcem. Czysta niewdzięczność.

Pan Pyne wyraził współczucie i zaproponował kawę.

— Zamówiłem już arak — odrzekł żołnierz. — Świetna rzecz. Spróbowałby pan.

Lecz Parker wiedział co nieco o właściwościach araku. Starał się taktownie odwieść go od tej decyzji. Smethurst jednak pokręcił głową.

— Kłopoty mam — wyjaśnił. — Muszę się więc zabawić. Ciekawe, co pan by zrobił na moim miejscu. Nie chcę zdradzić kumpla, no nie? Ale z drugiej strony... I co ja mam zrobić?

Przyjrzał się panu Pyne'owi, jakby go widział po raz pierwszy.

— Kim pan jest? — zapytał z szorstkością wywołaną nadmierną ilością napitków. — Co pan robi?

— Nadużywam zaufania — łagodnie odparł pan Pyne.

Smethurst patrzył na niego z niekłamanym zainteresowaniem.

— Co? Pan też?

Pan Pyne wyjął z portfela wycinek z gazety i położył go na stole przed kapitanem.

“Jesteś nieszczęśliwy? — było tam napisane. — Jeśli tak, to zasięgnij rady pana Parkera Pyne'a”.

Smethurst z trudem skupił na nim wzrok.

— Niech mnie szlag! — wypalił. — I mówi pan, że ludzie przychodzą i opowiadają panu o sobie?

— Owszem, zwierzają mi się.

— Pewnie banda skretyniałych bab.

— Przychodzi wiele kobiet — przyznał pan Pyne. — Ale mężczyzn również. A co z panem, młody przyjacielu? Nic potrzebuje pan rady?

— Zamknij głupi pysk — wybuchnął kapitan Smethurst. — Nie twój interes, niczyj... tylko mój. Gdzie ten cholerny arak?

Pan Parker Pyne ze smutkiem pokręcił głową. Zrezygnował ze sprawy kapitana Smethursta, gdyż była ona beznadziejna.

Konwój do Bagdadu wyruszył o siódmej rano. W sumie grupa liczyła dwanaście osób. Pan Pyne i generał Poli, panna Pryce z bratanicą, trzech oficerów sił powietrznych, Smethurst, Hensley oraz pewna Ormianka o nazwisku Pentemian wraz z synem.

Podróż zaczęła się spokojnie. Wkrótce owocowe drzewa Damaszku zostały w tyle. Niebo było zasnuwane chmurami, więc młody kierowca raz po raz spoglądał na nie z niepokojem. Podzielił się swoimi obawami z Hensleyem.

— Po drugiej stronie Rutbah nieźle lało. Mam nadzieję, że nie ugrzęźniemy.

W południe zrobili postój i rozdano kwadratowe kartonowe pudełka z lunchem. Dwaj kierowcy zaparzyli herbatę, którą podano w kartonowych kubeczkach. Po posiłku ponownie ruszyli przez płaską, bezkresną równinę.

Pan Pyne rozmyślał o powolnych karawanach i podróżach trwających długie tygodnie...

Tuż przed zachodem słońca dotarli do pustynnego fortu Rutbah.

Ogromna brama była otwarta i pojazd wtoczył się przez nią na wewnętrzny dziedziniec.

— Jakie to podniecające — zachwyciła się Netta.

Po kąpieli zapałała ochotą na krótki spacer. Porucznik O'Rourke i pan Pyne zaoferowali swoje towarzystwo. Już mieli wyruszyć, kiedy podszedł do nich kierownik wyprawy, błagając, by zbytnio się nie oddalali, gdyż po zmierzchu mogą mieć kłopoty z odnalezieniem drogi powrotnej.

— Odejdziemy tylko kawałek — obiecał O'Rourke. Spacer jednakże okazał się mało interesujący z racji monotonii krajobrazu.

W pewnej chwili pan Pyne schylił się i podniósł coś z ziemi.

— Co to jest? — zainteresowała się dziewczyna.

— Krzemień z czasów prehistorycznych, panno Pryce — odrzekł pokazując jej kamyk. — Krzesiwo.

— Czy to służyło do... zabijania?

— Nie, miało bardziej pokojowe zastosowanie. Ale mogłoby też służyć do zabijania. Liczy się chęć morderstwa, samo narzędzie nie ma znaczenia. Coś się przecież zawsze znajdzie.

Ponieważ zaczęło się ściemniać, wrócili szybko do fortu.

Po kolacji, złożonej z wiciu różnorodnych dań z puszek, usiedli i zapalili. O dwunastej mieli ruszyć w dalszą drogę. Kierowca wyglądał na zaniepokojonego.

— Straszne tu w okolicy błocko — powiedział. — Możemy utknąć.

Wszyscy wsiedli do dużego samochodu i usadowili się wygodnie. Pannę Pryce zirytował fakt, że nic mogła się dostać do jednej ze swoich walizek.

— Chciałabym wyjąć swoje pantofle — marudziła.

— Bardziej prawdopodobne, że będzie pani potrzebowała kaloszy — odrzekł Smethurst. — Wszystko wskazuje na to, że ugrzęźniemy w morzu błota.

— Nie wzięłam pończoch na zmianę — jęknęła Netta.

— Nic nie szkodzi. Zostanie pani w środku. Tylko silniejsza płęć będzie musiała wysiąść i pchać.

— Zawsze mam zapasowe skarpety — powiedział Hensley, klepiąc się po kieszeni płaszcza. — Nigdy nic nie wiadomo.

Zgasły światła i pojazd wyruszył w noc.

Jazda nie była przyjemna. Co prawda nic rzucało nimi tak jak w samochodzie turystycznym, ale od czasu do czasu nieźle podskakiwali.

Pan Parker Pyne miał miejsce z przodu. Po drugiej stronie przejścia siedziała ormiańska dama, cała spowita w szale i peleryny. Miejsce za nią zajmował jej syn. Za Parkerem siedziały obie panny Pryce. Tył zajmowali generał, Smethurst, Hensley i oficerowie RAF-u.

Samochód pędził w ciemnościach. Pan Pyne miał trudności z zaśnięciem z powodu niewygodnej pozycji. Ormianka wyciągnęła nogi tak, że nie był w stanie nic zrobić. Przynajmniej ona musiała zadbać o swoją wygodę.

Wydawało się, że wszyscy już śpią. Pan Pyne poczuł, że wreszcie ogarnia go senność, kiedy nagły wstrząs rzucił go w kierunku sufitu. Z tyłu samochodu rozległ się protest.

— Ej, uważaj trochę. Chcesz połamać nam karki? Potem senność wróciła i kilka minut później pan Pyne zasnął z niewygodnie zwieszoną głową.

Nagle coś go obudziło. Pojazd stał, a część pasażerów już z niego wysiadła. Hensley zwięźle wyjaśnił sytuację:

— Ugrzęźliśmy.

Gnany pragnieniem, żeby zobaczyć wszystko, co jest do zobaczenia, pan Pyne ostrożnie wysiadł i stanął na rozmokłej ziemi. Deszcz już nie padał i księżyc świecił jasno. W jego poświacie widać było kierowców, którzy uwijali się, podkładając lewarki i kamienie, żeby wygrzebać samochód z

błota. Pomagała im większość mężczyzn. Przez okna pojazdu wyglądały trzy kobiety. Panna Pryce i Netta z zainteresowaniem, ormiańska dama ze źle skrywaną pogardą.

Na komendę kierowcy pasażerowie posłusznie spróbowali dźwignąć samochód.

— A gdzie młody Ormianin? — zapytał O'Rourke.

— Wygodnie grzeje sobie nogi w ciepłe jak kot. Niech wyłazi, żeby nam pomóc.

— Kapitan Smethurst też — zauważył generał Poli.

— Nie ma go tutaj.

— Łotrzyk nadal śpi. Popatrzcie no tylko. Rzeczywiście, Smethurst nadal siedział na swoim miejscu z głową bezwładnie pochyloną do przodu.

— Obudzę go — powiedział O'Rourke.

Wskoczył do środka, lecz prawic natychmiast pojawił się z powrotem. Głos miał zmieniony.

— A niech mnie! On chyba jest chory albo co. Gdzie lekarz?

Major Loftus, lekarz, sił powietrznych, spokojny szpakowaty mężczyzna, oderwał się od grupy zgromadzonej przy kole.

— Co mu jest? — spytał.

— Nie... nie wiem.

Doktor wszedł do samochodu. O'Rourke i Parker Pyne podążyli jego śladem. Pochylił się nad bezwładną sylwetką. Wystarczyło mu jedno dotknięcie i jeden rzut oka.

— Nie żyje — powiedział cicho.

— Nic żyje? Ale czemu? — posypały się pytania.

— Och, to potworne! — wykrzyknęła Netta. Loftus odwrócił się, wyraźnie zirytowany.

— Musiał uderzyć głową o dach — stwierdził. — Raz solidnie nami rzuciło.

— Ale przecież to by go chyba nie zabiło? Nie ma innego wyjaśnienia?

— Nic nie mogę powiedzieć, dopóki dokładnie go nie zbadani — warknął lekarz. Rozejrzał się dokoła wyraźnie zaniepokojony. Kobiety podchodziły coraz bliżej, a stojący na zewnątrz mężczyźni przepychali się, próbując wejść do środka.

Pan Pyne polecił kierowcy, który był młodym, atletycznie zbudowanym mężczyzną, żeby zajął się paniami. Kierowca brał je po kolei na ręce, prznosił przez błoto i stawiał na suchej ziemi. Z

madame Pentemian i Netta poradził sobie bez kłopotu, ale pod ciężarem zwalistej panny Pryce zataczał się jak pijany.

Pojazd został pusty, żeby doktor mógł przeprowadzić oględziny.

Mężczyźni na nowo podjęli wysiłki, by wyciągnąć samochód. Wkrótce nad horyzontem ukazało się słońce. Błoto wysychało błyskawicznie, ale auto nadal w nim tkwiło. Złamali już trzy lewarki, a ich starania nie dały żadnych efektów. Kierowca zaczął przygotowywać śniadanie, czyli otworzył puszki z parówkami i zagotował wodę na herbatę.

Po pewnym czasie major Loftus wydał werdykt.

— Nie ma żadnych ran ani śladów. Tak jak powiedziałem, musiał uderzyć głową w sufit.

— Jest pan przekonany, że umarł w taki sposób? — indagował pan Pyne.

Coś w jego głosie sprawiło, że lekarz rzucił mu szybkie spojrzenie.

— Jest tylko jedna możliwość.

— Tak?

— Że ktoś uderzył go w tył głowy czymś w rodzaju worka z piaskiem — jego ton brzmiał przepraszająco.

— To niezbyt prawdopodobne — odezwał się Williams, inny oficer sił powietrznych. Był młodzieńcem o urodzie cherubinka. — To znaczy, nikt nie mógłby tego zrobić nie zauważony przez nas.

— Chyba że spaliśmy — zasugerował doktor.

— Ale nie mógł być tego pewien — dowodził jego kolega. — Musiałby wstać, przejść kawałek i tak dalej, a wtedy na pewno kogoś by obudził.

— Jediną sposobność — wtrącił generał Poli — miałby ktoś siedzący bezpośrednio za nim. Mógł wybrać dogodną chwilę i nie musiał nawet podnosić się z siedzenia.

— Kto siedział za kapitanem Smethurstem? — zapytał lekarz.

O'Rourke odpowiedział natychmiast:

— Hensley, sir, więc to bez sensu. Był najlepszym kumplem Smethursta.

Zapadła cisza. Po chwili rozległ się spokojny i pewny siebie głos pana Pyne'a.

— Myślę, że porucznik Williamson ma nam coś do powiedzenia.

— Ja, sir? Ja... tego...

— Mów, Williamson — ponaglił go O'Rourke.

— Ta nic, naprawdę... nic takiego.

— Mów.

— To tylko fragment rozmowy, którą podsłuchałem... w Rutbah... na dziedzińcu. Wróciłem do samochodu po papierośnicę. Szukałem jej, kiedy usłyszałem, że na zewnątrz rozmawia dwóch facetów. Jednym z nich był Smethurst. Mówił...

Chłopak zamilkł.

— No dalej, człowieku, powiedz nam.

— Coś o tym, że nie chce zawieść kumpla. Wydawał się bardzo przygnębiony. Potem powiedział: "Będę trzymał język za zębami do Bagdadu, ale ani chwili dłużej. Musisz potem szybko zwać".

— Co na to ten drugi?

— Nie wiem, sir. Przysięgam, że nie wiem. Było ciemno, a on powiedział tylko słowo czy dwa i ja nie dosłyszałem.

— Kto z was dobrze znał Smethursta?

— Wydaje mi się, że słowo "kumpel" pasuje tylko do Hensleya — powoli powiedział O'Rourke.
— Znałem Smethursta, ale bardzo mało. Williamson jest nowy, podobnie major Loftus. Nie sądzę, żeby któryś z nich spotkał go wcześniej.

Obaj przyznali mu rację.

— A pan, generale?

— Zobaczyłem tego młodego człowieka po raz pierwszy, gdy wyruszyliśmy z Bejrutu tym samym samochodem w podróż przez Liban.

— A ten ormiański szczur?

— On nie mógłby być niczym kumplem — zdecydowanie odparł O'Rourke. — Poza tym żaden Ormianin nie miałby tyle odwagi, żeby kogokolwiek zabić;

— Prawdopodobnie dysponuję pewnym dodatkowym dowodem — powiedział pan Pyne, a następnie powtórzył rozmowę, którą odbył ze Smethurstem w kawiarni w Damaszku.

— Użył słów "nie chcę zdradzić kumpla" — powtórzył w zamyśleniu O'Rourke. — I martwił się czymś.

— Czy ktoś ma jeszcze coś do dodania? — zapytał pan Pyne.

Doktor odkaszlnął.

— To może nie mieć nic wspólnego ze sprawą... — zamilkł, ale towarzysze zachęcili go, żeby mówił dalej. — Ja tylko słyszałem, jak Smethurst powiedział do Hensleya: “Nie możesz zaprzeczyć, że w twoim wydziale jest przeciek”.

— Kiedy to było?

— Wczoraj rano, tuż przed wyruszeniem z Damaszku. Myślałem, że tylko tak sobie gadają o sprawach zawodowych. Nie przypuszczałem... — urwał raptownie.

— To bardzo interesujące, drodzy przyjaciele — zauważył generał. — Kawałek po kawałku kompletujemy materiał dowodowy.

— Wspomniał pan o worku z piaskiem, doktorze — wtrącił pan Pyne. — Czy można by z czegoś zrobić taką broń?

— Pełno tu tego — odparł doktor sucho, a mówiąc to schylił się i podniósł garść piachu.

— Gdyby wsypać trochę do skarpety... — zaczął O'Rourke i zawahał się.

Nagle wszyscy przypomnieli sobie dwa krótkie zdania wypowiedziane przez Hensleya poprzedniego wieczoru. “Zawsze mam zapasowe skarpety. Nigdy nic nie wiadomo”.

Zapadło milczenie. Po chwili pan Parker Pyne odezwał się cicho:

— Majorze Loftus, przypuszczam, że zapasowe skarpety pana Hensleya są w kieszeni jego płaszcza w samochodzie.

Spojrzenia wszystkich skierowały się na zamyśloną postać wędrującą tam i z powrotem w pewnej odległości od wszystkich. Od momentu odkrycia śmierci Smethursta Hensley trzymał się od nich z dala. Respektowali jego potrzebę samotności, gdyż wiedzieli, że nieboszczyk był jego przyjacielem.

— Czy może pan je przynieść? Lekarz bił się z myślami.

— Nie chciałbym... — mruknął. Ponownie spojrzął na krążącego w oddali mężczyznę. — Trochę to nie w porządku...

— Musi pan je przynieść — upierał się pan Pyne. — Okoliczności są niezwykle. Jesteśmy zdani tylko na siebie i musimy poznać prawdę. Jeżeli przyniesie pan te skarpety, to prawdopodobnie znajdziemy się o krok bliżej.

Loftus posłusznie skierował się do samochodu. Pan Pyne wziął generała Poli na stronę.

— Siedział pan po drugiej stronie przejścia, obok kapitana Smethursta.

— Zgadza się.

— Czy ktoś wstawał i przechodził na tył samochodu?

— Tylko ta Angielka, panna Pryce. Poszła do umywalni na tyłach auta.

— Czy szła prosto?

— Chwiała się, kiedy zarzucało samochodem.

— I była jedyną osobą, która przeszła między fotelami?

— Tak.

Generał przyjrzał mu się bacznie i spytał:

— Zastanawia mnie, kim pan jest. Przejął pan dowodzenie, mimo że nie jest pan wojskowym.

— Sporo w życiu widziałem — wyjaśnił pan Pyne.

— Podróżował pan, co?

— Nie, siedziałem w biurze.

Loftus wrócił ze skarpetami. Parker Pyne wziął je od niego i dokładnie się im przyjrzał. We wnętrzu jednej z nich przyklepiony był mokry piach. Pan Pyne gwałtownie wciągnął oddech.

— Teraz już wiem — stwierdził. Oczy wszystkich zwróciły się na postać rysującą się w oddali. — Chciałbym zerknąć na zwłoki — dodał.

Udał się wraz z doktorem do miejsca, w którym leżało ciało Smethursta przykryte kawałkiem brezentu.

Lekarz odsłonił zmarłego.

— Nie ma na co patrzeć — powiedział.

Ale pan Parker wpatrywał się w krawat kapitana.

— Zatem Smethurst był w Eton — szepnął. Loftus wyglądał na zdumionego.

A pan Pyne zaskoczył go jeszcze bardziej.

— Co pan wie o młodym Williamsonie? — zapytał.

— Zupełnie nic. Spotkałem go w Bejrucie, dokąd przyjechałem z Egiptu. Ale dlaczego? Przecież...

— No cóż, na podstawie jego słów zamierzamy powiesić człowieka, prawda? — wesoło odrzekł

pan Pyne. — Trzeba być ostrożnym.

Wydawało się, że nadal interesuje go przede wszystkim krawat i kołnierzyk zmarłego. Odpiął spinki i zdjął mu kołnierzyk. Wtem wykrzyknął:

— Widzi pan?

Z tyłu kołnierzyka znajdowała się mała, okrągła plamka .krwi.

Dokładnie przyjrzał się odkrytej szyi.

— Tego mężczyzny nie zabito uderzeniem w głowę, doktorze — powiedział z ożywieniem. — Został dźgnięty w podstawę czaszki. Widać tutaj maleńki ślad.

— A ja go przeoczyłem!

— Dlatego, że przyjął pan z góry pewne założenie — wyjaśnił Parker przepaszającym tonem. — Cios w głowę. A tę ranę łatwo przeoczyć. Jest ledwie widoczna. Szybkie dźgnięcie małym ostrym narzędziem i śmierć następuje natychmiast. Ofiara nie zdąży nawet jęknąć.

— Ma pan na myśli sztylet? Sądzi pan, że generał?...

— Włosi i sztylety to tylko obiegowy przesąd. O, coś tu jedzie!

Na horyzoncie pojawił się samochód turystyczny.

— Dobrze się składa — powiedział O'Rourke podchodząc do nich. — Panie będą mogły nim pojechać.

— A co z naszym mordercą? — zapytał pan Pyne.

— Ma pan na myśli Hensleya?...

— Nie, nie jego — brzmiała odpowiedź. — Wiem, że jest niewinny.

— Pan... ale skąd?

— Widzi pan. w jego skarpecie był piasek. O'Rourke wpatrywał się w niego ze zdumieniem.

— Tak, wiem, drogi chłopcze — dodał Parker łagodnie — ale choć nie brzmi to zbyt sensownie, taka jest prawda. Smethursta nie uderzono w głowę. Zabito go jakimś ostrym narzędziem.

Zamilkł na chwilę, po czym podjął.

— Proszę wrócić pamięcią do rozmowy, którą odbyłem z. nim w kawiarni. Zwrócił pan uwagę na zdanie, które panu wydało się istotne. Mnie natomiast uderzyło co innego. Kiedy powiedziałem, że nadużywam zaufania, on spytał: "Co, pan też?" Czy to nie wydaje się dziwne? Chyba jakichś

małwersacji w wydziale nie nazwałby “nadużywaniem zaufania”. To określenie bardziej pasuje na przykład do kogoś w rodzaju zbiegłego pana Samuela Longa.

Doktor wzdrygnął się, a O'Rourke powiedział:

— No tak, być może...

— Kiedyś zażartowałem, że być może zbiegły pan Long należy do naszego towarzystwa. Przypuśćmy jednak, że to prawda.

— Ależ to niemożliwe!

— Dlaczego? Co pan wie o tych ludziach poza danymi w ich paszportach i tym, co sami o sobie mówią? Czy ja aby na pewno jestem Parkerem Pynem? Czy generał Poli naprawdę jest włoskim generałem? A co z nad wyraz męską starszą panną Pryce, której najwyraźniej przydałoby się golenie?

— Ale on... ale Smethurst... nie znał Longa?

— Smethurst uczył się w Eton. Podobnie jak Long. Mógł go znać, choć nic o tym nie mówił. Mógł go rozpoznać wśród nas. A jeżeli tak się stało, to co miał zrobić? Był człowiekiem prostodusznym i przejmował się całą tą sprawą. W końcu postanowił zachować dyskrecję aż do Bagdadu. Potem jednak nie miał zamiaru dłużej milczeć.

— Sądzi pan, że jeden z nas jest Longiem — powiedział ciągle oszołomiony O'Rourke. Głęboko zaczerpnął tchu: — To musi być ten Włoch... to na pewno on... a może Ormianin?

— Udawać cudzoziemca i zdobyć odpowiedni paszport jest naprawdę dużo trudniej, niż pozostać Anglikiem — zauważył pan Pyne.

— Panna Pryce? — z niedowierzaniem spytał O'Rourke.

— Nie — odpowiedział Parker. — Oto człowiek, którego szukamy!

Niemalże przyjacielskim gestem położył rękę na ramieniu mężczyzny stojącego obok. Ale w jego głosie nie było nie przyjaznego, a jego palce zacisnęły się niczym imadło.

— Major Loftus czy raczej pan Samuel Long!

— Ale to niemożliwe... niemożliwe! — parsknął O'Rourke. — Loftus służy w armii od lat.

— Jednak nie spotkał pan go nigdy wcześniej, prawda? Nikt tutaj go nie znał. Bo to oczywiście nie jest prawdziwy Loftus.

Milczący dotąd człowiek odzyskał wreszcie głos.

— Moje gratulacje. Jak pan do tego doszedł?

— Z powodu pańskiego śmiesznego stwierdzenia, że przyczyną śmierci Smethursta było uderzenie głową o sufit. O'Rourke podsunął panu ten koncept, kiedy wczoraj rozmawialiśmy w Damaszku. Uznał pan, że będzie to zupełnie proste! Jest pan jedynym lekarzem wśród nas, więc powinniśmy zaakceptować wszystko, co pan powie. Miał pan apteczkę Loftusa i jego narzędzia chirurgiczne. Nietrudno było wybrać jakieś małe narzędzie odpowiednie do pańskiego celu. Pochylił się pan, żeby coś mu powiedzieć, i zadał pan cios. Potem mówił pan jeszcze przez minutę lub dwie. W samochodzie było ciemno.

Kto by coś podejrzewał? A potem odkryto zwłoki. Ogłosił pan wynik oględzin. Ale nie przeszedł on tak łatwo, jak się pan spodziewał. Powstały wątpliwości. Zdecydował się pan zalem na druga linię obrony. Williamson powtarza podsłuchaną rozmowę między Smethurstem i panem. Wszyscy uznają, że odnosi się ona do Hensleya, więc pan dokłada mały szczegół własnego pomysłu o przecieku w wydziale Hensleya. W końcu przeprowadziłem ostatni test. Wspomniałem o piasku i o skarpetach. Pan miał w dłoni garść piachu. Wysłałem pana po skarpety, żebyśmy mogli poznać prawdę. Ale mówiąc to nic miałem na myśli tego, co pan przypuszczał. Już wcześniej sprawdziłem skarpetki Hensleya i nie było w nich śladu piachu. To pan go tam wsypał.

Pan Long zapalił papierosa.

— Poddaję się — oświadczył. — Szczęście odwróciło się ode mnie. Póki je miałem, nie było problemów. Kiedy dotarłem do Egiptu, deptali mi już po piętach. Tam spotkałem Loftusa. Zmierzał do Bagdadu, gdzie miał przyłączyć się do grupy podróżnych, w której nikogo nie znał. To była zbyt dobra okazja, żeby z niej nie skorzystać. Przekupiłem go. Kosztował mnie dwadzieścia tysięcy funtów, ale co to dla mnie! A potem, cholerny pech. wpadłem na Smethursta, tego koszmarnego osła! W Eton nie odstępował mnie na krok. Czczył mnie niczym jakiegoś bohatera w owych czasach. Nie miał ochoty mnie wydać. Robiłem, co w mojej mocy, żeby go powstrzymać, i w końcu obiecał, że nic powie nic, dopóki nie dotrzemy do Bagdadu. A jakie wtedy miałbym szansę? Żadnych. Była tylko jedna droga — pozbyć się go. Ale zapewniam pana, że nie mam natury mordercy. Talent objawiam w zupełnie innej dziedzinie.

Twarz mu się zmieniła, jakby cała się ściągnęła. Zachwiał się i upadł na piasek.

O'Rourke pochylił się nad nim.

— Prawdopodobnie kwas pruski w papierosie — zasugerował pan Pync. — Hazardzista przegrał w ostatniej rozgrywce.

Rozejrzał się wokół po bezkresnej pustyni. Słońce prażyło niemiłosiernie. Ledwie wczoraj opuścili Damaszek — przez Wrota Bagdadu.

“Nie przejeżdżaj tędy, o Karawano, nie jedź ze śpiewem. Czy słyszałaś

Tę ciszę, gdy ptaki milczą, a jednak coś kwili jak ptak?”

Dom w Szirazie

O szóstej rano pan Parker Pyne wyruszył do Persji po krótkim pobycie w Bagdadzie.

W małym jednopłatowcu było bardzo niewiele miejsca dla pasażerów, a dziwna pozycja, jaką musiał przybrać pan Pyne, obdarzony bądź co bądź pokaźną sylwetką, żeby zmieścić się na wąziutkim siedzeniu, nie wyglądała na szczególnie wygodną. Wraz z nim w podróż wyruszyły dwie osoby: tęgi, rumiany mężczyzna, już na pierwszy rzut oka sprawiający wrażenie gaduły, oraz chuda kobieta o wąskich ustach, nadających jej twarzy wyraz zdecydowania.

W każdym razie — pomyślał pan Pyne — nie wyglądają na takich, którzy by chcieli zasięgnąć u mnie profesjonalnej porady. i nie zasięgnęli. Kobieta była amerykańską misjonarką, zdecydowaną ciężko pracować i być szczęśliwą, natomiast mężczyzna pracował dla firmy naftowej. Zdołali przedstawić swoje życiorysy Parkerowi, zanim jeszcze samolot wystartował.

— Niestety jestem tylko zwykłym turystą — powiedział pan Pyne tonem pełnym potępienia samego siebie. — Zamierzam zwiedzić Teheran, Isfahan i Sziraz.

Czysta melodia tych słów tak go zachwyciła, gdy je wymawiał, że natychmiast powtórzył jeszcze raz: Teheran. Isfahan. Sziraz.

Spojrzał na rozciągający się w dole krajobraz. Pustynna równina. Głęboko odczuwał tajemniczą aurę tych rozległych nie zamieszkanym terenów.

Samolot wylądował w Kermanszy do odprawy celnej i paszportowej. Urzędnicy otworzyli torbę pana Pyne'a i z podnieceniem przeprowadzili oględziny pewnego małego kartonowego pudełka. Zadali mu wiele pytań. A ponieważ pan Pyne nie rozumiał perskiego, sprawa okazała się dosyć kłopotliwa.

Podszedł do nich pilot, przystojny jasnowłosy Niemiec o głębokich niebieskich oczach i ogorzałej twarzy.

— Pomóc? — zapytał uprzejmie.

Pan Parker Pyne, który od dłuższego czasu prezentował cudowną realistyczną pantomimę, ale — jak się wydawało — zupełnie bez powodzenia, odetchnął z ulgą.

— To proszek na insekty — powiedział. — Czy może im pan to jakoś wyjaśnić?

Pilot wyglądał na zbitego z tropu.

— Proszę?

Pan Pyne powtórzył swoje błaganie po niemiecku. Pilot uśmiechnął się i przetłumaczył je na

perski. Smutni urzędnicy rozpromienili się. Wyraz napięcia zniknął z ich poważnych twarzy, które rozjaśniły się w uśmiechu. Jeden z nich nawet zaśmiał się głośno. Najwyraźniej taki koncept wydawał się im zabawny.

Trójka pasażerów ponownie zajęła miejsca w samolocie i podjęła podróż. Nad Hamadanem maszyna obniżyła lot, żeby zrzucić pocztę, ale nic lądowali. Pan Pyne wyglądał przez okno próbując dojrzeć skałę Behistun, romantyczne miejsce, gdzie Dariusz opisał potęgę swego imperium i historię podbojów w trzech różnych językach — babilońskim, medejskim i perskim.

Przylecieli do Teheranu o pierwszej. Tutaj musieli przejść przez dużo więcej formalności. Niemiecki pilot stanął obok pana Pyne'a i z uśmiechem przysłuchiwał się, jak ten kończy odpowiadać na długi ciąg pytań, których zupełnie nie rozumie.

— Co ja powiedziałem? — zapytał Niemca.

— Że pana ojciec ma na imię Turysta, pana zawód to Charles, panięńskie nazwisko matki brzmi Bagdad, a pan pochodzi z Harriet.

— Czy to ma jakieś znaczenie?

— Najmniejszego. Można mówić cokolwiek, to im zupełnie wystarcza do szczęścia.

Pan Pyne rozczarował się Teheranem, który wydał mu się przygnębiająco nowoczesny. Taką opinię wyraził, kiedy następnego wieczora wchodząc do hotelu wpadł przypadkiem na pilota, *Herr Schlagala*. Wiedziony nagłym impulsem zaprosił go na kolację, na co Niemiec ochocho przystał.

Gruziński kelner przyjął od nich zamówienia. Po chwili podano jedzenie.

Kiedy dotarli do etapu *la torte*, dość lepkiej czekoladowej substancji, Niemiec zagaił:

— Zatem wybiera się pan do Szirazu?

— Tak, polecę tam samolotem. A potem wrócę do Isfahanu i Teheranu samochodem. Czy to z panem będę jutro leciał?

— Ach nie. Ja wracam do Bagdadu.

— Od dawna pan tu pracuje?

— Od trzech lat. Właśnie wtedy powstało nasze przedsiębiorstwo. Jak dotąd nie mieliśmy ani jednego wypadku — *unberufen!* — postukał w stół.

Wniesiono grube filizanki wypełnione słodką kawą. Mężczyźni zapalili.

— Moimi pierwszymi pasażerkami były dwie panie — Niemiec pogrzyżył się we wspomnieniach.
— Dwie angielskie damy.

— Tak? — zachęcił go pan Pyne.

— Jedna była młodą damą z bardzo dobrego domu, córką jednego z waszych ministrów... jak ona się nazywała?... Lady Esther Carr. Była ładna, nawet bardzo, ale szalona.

— Szalona?

— Zupełnie. Teraz mieszka w Szirazie w wielkim domu. Nosi wschodnie stroje i nie życzy sobie widywać żadnych Europejczyków. Czy tak powinna żyć dobrze urodzona dama?

— Zdarzają się takie przypadki — odpowiedział pan Pyne. — Na przykład lady Hester Stanhope...

— Ta jest obłąkana — gwałtownie przerwał jego towarzysz. — To było widać w jej oczach. Takie same oczy miał dowódca mojej łodzi podwodnej w czasie wojny. Teraz jest w zakładzie dla umysłowo chorych.

Pan Pyne zadumał się. Dobrze pamiętał lorda Micheldevera, ojca lady Esther Carr. Pracował dla niego, kiedy tamten był ministrem spraw wewnętrznych. Postawny blondyn o wesołych niebieskich oczach. Raz widział leż lady Micheldever — słynną irlandzką piękność o kruczoczarnych włosach i fiołkowych oczach. Oboje byli urodziwymi, normalnymi ludźmi, ale rzeczywiście w rodzinie Carra zdarzały się choroby psychiczne. Ujawniały się od czasu do czasu, co drugie pokolenie. To dziwne — pomyślał — że Schlagal tak podkreśla tę sprawę.

— A ta druga dama? — zapytał od niechcienia.

— Ta druga dama... nie żyje.

Coś w jego głosie sprawiło, że Parker przyjrzał mu się uważnie.

— Oddałem jej serce — wyjaśnił *Herr Schlagal*. — Tęsknię za nią. Dla mnie była najpiękniejszą istotą na świecie. Wie pan, jak to jest, takie rzeczy spadają na człowieka zupełnie nieoczekiwanie. Była jak kwiat... jak kwiat — westchnął głęboko. — Raz pojechałem je odwiedzić w tym domu w Szirazie. Lady Esther zaprosiła mnie. A moja najdroższa, mój kwiat, bała się czegoś. Widziałem to. Kiedy następnym razem wróciłem z Bagdadu, dowiedziałem się, że nie żyje. Nic żyje! — zamilkł, ale po chwili dodał z namysłem: — Może ta druga ją zabiła. Ona jest obłąkana, mówię panu.

Znów westchnął, a pan Pyne zamówił dwie benedyktyнки.

— Curaçao jest dobre — stwierdził gruziński kelner i przyniósł im dwa kieliszki curaçao.

Tuż po południu następnego dnia pan Parker Pyne po raz pierwszy ujrzał Sziraz. Lecieli nad łańcuchami górskimi poprzecinanymi wąskimi, wyludnionymi dolinami, a potem nad jałową, spieczoną pustynią. I nagle ich oczom ukazał się Sziraz — szmaragdowozielony klejnot w samym sercu pustkowia.

Przypadł panu Pyne'owi do gustu o wiele bardziej niż Teheran. Nie przerażyły go ani prymitywne warunki w hotelu, ani równie prymitywne ulice.

Trafił tam akurat w porze perskiego karnawału. Poprzedniego wieczora rozpoczął się festiwal Nan Ruz — trwające piętnaście dni uroczystości, w czasie których Persowie obchodzą swój Nowy Rok. Wędrował po pustych bazarach, aż wyszedł na ogromne otwarte błonia na północy miasta. Cały Sziraz świętował.

Któregoś dnia wyprawił się za miasto. Był na grobie poety Hafiza i w drodze powrotnej zauważył dom, który niezwykle go zafascynował. Cały wyłożony błękitnymi, różowymi i żółtymi kafelkami, otoczony zielonym ogrodem, w którym połyskiwał strumień i rosły drzewka pomarańczowe oraz róże. Dom z marzeń.

Postanowił dowiedzieć się czegoś o nim wieczorem, podczas kolacji z angielskim konsulem.

— Fascynujące miejsce, nieprawdaż? Został wybudowany przez poprzedniego, bardzo zamożnego gubernatora Luristanu. Ten to potrafił ciągnąć korzyści ze swojego stanowiska. Teraz należy do pewnej Angielki. Musiał pan o niej słyszeć. Lady Esther Carr. Zupełna wariatka. Udaje tubylca. Nie chce mieć nic wspólnego z niczym ani nikim pochodzącym z Anglii.

— Jest młoda?

— Zbyt młoda, żeby robić z siebie takie dziwadło. Gdzieś koło trzydziestki.

— Była z nią jeszcze jedna Angielka, prawda? Słyszałem, że nie żyje.

— Tak. To się wydarzyło jakieś trzy lata temu. Dzień po tym, jak objąłem swoje stanowisko. Barham, mój poprzednik, zmarł nagle, wie pan.

— A jak ona umarła? — spytał bez ogródek pan Pyne.

— Spadła z tarasu na pierwszym piętrze. Była pokojówką czy też damą do towarzystwa lady Esther, nie pamiętam już. W każdym razie niosła tacę ze śniadaniem i nie zauważyła krawędzi tarasu. Smutna sprawa. Nic się nie dało zrobić, roztrzaskała sobie czaszkę na kamieniu.

— Jak się nazywała?

— Chyba King, a może Willis? Nie, to jest ta misjonarka. Całkiem ładna dziewczyna.

— Czy lady Esther bardzo się tym przejęła?

— Tak... nie. Nie wiem. Zachowywała się dziwnie. Nie potrafiłem jej rozszyfrować. To bardzo, no, władcza osoba. Od razu widać, że jest kimś, jeśli pan wie, co mam na myśli. Trochę mnie przeraził jej rozkazujący ton i te ciemne oczy miotające błyskawice.

Zaśmiał się z zażenowaniem i popatrzył ciekawie na swojego towarzysza. Pan Pyne wpatrywał się w przestrzeń niewidzącym wzrokiem. Zapałka, którą zamierzał przypalić papierosa, płonęła w jego

dłoni. W końcu poparzyła mu palce, więc upuścił ją z okrzykiem bólu.

Dostrzegł wreszcie zdumienie na twarzy konsula i uśmiechnął się.

— Proszę mi wybaczyć — powiedział.

— Bujał pan w obłokach, co!

— Tak, rozciągał się stamtąd ciekawy widok — odparł enigmatycznie pan Pyne.

Pograżyli się w rozmowie o innych sprawach.

Tego wieczora, przy świetle małej lampki oliwnej, Parker Pyne napisał list. Długo się wahał nad odpowiednim doborem słów. Jednak rezultat był bardzo prosty:

Pan Parker Pyne składa wyrazy uszanowania lady Esther Carr i pragnie poinformować, że gdyby zechciała zasięgnąć jego porady, pozostanie w hotelu "Fars" jeszcze przez trzy dni.

Dołączył do listu wycinek z gazety zawierający słynne ogłoszenie:

JESTEŚ SZCZĘŚLIWY? JEŚLI NIE. ZASIĘGNIJ RADY PANA PARKERA PYNE'A, 17 RICHMOND STREET.

— To powinno zadziałać — mruknął do siebie, ostrożnie układając się w niezbyt wygodnym łóżku. — Zaraz, już prawie trzy lata... tak, powinna zareagować.

Odpowiedź nadeszła nazajutrz około czwartej po południu. Przyniósł ją perski służący, który w ogóle nic znał angielskiego.

Lady Esther Carr będzie zachwycona, jeżeli pan Parker Pyne zechce złożyć jej wizytę dziś o dziewiątej wieczorem.

Pan Pyne uśmiechnął się.

Drzwi otworzył ten sam służący. Poprowadził Parkera przez ciemny ogród, a następnie po zewnętrznych schodach prowadzących na tył domu. Tam przeszli przez drzwi na centralny dziedziniec, czy raczej taras, otwarty na nocne niebo. Pod ścianą stała duża otomana, a na niej spoczywała zachwycająca postać.

Lady Esther miała na sobie wschodnie szaty. Można by wysnuć przypuszczenie, że nie bez znaczenia dla jej upodobań był fakt, iż wyjątkowo pasowały one do jej pięknej twarzy o orientalnych rysach. Konsul nazwał ją władczą i rzeczywiście tak właśnie wyglądała. Brodę miała wysoko uniesioną, a w oczach dumny błysk.

— Pan Parker Pyne? Proszę usiąść tutaj. Wskazała dłonią na stos poduszek. Na środkowym palcu załśnił ogromny szmaragd z wyrzeźbionym herbem jej rodziny. Pan Pyne pomyślał, że to pamiątka rodowa warta zapewne niezłą fortunę.

Usiadł posłusznie, choć nie bez pewnych kłopotów. Mężczyźnie jego postury nie jest łatwo z wdziękiem usiąść na podłodze.

Pojawił się służący z kawą. Pan Pyne wziął filiżankę i z zadowoleniem zaczął popijać małymi łykami.

Jego gospodyni przyjęła orientalny sposób bycia, charakteryzujący się niezmaconym spokojem. Nie spieszyła się z rozpoczęciem rozmowy. Ona również sączyła kawę z na wpół przymkniętymi oczami. Wreszcie odezwała się.

— Zatem pomaga pan nieszczęśliwym ludziom — powiedziała. — Przynajmniej tak utrzymuje pan w swoim ogłoszeniu.

— Owszem.

— Dlaczego przysłał je pan akurat do mnie? Czy tak załatwia pan interesy w czasie podróży?

Jej ton brzmiał wyraźnie zaczepnie, ale pan Pyne zignorował to. Odpowiedział po prostu:

— Nie. Kiedy podróżuję, chciałbym zupełnie oderwać się od spraw zawodowych.

— Czemu więc napisał pan do mnie?

— Ponieważ miałem powód wierzyć, że jest pani nieszczęśliwa.

Zapadło milczenie. Pan Pyne był ciekaw, jak ona to przyjmie. Szybko podjęła decyzję. Roześmiała się.

— Zapewne sądzi pan, że każdy, kto porzuca świat i żyje tak jak ja, odcina się od swojego narodu i kraju, robi to, gdyż jest nieszczęśliwy! Myśli pan, że to smutek, rozczarowanie i inne takie uczucia skazały mnie na wygnanie? Och, jak miałby pan zrozumieć? Tam, w Anglii, byłam jak ryba bez wody. Tu jestem sobą. Mam orientalna, duszę. Kocham takie odosobnienie. Nie potrafi pan tego zrozumieć. Pan musi uważać mnie za... — zawahała się — ...szaloną.

— Nie jest pani szalona — odrzekł jej gość z absolutnym przekonaniem. Spojrzała na niego zaintrygowana.

— Ale ludzie twierdzą, że jestem szalona. Idioci! Nie wszyscy muszą być tacy sami. Osiągnęłam tutaj pełnię szczęścia,

— A jednak zaprosiła mnie pani, bym przyszedł — zauważył Parker.

— Przyznam, że zaciekawił mnie pan — urwała, ale po chwili podjęła. — Poza tym, choć nie chcę

nigdy wrócić tani, do Anglii, to jednak czasami chętnie bym posłuchała, co się dzieje w...

— W świecie, który pani porzuciła? Potwierdziła skinieniem głowy.

Pan Pyne zaczął mówić. Jego głos, łagodny i spokojny, początkowo brzmiał cicho, a potem chwilami głośniejszy, gdy podkreślał tę lub inną wypowiedź.

Mówił o Londynie, o ploteczkach z towarzystwa, o znanych kobietach i mężczyznach, o nowych restauracjach i klubach nocnych, o wyścigach, polowaniach i skandalach w wiejskich rezydencjach. Opowiadał o ubraniach, paryskiej modzie, o małych sklepikach w niemodnych dzielnicach, gdzie można coś kupić za śmieszne pieniądze.

Rozprawiał o teatrach i kinach, przekazywał filmowe nowinki, mówił o budowie nowych przedmieść, o sadzonkach i ogrodnictwie, aż w końcu odmalował swojski obraz Londynu wieczorem, z tramwajami i autobusami, i tłumami spieszącymi po pracy do domów, do czekających na nich małych mieszkanek, a zakończył ciepłym opisem życia angielskiej rodziny.

Był to doprawdy godny uwagi występ, ujawniający głęboką i niezwykłą wiedzę, a także umiejętność inteligentnego doboru faktów. Lady Esther opuściła głowę; z jej pozy zniknęła cała arogancja. Przez chwilę po jej policzkach wolno toczyły się łzy, a gdy pan Pyne skończył, porzuciła wszelkie udawanie i głośno załkała.

Parker Pyne nic odzywał się. Siedział przyglądając się jej w milczeniu. Wyglądał na zadowolonego z siebie tak, jakby przeprowadził eksperyment, który przyniósł pożądane rezultaty.

W końcu uniosła głowę.

— I co? — spytała z goryczą. — Jest pan zadowolony?

— Teraz tak.

— Jak ja mam się z tym pogodzić? Jak? Zostać tu na zawsze, nigdy już nikogo nie zobaczyć! — krzyknęła tracąc nad sobą kontrolę, ale szybko wzięła się w garść. — No i? — zapytała zawziętym tonem. — Nie spyta pan o to, co oczywiste? Nie powie pan: “Skoro tak bardzo pragnie pani wrócić do domu, to czemu pani tego nie zrobi?”

— Nie. — Pan Pyne pokręcił głową. — W pani przypadku sprawa nie jest laka łatwa.

Po raz pierwszy w jej oczach dostrzegł błysk strachu.

— Wie pan, dlaczego nie mogę wrócić?

— Chyba tak.

— Nieprawda — potrząsnęła głową. — Nigdy nie odgadłby pan prawdziwego powodu.

— Ja nic zgaduje — zaprzeczył. — Obserwuję i... porządkuję fakty.

— Nic pan nie wie.

— Zdaje się, że będę musiał panią przekonać — uprzejmie powiedział Parker. — Rozumiem, że przyleciała pani tutaj z Bagdadu samolotem nowej Niemieckiej Linii Powietrznej, lady Esther?

— Tak.

— Pilotem był młody Niemiec, *Herr* Schlagal, który później odwiedził panią?

Tym razem “tak” zabrzmiało jakoś inaczej, dużo łagodniej.

— Przybyła tu również pani przyjaciółka, czy raczej towarzyszka, która... zmarła — jego głos był teraz zimny i ostry niczym stal.

— Moja dama do towarzystwa.

— Nazywała się...

— Muriel King.

— Lubiła ją pani?

— O co panu chodzi? — natychmiast się opanowała. — Była bardzo przydatna.

Powiedziała to bardzo wyniosłym tonem i pan Pyne przypomniał sobie słowa konsula: “Od razu widać, że jest kimś, jeśli pan wie, co mam na myśli”.

— Czy było pani przykro, kiedy umarła?

— Ja... naturalnie! Doprawdy, panie Pyne, czy rzeczywiście musimy o tym rozmawiać? — spytała gniewnie i nie czekając na odpowiedź ciągnęła dalej: — Bardzo mi było miło pana gościć, ale jestem już trochę zmęczona. Proszę powiedzieć, ile jestem panu winna.

Lecz pan Pyne nie poruszył się. W najmniejszym stopniu nie okazał, że czuje się urażony, i spokojnie podjął zadawanie pytań.

— Od śmierci panny King *Herr* Schlagal nie odwiedzał pani. Czy przyjęłaby go pani, gdyby przyjechał?

— Na pewno nie.

— Odmawia pani kategorycznie?

— Kategorycznie. Nie przyjmę *Herr* Schlagala.

— Tak — z namysłem powiedział pan Pyne. — Nie mogła pani odpowiedzieć inaczej.

Zbroja arogancji pękła odrobinę. Lady Esther odezwała się niepewnie:

— Nie... nie wiem, co pan ma na myśli.

— Czy wiedziała pani, lady Esther, że młody Schlagal zakochał się w Muriel King? To sentymentalny młody człowiek. Nadal przechowuje wspomnienie o niej niczym cenny skarb.

— Naprawdę? — to był nieomalże szept.

— Jaka ona była?

— O co panu chodzi? Skąd mam to wiedzieć?

— Musiała pani na nią czasami spoglądać — odpowiedział Parker łagodnie.

— Ach, o to chodzi. Była całkiem ładną młodą kobietą.

— W tym samym wieku co pani?

— Mniej więcej — zamilkła na chwilę. — Skąd pan wie, że... że Schlagalowi zależało na niej?

— Ponieważ mi o tym powiedział. Tak, tak, wyraził to zupełnie jednoznacznie. Jak już wspomniałem, to sentymentalny mężczyzna. Ulżyło mu, kiedy mi się zwierzył. Był bardzo wzburzony, że zginęła w taki sposób.

Lady Esther zerwała się na równe nogi.

— Uważa pan, że ją zamordowałam?

Pan Pyne nie zerwał się na równe nogi. Nie miał po temu odpowiednich warunków fizycznych.

— Nie, drogie dziecko — odrzekł. — Nie uważam tak i z tego względu myślę, że im wcześniej skończy pani z tym udawaniem i wróci do domu, tym lepiej.

— Z jakim udawaniem?

— Prawda jest taka, że wpadła pani w panikę. Tak było. Zupełnie straciła pani głowę. Myślała pani, że zostanie oskarżona o śmierć swojej pracodawczyni.

Młoda kobieta wykonała taki ruch, jakby chciała uciec. Pan Parker Pyne ciągnął dalej:

— Pani nie jest lady Esther Carr. Wiedziałem o tym, zanim tu przyszedłem, ale musiałem panią poddać próbie, żeby zyskać całkowitą pewność — uśmiechnął się łagodnie i dobrotliwie. — Podczas opowiadania obserwowałem panią i raz po raz reagowała pani w sposób właściwy dla Muriel King, a nie dla Esther Carr. Tanie sklepy, kina, nowe osiedla na przedmieściach, jazda do domu autobusem lub tramwajem... Wszystko to wzruszało panią. Plotki z wiejskich rezydencji, nowe kluby nocne, opowiadki o ludziach z towarzystwa, wyścigi — to wszystko nie miało dla pani znaczenia.

Jego głos stał się jeszcze bardziej przekonujący i ojcowski.

— Proszę usiąść i opowiedzieć mi całą historię. Nie zamordowała pani lady Esther, ale bała się pani, że może zostać o to posądzona. Niech mi pani powie, jak do tego doszło.

Wzięła głęboki oddech, wróciła na otomanę i zaczęła opowiadać. Mówiła szybko, urywanymi zdaniem, jakby spieszo jej było wreszcie to z siebie wyrzucić.

— Muszę zacząć od początku. Ja... ja się jej bałam. Była szalona, może nie całkiem, ale trochę na pewno. Przywiozła mnie tu ze sobą. A ja, głupia, byłam tym zachwycona. Uważałam, że to takie romantyczne. Mała idiotka. Tym właśnie byłam — idiotką. Zaczęło się od jakiejś historii z szoferem. Ona miała zupełnego fioła na punkcie mężczyzn, kompletnego fioła. A ten szofer nie chciał mieć z nią nic wspólnego i sprawa się rozniosła. Przyjaciele wyśmiewali się z niej, więc zerwała kontakty z rodziną i przeniosła się tutaj. Próbowwała ratować twarz przyjmując tę pozę, wie pan, samotna na pustyni i tak dalej. Zamierzała pociągnąć to przez chwilę, a potem wrócić. Lecz dziwaczała coraz bardziej. No i ten pilot. Ona... spodobał się jej. Przyjechał tutaj odwiedzić mnie, a ona myślała... cóż, sam pan rozumie. Lecz chyba jasno dał jej do zrozumienia... — umilkła na chwilę. — I wtedy nagle napadła na mnie. Była potworna, przerażająca. Powiedziała, że nigdy już nie wrócę do domu. Że mój los spoczywa w jej rękach. Mówiła, że jestem niewolnicą. Nikim więcej, tylko jej niewolnicą. Że ma władzę nad moim życiem i śmiercią.

Pan Pyne kiwnął głową. Wiedział, jak musiała rozwinąć się ta sytuacja. Lady Esther powoli przekraczająca granicę szaleństwa, tak jak uprzednio inni członkowie jej rodu, i przestraszona dziewczyna, nieobyta i naiwna, gotowa uwierzyć we wszystko, co się jej powie.

— Ale pewnego dnia coś we mnie pękło. Zbuntowałam się. Oświadczyłam, że jeśli dojdzie co do czego, to jestem od niej silniejsza. Powiedziałam, że zrzucę ją na te kamienie na dole. Przestraszyła się, naprawdę bardzo się przestraszyła. Chyba uznała, że wyhodowała żmiję na własnym łonie. Postąpiłam krok w jej stronę. Nie wiem, co sobie pomyślała, ale cofnęła się. I... i spadła z krawędzi tarasu — Muriel King ukryła twarz w dłoniach.

— A co było potem? — łagodnie zachęcił ją pan Pyne.

— Straciłam głowę. Byłam pewna, że ludzie powiedzą, iż to ja ją zepchnęłam. Myślałam, że nikt mi nie uwierzy i że wtrącą mnie do jakiegoś potwornego miejscowego więzienia — jej usta drżały. Pan Pyne wyraźnie potrafił sobie wyobrazić ślepa panikę, która ją ogarnęła. — A potem dotarło do mnie, że gdybym to była ja, wszystko wyglądałoby inaczej! Wiedziałam, że ma przyjechać nowy brytyjski konsul, który nigdy nic widział żadnej z nas. Poprzedni zmarł. Wiedziałam, że poradzę sobie ze służącymi. Dla nich byłyśmy tylko dwiema zwariowanymi Angielkami. Jedna nie żyje, ale druga robi swoje. Hojnie obdarowałam ich pieniędzmi i kazałam posłać po konsula. Przyszedł, a ja przyjąłam go jako lady Esther. Włożyłam jej pierścień. Konsul był bardzo miły i wszystkim się zajął. Wyglądało na to, że nikt nie ma żadnych podejrzeń.

Pan Pyne z namysłem pokiwał głową. Lady Esther Carr mogła sobie być zupełnie obłąkana, ale mimo wszystko była to lady Esther Carr.

— A potem — ciągnęła Muriel — zaczęłam żałować, że to zrobiłam. Zrozumiałam, że sama byłam szalona. Skazałam się na pozostanie tutaj i odgrywanie tej roli. Nie mam pojęcia, jak się z tego wyplątać. Gdybym teraz wyznała prawdę, to sprawa wyglądałaby jeszcze bardziej podejrzanie. Och, panie Pyne, co ja mam robić? Co robić?

— Co? — pan Pyne wstał tak szybko, jak na to pozwalała jego figura. — Drogie dziecko, pójdziemy teraz razem do konsula brytyjskiego, który jest bardzo miłym i przyjacielskim człowiekiem. Będzie pani musiała przejść przez pewne nieprzyjemne formalności. Nie obiecuję, że wszystko ułoży się jak po maśle, ale na pewno nie zostanie pani powieszona za morderstwo. Tak na marginesie, skąd się wzięła przy ciele taca ze śniadaniem?

— Ja ją zrzuciłam. Pomyślałam, że dzięki niej szybciej uwierzą, iż to ja spadłam. Czy to było bardzo głupie?

— Całkiem sprytne posunięcie — odrzekł pan Pyne.

— Właściwie ten jeden fakt kazał mi się zastanawiać, czy przypadkiem nie zabiła pani lady Esther... to znaczy do chwili, gdy panią ujrzałem. Wtedy wiedziałem już, że może być pani zdolna do różnych rzeczy, ale nie do tego, żeby kogoś zamordować.

— Dlatego że nic mam na tyle zimnej krwi?

— Po prostu nie ma pani odpowiedniej psychiki — odpowiedział z uśmiechem Parker. — Możemy już iść? Mamy niemiły obowiązek do spełnienia, ale pomogę pani przezeń przebrnąć. A potem do domu, do Streatham Hill, prawda? Tak też myślałem. Zauważyłem, jak ściągnęła się pani twarz z bólu, gdy wspomniałem autobus o pewnym numerze. Idziemy, moja droga?

Muriel King wyraźnie się ociągała.

— Nigdy mi nie uwierzą — powiedziała nerwowo. — Jej rodzina i wszyscy znajomi. Nie uwierzą, że mogła się tak zachowywać.

— Proszę zostawić to mnie — uspokoił ją pan Pyne.

— Znam pewne fakty z historii tej rodziny. Chodźmy, dziecko, nie udawaj tchórza. Pamiętaj, że pewien młody człowiek rzewnie za tobą wzdycha. Powinniśmy wszystko tak zorganizować, żeby to on leciał z tobą do Bagdadu.

Młoda kobieta uśmiechnęła się i zarumieniła.

— Jestem gotowa — powiedziała i ruszyła w stronę drzwi, lecz nagle odwróciła się. — Wspomniał pan o tym, że wiedział pan, iż nie jestem lady Esther, jeszcze zanim mnie pan zobaczył. Skąd mógł pan to wiedzieć?

— Dzięki statystyce.

— Statystyce?

— Owszem. Zarówno lord jak i lady Micheldever mają niebieskie oczy. Kiedy konsul wspomniał, że ich córka ma lśniące ciemne oczy, wiedziałem, że coś jest nie tak. Ludzie o brązowych oczach mogą mieć niebieskookie dziecko, ale nie odwrotnie. To fakt naukowy, zapewniam panią.

— Jest pan niesamowity! — stwierdziła Muriel King.

Drogocenna perła

Podróżni mieli za sobą długi i męczący dzień. Wyruszyli wczesnie rano z Ammanu, gdzie panowała temperatura dziewięćdziesięciu ośmiu stopni Fahrenheita w cieniu, i tuż przed zmierzchem dotarli do obozu usytuowanego w samym sercu Petry, miasta wydrążonego w fantastycznych i niesamowitych czerwonych skałach.

Było ich siedmioro. Pan Caleb P. Blundell, korpulentny, zamożny amerykański potentat przemysłowy. Jego sekretarz, Jim Hurst, ciemnowłosy i atrakcyjny, choć nieco małomówny. Członek parlamentu, sir Donald Marvel, polityk o bardzo znużonym wyglądzie. Doktor Carver, światowej sławy archeolog w podeszłym wieku. Szarmancki Francuz, pułkownik Dubosc, na urlopie. Niejaki pan Parker Pyne, o profesji może nie tak jasno określonej, ale emanujący aurą brytyjskiej solidności. Oraz panna Carol Blundell — śliczna, zepsuta i niezwykle pewna siebie jako jedyna kobieta wśród tylu mężczyzn.

Kiedy każdy wybrał już sobie miejsce na nocleg w namiotach lub jaskiniach, zasiedli do kolacji w wielkim namiocie jadalnym. Rozprawiali o sytuacji politycznej na Bliskim Wschodzie — Anglik ostrożnie, Francuz dyskretnie, Amerykanin cokolwiek niedorzecznie, natomiast archeolog i pan Pyne wcale nie. Wyglądało na to, że obu bardziej odpowiada rola słuchaczy. Podobnie jak Jimowi Hurstowi.

A potem wdali się w pogawędkę o mieście, które mieli zamiar zwiedzić.

— Jest takie romantyczne, że wręcz trudno to wyrazić słowami — stwierdziła Carol. — I pomyśleć, że ci wszyscy... jak oni się nazywali... Nabatejczycy mieszkali tutaj wieki temu, niemal przed początkiem świata!

— Nie całkiem — łagodnie zaprotestował pan Pyne. — Prawda, panie doktorze?

— Och, to kwestia ledwie dwóch tysięcy lat, a Nabatejczycy są równie romantyczni jak zwykli kanciarze. To była banda bogatych nicponi, którzy zmuszali karawany, żeby korzystały wyłącznie z ich szlaków, natomiast wszystkich podróżujących innymi traktami napadali. A w Petrze magazynowali złupione dobra.

— Uważa pan, że byli tylko rabusiami? — spytała dziewczyna. — Pospolitymi złodziejami?

— Złodziej to mało romantyczne określenie, panno Blundell. Przywodzi na myśl drobne kradzieże. Rozbójnik brzmi lepiej i sugeruje działanie z większym rozmachem.

— A jak by pan określił współczesnych finansistów? — zapytał pan Pyne z błyskiem w oku.

— To do ciebie, tatko! — zawołała Carol.

— Człowiek, który robi pieniądze, przynosi korzyść całej ludzkości — zauważył jej ojciec sentencjonalnie.

— A ludzkość — dopowiedział pan Pyne — jest taka niewdzięczna.

— Czymże jest uczciwość? — zapytał Francuz. — To tylko *nuance*, konwenans. W różnych krajach oznacza różne rzeczy. Arab nie wstydzi się, że kradnie. Nie wstydzi się, że kłamie. Dla niego liczy się tylko, kogo okrada i okłamuje.

— Tak, to kwestia względna — zgodził się Carver.

— Co dowodzi wyższości Zachodu, nad Wschodem — uznał Blundell. — Kiedy te biedaki zdobędą wykształcenie...

— Edukacja to bzdura — wtrącił beznamiętnym tonem sir Donald. — Człowiek uczy się mnóstwa bezużytecznych rzeczy. A i tak nic nie jest w stanie go zmienić.

— To znaczy?

— To znaczy, że na przykład złodziej na zawsze pozostanie złodziejem.

Na moment zapadła głucha cisza. Nagle Carol zaczęła nerwowo paplać na temat komarów, w czym poparł ją ojciec.

Sir Donald, lekko skonsternowany, szepnął do swojego sąsiada, pana Pyne'a:

— Chyba strzeliłem gafę, co?

— Zastanawiające — mruknął ten w odpowiedzi. Niezależnie od przyczyn chwilowego zażenowania jedna osoba w ogóle go nie zarejestrowała. Archeolog siedział w milczeniu, z rozmarzonym i nieobecny wzrokiem. Kiedy zapadła cisza, nagle odezwał się z pasją.

— Wiecie co, zgadzam się z tym, przynajmniej patrząc na to z drugiej strony. Człowiek albo jest z natury uczciwy, albo nie jest. Nic da się od tego uciec.

— Nic wierzy pan, że na przykład nagła pokusa może zmienić uczciwego człowieka w przestępcę? — zapytał pan Pyne.

— To wykluczone! — oświadczył Carver.

Pan Pyne łagodnie pokręcił głową.

— Nie powiedziałbym tego. Widzi pan, trzeba wziąć pod uwagę wiele różnych czynników. Na przykład punkt krytyczny.

— Co pan nazywa punktem krytycznym? — młody Hurst po raz pierwszy włączył się do rozmowy. Miał głęboki, interesujący głos.

— Nasz mózg jest przystosowany do znoszenia ogromnych obciążeń, lecz zwykła błahostka może wywołać kryzys, który zmienia człowieka prawego w nieuczciwego. Dlatego większość przestępstw jest absurdalna. Przyczyną w dziewięciu wypadkach na dziesięć jest właśnie ten drobiazg, który przeważa szalę, ta ostatnia kropla goryczy.

— To już psychologia, drogi przyjacielu — zauważył Francuz.

— Gdyby przestępca był psychologiem, byłby zaiste doskonałym przestępcą! — stwierdził pan Pyne przez chwilę rozkoszując się tym pomysłem. — Pomyśleć tylko, że na dziesięć spotkanych osób co najmniej dziewięć można skłonić do postępowania w odpowiadający nam sposób poprzez poddanie ich odpowiednim bodźcom!

— Och, proszę to wyjaśnić! — wykrzyknęła Carol.

— Są osoby podatne na tyranizowanie. Wystarczy odpowiednio głośno na nie nawrzeszczyć i robią się posłuszne. Są też ludzie lubiący być w opozycji. Należy nakłaniać ich do zrobienia rzeczy przeciwnej naszym zamiarom. Są też ludzie podatni na sugestię, to najpowszechniejszy typ. To ludzie, którzy widzieli motor, bo usłyszeli jego warkot; którzy widzieli listonosza, bo usłyszeli, jak grzechocze klapka w skrzynce na listy; widzieli nóż w ranie, bo powiedziano im, że ofiara została zaszytletowana; albo słyszeli odgłos strzału, bo powiedziano im, że ktoś został zastrzelony.

— Myślę, że mnie nikt by czegoś takiego nie wmówił — powiedziała z niedowierzaniem Carol.

— Jesteś na to za mądra, złotko — zapewnił ją ojciec.

— To prawda, co pan mówi — przyznał w zadumie Francuz. — Z góry przyjęte założenie może oszukać zmysły.

Carol ziewnęła.

— Idę do swojej groty. Jestem śmiertelnie zmęczona. Abbas Effendi powiedział, że musimy wyruszyć wcześniej rano. Chce nam pokazać ołtarz ofiarny, cokolwiek by to miało znaczyć.

— Składają tam w ofierze piękne młode dziewczęta — wyjaśnił sir Donald.

— Litości, mam nadzieję, że nie! No to dobranoc wszystkim. Och, wypadł mi kolczyk.

Pułkownik Dubosc złapał toczącą się po stole perłę i oddał ją właścicielce.

— To prawdziwe? — obcesowo spytał sir Donald. Bardzo nieuprzejmie wlepił wzrok w dwie wielkie perły w jej uszach.

— Jak najprawdziwsze — zapewniła go Carol.

— Kosztowały mnie osiemdziesiąt tysięcy dolarów — z satysfakcją oświadczył jej ojciec. — A ona przykręca je tak lekko, że wypadają i toczą się po stole. Chcesz mnie zrujnować, dziewczyno?

— Nie zrujnowałabym cię, nawet gdybyś musiał kupić mi nowe — odrzekła z czułością.

— Raczej nie — przyznał pan Blundell. — Nawet gdybym ci kupił trzy takie pary, to bym tego nie zauważył na wyciągu bankowym — rozejrzał się wokół z dumą.

— Ale ma pan dobrze! — pochwalił go sir Donald.

— Cóż, panowie, chyba i na mnie pora — oświadczył bogacz. — Dobranoc.

Młody Hurst poszedł w jego ślady. Pozostała czwórka uśmiechnęła się do siebie, jakby wiedziona tą samą myślą.

— No, no — powiedział przeciągle sir Donald. — Dobrze wiedzieć, że tak mu się powodzi. Nadziany wieprzek! — dodał zjadliwie.

— Ci Amerykanie mają zdecydowanie za dużo pieniędzy — uznał Dubosc.

— Bogatemu trudno zdobyć sympatię biednych — zauważył łagodnie pan Pyne.

Dubosc zaśmiał się.

— Zawieść i złośliwość? — zapytał. — Ma pan racje, *monsieur*. Wszyscy chcemy być bogaci, móc bez umiaru kupować kolczyki z perłami, no, może z wyjątkiem *monsieur*...

Skłonił się w stronę doktora Carvera, który — jak to miał w zwyczaju — znowu wędrował myślami gdzieś daleko. Obracał w palcach jakiś mały przedmiot.

— He? — ocknął się. — Nie, muszę wyznać, że nie pragnę wielkich pereł. Choć oczywiście pieniądze zawsze się przydają — jego ton nadał problemowi właściwe proporcje. — Ale spójrzcie na to — dodał. — Mam tu coś tysięcy razy ciekawszego niż perły.

— Co to takiego?

— Cylindryczna pieczęć z czarnego hematytu z wyrzeźbioną scenką, na której bóstwo wprowadza suplikanta przed oblicze wyższego bóstwa. Błagający niesie w ofierze koźlę, a obok tronu majestatycznego boga stoi pachołek i odgania muchy za pomocą wachlarza z liścia palmowego. W tym maleńkim napisie wspomniano, że ten człowiek jest służącym Hammurabiego, zatem pieczęć została pewnie wykonana jakieś cztery tysiące lat temu.

Wyjął z kieszeni grudkę plasteliny, rozklepał ją na stole, natłuścił wazeliną, a potem przetoczył po niej waleczek pieczęci. Następnie scyzorykiem podważył plastelinowy kwadrat i delikatnie odlepił go od stołu.

— Widzicie? — zapytał.

Ich oczom ukazała się scena, którą opisał, wyraźnie i dokładnie odcisnięta w plastelinie.

Przez chwilę trwali bez ruchu jak zakłęci urokiem przeszłości. Nagle z zewnątrz dobiegł zgrzytliwy głos pana Blundella.

— Hej, wy, czarnuchy! Zabierzcie mój bagaż z tej cholernej groty do namiotu. Te żarłaki tną jak jasny gwint. Nic zmrużę tulaj oka.

— Żarłaki? — zdziwił się sir Donald.

— Pewnie chodzi o moskity — wyjaśnił doktor Carver.

— Podoba mi się nazwa “żarłaki” — stwierdził pan Pyne. — Brzmi o wiele sugestywniej.

Wyruszyli bardzo wczesnie następnego ranka, wydając w drodze okrzyki pełne zachwyty nad barwą i wzorami na skałach. To bajeczne, różowoczerwone miasto było rzeczywiście wybrykiem stworzonym przez Matkę Naturę, gdy była w niezwykle ekstrawaganckim nastroju. Poruszali się bardzo wolno, gdyż doktor Carver szedł ze wzrokiem wbitym w ziemię, od czasu do czasu zatrzymując się, by podnieść jakiś mały przedmiot.

— Od razu poznać archeologa — zauważył z uśmiechem pułkownik Dubosc. — Nie patrzy w niebo, nie podziwia wzgórz ani piękna przyrody. Idzie z pochyloną głową i szuka.

— Ale czego? — zainteresowała się Carol. — Co pan zbiera, doktorze?

Archeolog z lekkim uśmiechem pokazał jej ubłocone kawałki ceramiki.

— Takie śmieci! — z lekceważeniem prychnęła dziewczyna.

— Ceramika jest ciekawsza niż złoto — oświadczył doktor.

Carol spojrzała na niego z niedowierzaniem.

Dotarli do ostrego zakrętu i minęli dwa czy trzy grobowce wycięte w skale. Wspinaczka była dosyć męcząca. Beduini beztrósko parli naprzód, nie przejmując się urwistymi zboczami i nawet nie spoglądając na znajdującą się po jednej stronie przepaść.

Carol wyglądała raczej blado. Jeden ze strażników pochylił się i podał jej rękę. Hurst podskoczył do przodu i przytrzymał kij jak barierkę od strony przepaści. Podziękowała mu spojrzeniem i minutę później stała już bezpiecznie na szerokiej skalistej ścieżce. Powoli zbliżali się inni. Słońce było już wysoko na niebie i robiło się coraz goręcej.

Wreszcie dotarli do szerokiej półki skalnej. Stąd łatwe podejście prowadziło na szczyt zwieńczony dużym sześciennym blokiem skalnym. Blundell dał znak przewodnikowi, że dalej podróżni pójdą sami. Beduini rozłożyli się wygodnie pod skałami i zapalili. Minęło jeszcze kilka minut i towarzystwo znalazło się na szczycie.

Było to dziwnie puste miejsce, lecz rozciągał się z niego cudowny widok, obejmujący całą dolinę. Stali na gładkiej prostokątnej platformie, z jednej jej strony znajdowały się wycięte w skale wgłębienia i coś w rodzaju ołtarza ofiarnego.

— Cudowne miejsce na składanie ofiar — entuzjastycznie oświadczyła Carol. — Ale musieli się nieźle umęczyć, żeby je tu sprowadzić!

— Pierwotnie znajdowała się tu zygzakowata droga wycięta w skale — wyjaśnił doktor Carver. — Zobaczmy jej pozostałości, kiedy będziemy schodzić z drugiej strony.

Spędzili tam jeszcze trochę czasu, rozmawiając i podziwiając krajobraz. Nagle usłyszeli ciche stuknięcie i doktor Carver powiedział:

— Obawiam się, że znowu zgubiła pani kolczyk, panno Blundell.

Carol uniosła dłoń do ucha.

— Ojej, rzeczywiście.

Dubosc i Hurst rozpoczęli poszukiwania.

— Musi być gdzieś tutaj — powiedział Francuz. — Nie mógł się nigdzie potoczyć, bo nie ma gdzie. To miejsce przypomina pudełko.

— Może wpadł w jakąś szczelinę? — zastanawiała się Carol.

— Nie ma tu żadnych szczelin — zaprotestował pan Pyne. — Sama może pani zobaczyć. Podłoże jest idealnie gładkie. Ach, znalazł pan coś, pułkowniku?

— Tylko mały kamyczek — odrzekł Dubosc. Uśmiechnął się i odrzucił go na bok.

Nastrój stopniowo się zmieniał i zapanowało dziwne napięcie. Nikt nie wymówił ich głośno, ale słowa “osiemdziesiąt tysięcy dolarów” rozbrzmiewały w myślach wszystkich obecnych.

— Jesteś pewna, że go tutaj miałaś, Carol? — warknął Blundell. — Może zgubiłaś go podczas podejścia.

— Miałam kolczyk, gdy tutaj weszliśmy — odpowiedziała. — Jestem pewna, bo doktor Carver zauważył, że znowu się poluzował i przypiął go mocniej. Tak było, prawda, doktorze?

Archeolog potwierdził. Sir Donald ubrał w słowa myśli pozostałych.

— To bardzo nieprzyjemna sprawa, panie Blundell — powiedział. — Wyjawiał pan nam wczoraj, jaka była cena tych kolczyków. Nawet jeden wart jest fortunę. Jeśli się nie znajdzie, a na to się zanoszą, każdy z nas będzie podejrzany.

— Ja na przykład proszę, żeby mnie zrewidowano — wybuchnął pułkownik. — Nie proszę, ja tego

żądam jako należnego mi prawa!

— Mnie też proszę przeszukać — odezwał się Hurst. Jego głos brzmiał bardzo szorstko.

— A co na to pozostali? — zapytał sir Donald rozglądając się.

— Naturalnie — zgodził się pan Pyne.

— Świetny pomysł — uznał doktor Carver.

— Ja też się zgłaszam, panowie — powiedział Blundell. — Mam swoje powody, choć nie chcę o nich mówić.

— Jak pan sobie życzy — uprzejmie odparł sir Donald.

— Carol, moja droga, zjedź na dół i poczekaj z przewodnikami.

Dziewczyna opuściła ich bez słowa. Twarz miała zaciętą i ponurą, a w oczach błysk desperacji. Nie uszedł on uwagi przynajmniej jednej osoby z towarzystwa, którą zaintrygowało, co też to może oznaczać.

Przeprowadzono rewizję. Była drastyczna, dokładna i nie dała żadnych rezultatów. Jedno było pewne. Nikt nie miał kolczyka przy sobie. Przygnębieni członkowie wyprawy ustalili, że zjedą na dół. I tak też zrobili, bez zainteresowania słuchając opisów i wyjaśnień przewodnika.

Pan Pyne skończył się właśnie przebierać do lunchu, kiedy w drzwiach jego namiotu zamajaczyła jakaś postać.

— Panie Pyne, mogę wejść?

— Ależ naturalnie, młoda damo, proszę bardzo.

Carol weszła do środka i przysiadła na łóżku. Na jej twarzy nadal widniał ten sam zacięty wyraz, który pan Pyne zauważył wcześniej.

— Podobno pomaga pan ludziom, kiedy są nieszczęśliwi. Czy to prawda? — spytała.

— Jestem na wakacjach, panno Blundell. Nie podejmuję się teraz żadnych spraw.

— No cóż, tej się pan podejmie — spokojnie oświadczyła dziewczyna. — Panie Pyne, jestem tak nieszczęśliwa jak mało kto.

— A co panią smuci? Ta sprawa z perłą?

— Tak, zgadł pan. Jim Hurst jej nie wziął. Wiem, że tego nie zrobił.

— Nie bardzo panią rozumiem. Dlaczego ktoś miałby go o to posądzać?

— Z powodu jego przeszłości. Jim był kiedyś złodziejem, panie Pyne. Został złapany w naszym domu. Ja... było mi go żal. Wyglądał tak młodo i taki był zrozpaczony...

I taki przystojny — pomyślał pan Pyne.

— Przekonałam ojca, żeby dał mu szansę poprawy. Tatko zrobiłby dla mnie wszystko. Więc dał Jimowi szansę i Jim zszedł ze złej drogi. Tatko zaczął mu ufać i powierzać mu wszystkie tajemnice służbowe. W końcu na pewno wyrazi zgodę... czy też wyraziłby, gdyby nie ta sprawa.

— A na co ma wyrazić zgodę?

— Na nasz ślub.

— A sir Donald?

— Sir Donald to pomysł mojego ojca. Nie mój. Myśli pan, że chciałabym poślubić taką wypchaną rybę jak on?

Nie wyrażając swojej opinii na temat takiego opisu młodego Anglika, pan Pyne zapytał: — A co sądzi o tym sir Donald?

— Śmiem twierdzić, że jestem dobrą partią dla jego podupadłego majątku — odpowiedziała Carol z pogardą.

Pan Pyne rozważył sytuację.

— Chciałbym zapytać panią o dwie rzeczy — odezwał się wreszcie. — Wczoraj wieczorem padły słowa: “Złodziej na zawsze pozostanie złodziejem”.

Dziewczyna skinęła głową.

— Teraz rozumiem, dlaczego ta uwaga była taka krępująca.

— Tak, Jim musiał poczuć się niezręcznie, zresztą ja i tatko również. Tak się bałam, że Jima zdradzi wyraz twarzy, że zaczęłam paplać, co mi ślina na język przyniosła.

Pan Pyne w zamyśleniu pokiwał głową, a potem zapytał:

— Dlaczego pani ojciec nalegał, żeby jego również przeszukać?

— Nie rozumiał pan? Dla mnie to było jasne. Tatko uznał, że mogłabym pomyśleć, iż chce w ten sposób zrobić Jima. Widzi pan, on ma fioła na punkcie mojego małżeństwa z tym Anglikiem. No i chciał mi pokazać, że nie zagrał nieczysto z Jimem.

— O mój Boże — westchnął pan Pyne — bardzo to wszystko pouczające. To znaczy w sensie ogólnym. Niestety nie pomoże nam dociec prawdy.

— Ale nie zamierza pan się poddać?

— Nie, nie — milczał przez chwilę. — Co mam dokładnie dla pani zrobić, panno Carol?

— Udowodnić, że to nie Jim zabrał tę perłę.

— A przypuścimy, wybaczy pani, że to jednak on?

— Jeśli tak pan uważa, to myli się pan, potwornie się pan myli.

— No tak, ale czy rozważyła pani całą sprawę dokładnie? Może perła stanowiła nagłą pokusę dla pana Hursta? Ze sprzedaży uzyskałby sporą sumę, zdobyłby jakąś podstawę na przyszłość, nazwijmy to tak, dzięki której stałby się niezależny i mógłby się z panią ożenić bez zgody pani ojca.

— Jim tego nie zrobił — odpowiedziała zwięźle.

Tym razem pan Pyne zaakceptował jej oświadczenie.

— No dobrze, zrobię, co w mojej mocy.

Gwałtownie skinęła głową i wyszła z namiotu. Teraz z kolei Parker usiadł na łóżku i pogrążył się w myślach. Nagle zachichotał.

— Chyba robię się tępy — powiedział na głos. Podczas lunchu humor niezwykle mu dopisywał.

Popołudnie minęło spokojnie. Większość turystów poszła spać. Kiedy kwadrans po czwartej pan Pyne wszedł do dużego namiotu, zastał tam tylko doktora Carvera, który uważnie oglądał jakieś fragmenty ceramiki.

— Ach! — wykrzyknął pan Pyne przysuwając sobie krzesło do stołu. — Oto człowiek, którego chciałem spotkać. Czy może mi pan dać ten kawałek plasteliny, który nosi pan przy sobie?

Archeolog poszperał w kieszeni i wyjął z niej pałeczkę plasteliny.

— Nie — zaprotestował pan Pyne machając ręką — nie chcę tej. Chcę tę grudkę, którą pan miał wczoraj wieczorem. A mówiąc szczerze, nic chodzi mi o samą plastelinę, lecz o jej zawartość.

Dopiero po chwili doktor Carver odezwał się cicho:

— Chyba nie całkiem rozumiem.

— Chyba jednak całkiem — stwierdził pan Pyne. — Chcę dostać kolczyk panny Blundell.

Zapadła martwa cisza. Następnie Carver wsunął rękę do kieszeni i wyjął bezkształtny kawałek plasteliny.

— Ma pan głowę nie od parady — powiedział. Jego twarz była zupełnie pozbawiona wyrazu.

— Chciałbym, żeby mi pan o tym opowiedział — poprosił pan Pyne, pracowicie rozgrzebując plastelinową masę. Wreszcie mruknął z zadowoleniem i wydobył nieco upaprany kolczyk. — Pytam z czystej ciekawości, wie pan — dodał przepraszającym tonem. — Po prostu bardzo chciałbym o tym posłuchać.

— Dobrze — zgodził się archeolog — pod warunkiem, że pan też mi zdradzi, jak pan na to wpadł. Przecież niczego pan nie widział, prawda?

Parker pokręcił głową.

— Domyśliłem się.

— Zacznę od tego, że był to czysty przypadek — powiedział Carver. — Przez cały ranek szedłem z tyłu za wami i w pewnej chwili zauważyłem tę perłę. Leżała tuż przede mną, musiała sekundę wcześniej wypaść dziewczynie z ucha. Nie zauważyła tego, podobnie jak wszyscy pozostali. Podniosłem kolczyk i wsadziłem do kieszeni. Miałem zamiar oddać go właścicielce później, jak tylko ją dogonię, ale zapomniałem. A potem, gdzieś w połowie drogi, zacząłem się nad tym zastanawiać. Klejnot nic nie znaczył dla tej rozkapryszonej dziewczyny — ojciec i tak kupi jej nowy, nawet nie zauważając wydatku. Dla mnie zaś znaczył bardzo wiele. Gdybym sprzedał tę perłę, mógłbym wyekwipować całą ekspedycję — jego obojętna twarz nagle się ożywiła. — Wie pan, ile obecnie jest kłopotów ze zbieraniem funduszy na wykopaliska? Nie, nie wie pan. Pieniądze za perłę wszystko by ułatwiły. Jest takie miejsce, które chciałbym zbadać, w Baluchistanie. Czeka tam na odkrycie cały wielki rozdział historii... — zamilkł na chwilę. — Zapadło mi w pamięć to, co pan powiedział wczoraj wieczorem o świadkach podatnych na sugestię. Pomyślałem, że dziewczyna do nich należy. Kiedy dotarliśmy na szczyt, zwróciłem jej uwagę, że kolczyk się poluzował, i udałem, że go poprawiam. Tak naprawdę przycisnąłem jej do ucha czubek małego ołówka. Kilka minut później upuściłem mały kamyczek. Gotowa była przysiąc, że właśnie wypadł jej kolczyk z ucha. Tymczasem wcisnąłem perłę w grudkę plasteliny, którą miałem w kieszeni. Ot i cała historia. Niezbyt budująca. A teraz kolej na pana.

— Nie ma wiele do opowiadania — powiedział Parker Pyne. — Był pan jedyną osobą, która podnosiła coś z ziemi i dlatego pomyślałem o panu. Również ten mały kamyczek grał istotną rolę. Pozwolił mi się domyślić, w jaki sposób pan to rozegrał. A poza tym...

— Proszę mówić — zachęcił go Carver.

— Widzi pan, wczoraj wieczorem trochę zbyt płomiennie przemawiał pan na temat uczciwości. Za bardzo pan się unosił, wie pan, co pisze o tym Szekspir. Wyglądało to tak, jakby usiłował pan przekonać samego siebie. I trochę zbyt pogardliwie wyrażał się pan o pieniądzach.

Twarz siedzącego przed nim mężczyzny była pobrużdżona i znużona.

— No i to by było tyle — powiedział. — Już po mnie. Przypuszczam, że odda pan dziewczynie tę błyskotkę. Dziwna jest ta barbarzyńska potrzeba przyozdabiania się. Sięga wstecz aż do paleolitu. Jeden z pierwszych odruchów rodzaju żeńskiego.

— Myślę, że źle pan osądza pannę Carol — napomniał go Pyne. — Ma głowę na karku i, co ważniejsze, ogromne serce. Sądzę, że zachowa tę sprawę w sekrecie.

— Ale jej ojciec nie — odrzekł archeolog.

— Myślę, że on też. Widzi pan, “tatko” ma swoje powody, żeby siedzieć cicho. Ten kolczyk nie jest wart czterdziestu tysięcy dolarów. Wystarczyłby zwykły piąтак.

— Jak to?...

— Tak. Dziewczyna o tym nie wie. Myśli, że klejnoty są autentyczne. Wczoraj wieczorem powziąłem pewne podejrzenia. Pan Blundell trochę za bardzo przechwalał się swoją fortuną. Kiedy interesy nie idą i przychodzi kryzys, najlepiej robić dobrą minę do złej gry i blefować. I pan Blundell najwyraźniej blefował.

Nagle doktor Carver uśmiechnął się. Był to ujmujący chłopięcy uśmiech, dziwnie nie pasujący do twarzy starszego mężczyzny.

— Zatem wszyscy jesteśmy biedaczkami — powiedział.

— Właśnie — przyznał pan Pyne i zacytował: “Wspólnota uczuć wzajemną życzliwość w nas budzi”.

Śmierć na Nilu

Lady Grayle była zdenerwowana. Od chwili wejścia na pokład parowca "Fajum" narzekała na wszystko. Była niezadowolona ze swojej kabiny. Mogła znieść poranne słońce, ale nie popołudniowe. Pamela Grayle, jej siostrzenica, uczynnie odstąpiła jej swoją kabinę po drugiej stronie statku. Lady Grayle niechętnie przystała na tę zamianę.

Warczała na pannę MacNaughton, swoją pielęgniarkę, za to, że podała jej niewłaściwy szal i spakowała małą poduszkę, zamiast zostawić ją na wierzchu. Utyskiwała na męża, sir George'a, że kupił jej nieodpowiednie korale. Chciała lapis, a nie krwawnik. Gorge był idiotą!

Zmartwiony sir George odrzekł:

— Przepraszam, moja droga, przepraszam. Zaraz pójde je wymienić. Mamy mnóstwo czasu.

Nie warczała na Basila Westa, sekretarza męża, tylko dlatego, że nikt nigdy nie warczał na Basila. Jego uśmiech rozbierał, zanim człowiek zdążył zacząć.

Ale najgorsze bez wątpienia spadło na imponującego, odzianego w bogate szaty dragomana, którego nic nie było w stanie poruszyć.

Kiedy lady Grayle dostrzegła nieznanego mężczyznę w plecionym fotelu i dotarło do niej, że to ich współpasażer, jej gniew zerwał wszelkie tamy.

— Wyraźnie powiedzieli mi w biurze, że jesteśmy jedynymi pasażerami! To koniec sezonu i nikt poza nami nie jedzie!

— Tak jest, pani — cichutko odpowiedział Mohammed. — Tylko pani rodzina i jeden pan, i wszyscy.

— Ale zapewniono mnie, że będziemy tylko my.

— Tak jest, pani.

— Nie jest tak! Oszukano mnie! Co ten człowiek tu robi?

— On przyjechać później, pani. Jak wy już kupić bilety. On przyjsć dziś rano.

— To zwykły szwindel!

— Tak jest, pani. On bardzo cichy pan. Bardzo miły, bardzo cichy.

— Jesteś kretynem! Nic nie rozumiesz. Panno MacNaughton, gdzie pani jest? Och, tutaj. Tyle razy prosiłam, żeby była pani w pobliżu. Mogę zasłać. Proszę zaprowadzić mnie do kabiny i dać mi

aspirynę, i niech Mohammed się do mnie nie zbliża. Ciągłe powtarza “Tak jest, pani”, aż chce mi się wyć.

Panna MacNaughton bez słowa wzięła ją pod rękę.

Była wysoką, ciemnowłosą kobietą w wieku około trzydziestu pięciu lat, atrakcyjną w nie rzucający się w oczy sposób. Zaprowadziła lady Grayle do kabiny, podparła poduszkami, podała aspirynę i wysłuchiwała jej biadolenia.

Lady Grayle miała czterdzieści osiem lat. Od kiedy skończyła lat szesnaście, cierpiała z powodu nadmiaru posiadanych pieniędzy. Dziesięć lat temu poślubiła zubożałego baroneta, sir George’a Grayle’a.

Była postawną kobietą, niebrzydką, jeśli wziąć pod uwagę rysy, ale twarz miała ciągle wykrzywioną i pobrużdżoną zmarszczkami. Gruby makijaż, który zwykła sobie robić, tylko podkreślał spustoszenia wywołane jej charakterem i upływem czasu. Włosy miała na zmianę albo utlenione na platynowy blond, albo zafarbowane henną na czerwono, w efekcie czego stały się matowe i zniszczone. Zazwyczaj przesadnie się stroiła i zanadto obwieszała się biżuteria..

— Powiedz sir George’owi — mówiła, a panna MacNaughton czekała z twarzą pozbawioną wyrazu — powiedz mu, że musi się pozbyć tego człowieka! Ja muszę mieć trochę prywatności. Tyle ostatnio przesłałam... — zamknęła oczy.

— Tak, lady Grayle — odpowiedziała pielęgniarka i wyszła z kabiny.

Naruszający ich prywatność pasażer nadal siedział w fotelu. Był odwrócony plecami do Luksoru i wpatrywał się ponad Nilem w odległe wzgórze rysujące się złościście nad pasem ciemnej zieleni.

Panna MacNaughton, przechodząc obok, obrzuciła go szybkim, taksującym spojrzeniem.

Znalazła sir George’a w salonie. Trzymał w dłoniach sznur koralików i przyglądał się im z powątpiewaniem.

— Proszę mi powiedzieć, panno MacNaughton, czy uważa pani, że te są odpowiednie?

Pielęgniarka zerknęła na jaspisowe paciorki.

— Naprawdę bardzo ładne — pochwaliła.

— Myśli pani, że lady Grayle będzie zadowolona?

— Och, nie, tego bym nie powiedziała, sir George. Widzi pan, jej nic nie zadowoli. Taka jest prawda. A przy okazji, przysłała mnie z wiadomością dla pana. Chce, żeby pozbył się pan tego dodatkowego pasażera.

Sir George szeroko otworzył usta ze zdumienia.

— Jak mógłbym to zrobić? Co ja mam mu powiedzieć?

— Oczywiście, że nie może pan tego zrobić — głos Elsie MacNaughton brzmiał energicznie i ciepło. — Musi pan tylko powiedzieć, że nic się nie dało zrobić.

Dodała uspokajająco: — Wszystko będzie dobrze.

— Tak pani uważa? — zapytał żałośnie.

Elsie odezwała się jeszcze łagodniejszym tonem.

— Nie powinien pan brać sobie tego wszystkiego do serca, sir George. Robi to z powodu złego samopoczucia. Proszę się tak nic przejmować.

— Czy jest z nią bardzo źle?

Przez twarz pielęgniarki przemknął cień. W jej głosie zabrzmiała jakaś dziwna nuta, gdy odpowiadała:

— Tak... Nie bardzo podoba mi się jej stan. Ale proszę się nie martwić, sir George. Nie wolno panu. Naprawdę — posłała mu życzliwy uśmiech i wyszła.

Po chwili leniwym krokiem weszła Pamela, elegancka w swojej bieli.

— Cześć, wujciu.

— Cześć, Pam.

— Co ty tam masz? Och, jakie ładne!

— Bardzo się cieszę, że tak uważasz. Czy myślisz, że ciotce też się spodobają?

— Jej nic nie może się spodobać. Nie pojmuję, dlaczego się z nią ożeniłeś.

Sir George milczał. Przemknęły mu przed oczami obrazy przegranych wyścigów, natrętnych wierzycieli i atrakcyjnej, choć dominującej kobiety.

— Biedny staruszkę — powiedziała Pamela. — Pewnie nic miałeś wyjścia. Nieźle nam daje popalić, co?

— Od kiedy zachorowała... — zaczął sir George.

Przerwała mu gwałtownie.

— Ona wcale nie jest chora! To nieprawda. Jakoś zawsze może robić to, na co ma ochotę. Kiedy pojechałeś do Asuanu, była wesoła jak... szczygiełek. Założę się, że panna MacNaughton wie, iż ona udaje.

— Nie mam pojęcia, co byśmy poczęli bez panny MacNaughton — westchnął sir George.

— Bardzo sprawna osóbka — przyznała Pamela. — Jednak ja za nią nie przepadam aż tak jak ty, wujciu. Och, nie zaprzeczaj! Przecież to prawda!. Uważasz, że jest cudowna. J w pewnym sensie jest. Ale to cicha woda. Nigdy nie wiem, co myśli. Jednak radzi sobie ze starą kocicą zupełnie nieźle.

— Pamelu, nic wolno ci tak mówić o ciotce. Tam do licha, przecież jest dla ciebie bardzo dobra.

— Owszem, płaci nasze rachunki, jeśli o to chodzi. Ale robi nam za to piekło.

Sir George przeszedł do mniej drażliwego tematu.

— Co zrobimy z tym człowiekiem, który płynie z nami? Ciotka chciałaby mieć statek wyłącznie dla siebie.

— Ale nie może — zimno stwierdziła Pamela. — Ten facet prezentuje się całkiem nieźle. Nazywa się Parker Pyne. Pracował jako urzędnik państwowy w Dziale Akt Osobowych, jeśli coś takiego w ogóle istnieje. To zabawne, ale wydaje mi się, że jego nazwisko obito mi się gdzieś o uszy. Basil! — sekretarz, właśnie wszedł do pokoju — gdzie ja mogłam widzieć nazwisko Parker Pyne?

— Pierwsza strona ogłoszeń osobistych w *Timesie* — natychmiast odpowiedział młodzieniec. — “Jesteś szczęśliwy? Jeśli nie, zasięgnij rady pana Parkera Pyne’a”.

— No nie! Ale śmiesznie! Możemy przez całą drogę do Kairu opowiadać mu o naszych problemach.

— Ja nie mam problemów — odpowiedział z prostotą Basil. — Popłyniemy po złocistym Nilu i zobaczymy świątynie... — szybko zerknął na sir George’a, który zajął się gazetą — razem.

Ostatnie słowo wyszeptał prawie bezdźwięcznie, ale Pamela usłyszała je. Spojrzała mu w oczy.

— Masz rację, Basilu — rzuciła lekko. — Dobrze jest żyć.

Sir George wstał i wyszedł. Twarz dziewczyny zachmurzyła się.

— Co się dzieje, słoneczko?

— Moja znenawidzona ciotka, nabyta droga małżeństwa...

— Nic przejmuj się — szybko powiedział Basil. — Jakie to ma znaczenie, co ona wbiła sobie do głowy? Nie zaprzeczaj jej. Wiesz co... — zaśmiał się — to świetny kamuflaż.

Do salonu wkroczył dobrodusznie uśmiechnięty pan Pyne. Za nim pojawił się malowniczy Mohammed gotów do wygłoszenia swojej stałej kwestii.

— Panie, panowie, my ruszać. Za kilka minut my mijać po prawa strona świątynie Karnaku. Ja opowie teraz historia o mały chłopiec, co kupić jagnię pieczone dla onego ojciec...

Pan Parker Pyne otarł czoło. Właśnie wrócił z wycieczki do świątyni Dendery. Czuł wyraźnie, że jazda na osiołku nie jest najodpowiedniejszą formą transportu dla osoby jego postury. Właśnie zamierzał odpiąć kołnierzyk, gdy zauważył liścik leżący na toalecie. Otworzył go i przeczytał.

Szanowny Panie! Byłabym zobowiązana, gdyby zrezygnował pan ze zwiedzania świątyni Abydos i pozostał na statku. Chciałabym zasięgnąć pańskiej rady.

Z poważaniem

Ariadna Grayle

Na sympatycznej dużej twarzy pana Pyne'a wykwitł uśmiech. Wziął kartkę papieru i odkręcił wieczne pióro.

Szanowna lady Grayle! Przykro mi, że muszę panią rozczarować, ale obecnie jestem na wakacjach i nie zajmuje się sprawami zawodowymi.

Podpisał się i przesłał odpowiedź przez stewarda. Kiedy kończył już toaletę, przyniesiono mu kolejny liścik.

Szanowny panie Pyne! Rozumiem, że jest pan na wakacjach, ale skłonna jestem zapłacić za poradę honorarium w wysokości stu funtów.

Z poważaniem

Ariadna Grayle

Pan Pyne uniósł brwi. W zamyśleniu postukał piórem w zęby. Chciał zwiedzić Abydos, ale sto funtów to sto funtów. A Egipł okazał się tak koszmarnie drogi. Odpisał:

Szanowna lady Grayle! Nic zwiedzę świątyni Abydos. Szczerze oddany

Mohammed ogromnie się zasmucił, gdy pan Pyne odmówił zejścia ze statku.

— Bardzo miła świątynia. Wszyscy moi panowie lubi zwiedzać ta świątynia. Ja załatwi transport. Załatwi krzesło i marynarze nieść pan.

Niestety, jego klient odrzucił te kuszące propozycje, więc pozostali nie zwlekając wyruszyli w drogę.

Parker Pyne postanowił poczekać na pokładzie. Po niedługim czasie otworzyły się drzwi kabiny lady Grayle i powolnym krokiem wyszła z nich lady we własnej osobie.

— Takie gorące popołudnie — zauważyła wytwornie. — Widzę, że pan został. To bardzo rozsądnie z pana strony, panie Pyne. Może wypijemy herbatę w salonie?

Pan Pyne natychmiast wstał i udał się za nią. Trzeba przyznać, że trawiła go ciekawość.

Wyglądało na to, że lady Grayle ma spore problemy z przejściem do sedna sprawy. Skakała z tematu na temat, aż w końcu powiedziała zmienionym głosem.

— Panie Pyne, to co zamierzam panu wyjawić, musi zostać zachowane w ścisłej tajemnicy! Rozumie pan to, prawda?

— Naturalnie.

Zamilkła i głęboko zaczerpnęła tchu. Parker Pyne czekał.

— Chcę się dowiedzieć, czy mąż usiłuje mnie otruć. Bez wątpienia pan Pyne nie spodziewał się czegoś takiego. Okazał szczere zdumienie.

— To bardzo poważne oskarżenie, lady Grayle.

— Nie jestem głupia i nic urodziłam się wczoraj. Od jakiegoś czasu mam pewne podejrzenia. Jak tylko George wyjeżdża, od razu jest mi lepiej. Jedzenie mi nie szkodzi i czuję się po prostu innym człowiekiem. Musi istnieć jakaś przyczyna.

— To bardzo poważna sprawa, lady Grayle. Proszę pamiętać, że nie jestem detektywem. Jestem, jeśli wolno mi tak to określić, specjalistą od spraw serca...

Przerwała mu.

— No, a sądzi pan, że mnie to wszystko nie martwi? Nie potrzebuję policjanta, potrafię się sama o siebie zatroszczyć, dziękuję bardzo. Chcę zyskać pewność. Muszę wiedzieć. Nie jestem podłą kobietą, panie Pyne. Traktuję sprawiedliwie tych, którzy tak samo traktują mnie. Umowa to umowa.

Ja dotrzyłam słowa. Spłaciłam długi męża i nie żałowałam mu pieniędzy.

Pan Pyne przez chwilę serdecznie współczuł sir George'owi.

— Dziewczyna też ma wszystko: ubrania, przyjęcia, i to, i siamto, i owo. Proszę tylko o zwykłą wdzięczność.

— Wdzięczności nie da się poczuć na zawołanie, lady Graylc.

— Nonsens! — odparła. Po chwili dodała: — Tak to właśnie wygląda! Niech pan odkryje dla mnie prawdę! A kiedy już ją poznam...

Spojrzał na nią z zaciekawieniem.

— Właśnie, co wtedy?

— To już moja sprawa — mocno zacisnęła usta. Pan Pyne zawahał się, po czym powiedział:

— Proszę mi wybaczyć, ale odnoszę wrażenie, że nie jest pani ze mną zupełnie szczerą.

— To niedorzeczne. Powiedziałam panu, czego ma się pan dowiedzieć.

— Owszem, ale nie zdradziła mi pani dlaczego.

Ich oczy spotkały się. Lady Ariadna pierwsza odwróciła wzrok.

— Wydaje mi się, że powód jest oczywisty — odrzekła.

— Nie, ponieważ mam wątpliwości co do pewnej kwestii.

— Mianowicie?

— Czy chce pani, żeby jej podejrzenia się potwierdziły, czy też nie?

— Doprawdy, panie Pyne! — dama wstała dygocząc z oburzenia.

Jej rozmówca łagodnie pokiwał głową.

— Oczywiście, oczywiście, ale to nie jest odpowiedź na moje pytanie.

— Och! — głos ją zawiódł. W pośpiechu opuściła salon.

Pozostawiony sam sobie pan Pyne głęboko się zadumał. Był tak pogrążony w myślach, że aż podskoczył z wrażenia, kiedy ktoś wszedł do salonu i usiadł naprzeciwko niego. Okazało się, że jest to panna MacNaughton.

— Bardzo szybko wróciliście — zauważył.

— Tylko ja wróciłam. Wymówiłam się bólem głowy. Zawahała się.

— Gdzie jest lady Grayle?

— Przypuszczani, że odpoczywa w swojej kabinie.

— Och, to bardzo dobrze. Nie chcę, żeby wiedziała o moim powrocie.

— Zatem nie wróciła pani ze względu na nią?

Panna MacNaughton pokręciła przecząco głową.

— Nie, chciałam zobaczyć się z panem.

Pan Pyne był zaskoczony. Uznał pannę MacNaughton za osobę, która doskonale sama sobie radzi z wszelkimi problemami i nic potrzebuje od nikogo porady. Najwyraźniej był w błędzie.

— Obserwowałam pana, od kiedy wypłynęliśmy. Myślę, że ma pan ogromne doświadczenie i potrafi właściwie ocenić sytuację. A ja rozpaczliwie potrzebuję rady.

— A jednak, proszę wybaczyć, nie należy pani do tego typu ludzi, którzy zazwyczaj pytają innych o radę. Powiedziałbym, że woli pani polegać wyłącznie na własnych osądach.

— Zazwyczaj tak. Ale teraz znalazłam się w szczególnej sytuacji.

Zamilkła na chwilę.

— Z zasady nie opowiadam o moich pacjentach, ale w tym przypadku uważam to za konieczne. Gdy wyjeżdżałyśmy z Anglii, lady Grayle stanowiła klasyczny przypadek. Mówiąc wprost, nic jej nie dolegało. Może to nie do końca prawda, gdyż nadmiar wolnego czasu oraz pieniędzy doprowadza do pewnego stanu patologicznego. Gdyby musiała codziennie szorować podłogi i zajmować się szóstką pociech, na pewno byłaby zdrowsza i szczęśliwsza.

Pan Pyne kiwnął głową.

— Pracując w szpitalu, widziałam wiele podobnych przypadków nerwicy. Lady Grayle delectowała się swoim słabym zdrowiem. Do moich zadań należało nie lekceważyć jej cierpienia, być możliwie jak najbardziej taktowną... i jak najbardziej cieszyć się urokami podróży.

— Bardzo rozsądne podejście — pochwalił pan Pyne.

— Ale wszystko się zmieniło. Lady Grayle uskarża się na dolegliwości, które są zupełnie prawdziwe, a nie wymaginowane.

— To znaczy?

— Zaczęłam podejrzewać, że jest regularnie podtruwana.

— Od kiedy pani to podejrzewa?

— Od trzech tygodni.

— Czy posądza pani jakąś konkretną osobę? Spuściła wzrok. Po raz pierwszy jej głos zabrzmiał nieszczerze.

— Nie.

— Powiem to za panią, panno MacNaughton. Podejrzewa pani jedną konkretną osobę, a jest nią sir George Grayle.

— Och, nic, nie! Nic wierzę, by to był on! On jest taki biedny, zagubiony jak mały chłopiec. Nie mógłby nikogo otruć z zimną krwią — w jej głosie wyraźnie dało się słyszeć, że cierpi.

— A jednak zauważyła pani, że kiedy sir George'a nic ma, stan jego żony poprawia się, a choroba nawraca tylko w jego obecności.

Nie odpowiedziała.

— Jaka to może być trucizna? Arszenik?

— Coś w tym rodzaju. Arszenik lub antymon.

— A jakie kroki pani podjęła?

— Robię co w mojej mocy, żeby kontrolować wszystko, co spożywa.

Pan Pyne pokiwał głową.

— Czy sądzi pani, że lady Grayle coś podejrzewa? — spytał od niechcienia.

— Och, nie, jestem pewna, że nie.

— I tu się pani myli — odpowiedział pan Pyne. Pielęgniarka była bardzo zdumiona.

— Lady Grayle potrafi lepiej dotrzymać tajemnicy, niż pani to sobie wyobraża — dodał. — Niewątpliwie potrafi też dbać o swoje sprawy.

— Bardzo mnie to zdumiało — wolno powiedziała panna MacNaughton.

— Chciałbym pani zadać jeszcze jedno pytanie. Czy lady Grayle panią lubi?

— Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Przerwał im Mohammed, który wszedł z promiennym uśmiechem, powiewając szatami.

— Lady słyszeć pani. Ona pani prosi. Ona pyta, czemu pani nie przyjść do niej.

Elsie MacNaughton wstała pospiesznie. Pan Pyne również się podniósł.

— Czy odpowiadałoby pani spotkanie jutro wcześniej rano? — zapytał.

— Tak, to najlepsza pora. Lady Grayle śpi do późna. Tymczasem postaram się być bardzo ostrożna.

— Myślę, że lady Grayle również zachowa ostrożność.

Pan Pyne zobaczył lady Ariadnę ponownie dopiero tuż przed kolacją. Siedziała z papierosem w dłoni paląc w popielniczce coś, co wyglądało na list. Nic zaszczyciła go nawet jednym spojrzeniem, z czego wywnioskował, że nadal czuje się urażona.

Po kolacji zagrał w brydża z sir George'em, Pamelą i Basilem. Wszyscy byli trochę rozkojarzeni, więc gra skończyła się wcześniej.

Kilka godzin później Mohammed obudził pana Parkera.

— Starsza pani bardzo chora. Siostra bardzo przestraszona. Ja wzywa doktor.

Pan Pyne szybko się ubrał. Dotarł do drzwi kabiny lady Grayle w tym samym momencie co Basil West. Sir George i Pamela byli już w środku. Elsie MacNaughton rozpaczliwie próbowała ratować swoją pacjentkę. Kiedy pan Pyne wszedł, Ariadnę wstrząsnęły ostatnie śmiertelne konwulsje. Jej wygięte w łuk ciało zeszywniało na chwilę, a potem bezwładnie opadło na poduszki.

Pan Pyne delikatnie objął Pamelę i wyprowadził ją na zewnątrz.

— To straszne! — dziewczyna cicho łkała. — Jakież to straszne! Czy ona?... Czy?...

— Nie żyje? Tak, obawiam się, że to koniec. Oddał ją pod opiekę Basila. Oszołomiony sir George wyszedł z kabiny.

— Nigdy nie sądziłem, że jest naprawdę chora — mamrotał. — Nawet przez moment.

Parker Pyne przepchnął się obok niego i wrócił do środka.

Twarcz Elsie była blada i ściągnięta.

— Posłali po lekarza? — zapytała.

— Owszem.

Po chwili spytał:

— Strychnina?

— Tak. Te konwulsje nie pozostawiają żadnych wątpliwości. Och, nie mogę w to uwierzyć! —

opadła na krzesło i zanosła się płaczem. Pan Pyne poklepał ją po ramieniu.

Nagle uderzyła go pewna myśl. Pędem wybiegł z kabiny i pospieszył do salonu. Znalazł w popielniczce nie spalony skrawek papieru, na którym widniało kilka ledwie czytelnych słów.

SUŁKA MARZEŃ

SPAL TO!

— Ciekawa sprawa! — skomentował.

Pan Parker Pyne siedział w gabinecie pewnego ważnego kairskiego urzędnika.

— Zatem tak wygląda materiał dowodowy — powiedział w zadumie.

— W zupełności wystarczy, żeby wnieść oskarżenie. Ten facet musi być kompletnym kretynem.

— Rzeczywiście, nie nazwałbym sir George'a zbyt lotnym człowiekiem.

— Na jedno wychodzi! Urzędnik podsumował sprawę:

— Lady Grayle prosi o filiżankę bulionu, który przygotowuje jej pielęgniarka. Potem nabiera ochoty na sherry. Sir George przynosi sherry. Dwie godziny później lady Grayle umiera z bezsprzecznymi objawami zatrucia strychniną. Jedno opakowanie strychniny zostaje znalezione w kabinie sir George'a, a drugie w kieszeni jego wieczorowej marynarki.

— Dokładnie tak — potwierdził pan Pyne. — A tak przy okazji, skąd pochodziła ta strychnina?

— Co do tego istnieją pewne wątpliwości. Pielęgniarka miała trochę strychniny, na wypadek gdyby lady Grayle dokuczało serce. Ale złożyła sprzeczne zeznania. Najpierw mówiła, że jej zapasy są nienaruszone, a teraz twierdzi, że czegoś brakuje.

— To do niej niepodobne, tak się płątać — stwierdził pan Pyne.

— Moim zdaniem oboje maczali w tym palce. Wyraźnie mają się ku sobie.

— Możliwe, ale gdyby panna MacNaughton planowała morderstwo, zrobiłaby to o niebo sprawniej. To bardzo kompetentna młoda dama.

— Niech i tak będzie, lecz według mnie sir George siedzi w tym po same uszy. Nie ma żadnych szans.

— Hm — mruknął pan Pyne. — Zobaczę, co się da zrobić.

Udał się na rozmowę ze śliczną siostrzenicą. Pamela była blada i oburzona.

— Wujcio nigdy by nie zrobił czegoś takiego. Nigdy, nigdy, przenigdy!

— Zatem kto? — spokojnie zapytał pan Pyne. Pamela podeszła bliżej.

— Wie pan, co ja myślę? Ona zrobiła to sama. Była ostatnio potwornie dziwna. Wymyślała różne rzeczy.

— Jakie rzeczy?

— Dziwaczne. Na przykład o Basilu. Ciągle sugerowała, że Basil się w niej kocha. A Basil i ja... my...

— Rozumiem — powiedział z uśmiechem pan Pyne.

— Cała ta sprawa z Basilem to była czysta fantazja. Myślę, że zawzięła się na biednego wujaszka, wymyśliła całą tę historię, opowiedziała ją panu, potem podłożyła strychninę w jego kabinie i kieszeni, aż w końcu się otruła. Przecież ludzie robili już nie takie rzeczy, prawda?

— Prawda — przyznał pan Pyne. — Ale nie wydaje mi się, żeby zrobiła to lady Grayle. Nie była, jeśli mogę to tak określić, tego typu osobą.

— A te wymysły?

— Chciałbym o nich porozmawiać z panem Westem. Znalazł młodzieńca w jego pokoju. Basil odpowiadał na pytania bez zbytnich oporów.

— Nic chcę wydać się panu zarozumiały, ale najwyraźniej jej się spodobałem. Dlatego nie śmiałem powiedzieć jej o sobie i o Pameli. Kazałaby sir George'owi mnie wylać.

— Uważa pan, że teoria panny Grayle jest prawdopodobna?

— No cóż, to chyba możliwe — młody człowiek wyraźnie nie był przekonany.

— Ale nieprawdziwe — spokojnie dopowiedział pan Pyne. — Nie, musimy znaleźć lepsze rozwiązanie.

Przez kilka minut głęboko się nad czymś zastanawiał.

— Najlepsze będzie przyznanie się do winy — powiedział nagle. Odkręcił pióro i wyjął kartkę papieru. — Niech pan to wszystko opisze.

Basil West wpatrywał się w niego ze zdumieniem.

— Ja? O czym, na Boga, pan mówi?

— Drogi chłopcze... — głos pana Pyne'a brzmiał niemalże ojcowsko. — Wiem wszystko. Wiem, że miałeś romans z biedną lady. Że ona czuła skrupuły. A ty zakochałeś się w ślicznej siostrzenicy bez grosza przy duszy. Zaplanowałeś wszystko. Stopniowe podtruwanie. Mogłoby to wyglądać na naturalną śmierć spowodowaną zapaleniem żołądka i jelit. A jeśli nie, to wina spadłaby na sir George'a, ponieważ starałeś się, żeby wszystkie ataki następowały tylko wtedy, gdy nigdzie nie wyjeżdżał. Niestety odkryłeś, że lady nabrała podejrzeń i że rozmawiała ze mną o całej sprawie. Szybko przystąpiłeś do działania! Podkradłeś trochę strychniny z zapasów panny MacNaughton. Część podłożyłeś w kabinie sir George'a, część w jego kieszeni. Umieściłeś też wystarczającą ilość w kapsułce, którą dołączyłeś do liściku, pisząc, że jest to "kapsułka marzeń". Romantyczny pomysł. Połknęła ją, gdy tylko pielęgniarka wyszła i nikt by się o niczym nie dowiedział. Ale popełniłeś jeden błąd, młody człowieku. Nie ma sensu prosić kobietę, żeby paliła listy. Nigdy tego nie robi. Mam całą tę miłą korespondencję, z listem o kapsułce włącznie. Basil West pozieleniał. Cała jego uroda gdzieś przysła. Wyglądał jak szczur w klatce.

— Niech cię szlag — wycharczał. — Więc wiesz wszystko, ty cholerny wścibski intruzie!

Pana Pyne'a uchroniło przed fizyczną przemocą pojawienie się świadków, których roztropnie poprosił o podsłuchiwanie pod przymkniętymi drzwiami.

Pan Parker Pyne ponownie omawiał całą sprawę ze swoim przyjacielem, ważnym urzędnikiem.

— I nie miałem nawet cienia dowodu! Tylko ten prawie zupełnie nieczytelny fragment ze słowami "Spal to!" Wydedukowałem całą historię i wypróbowałem na nim. Zadziałało. Okazało się, że wszystko to prawda. A listy załatwiły sprawę. Lady Grayle paliła wszystko, co do niej pisał, ale on o tym nie wiedział. To była naprawdę niezwykła kobieta — dodał. — Bardzo się zdziwiłem, kiedy do mnie przysła. Chciała, żebym udowodnił, iż mąż próbuje ją otruć. Odeszłaby wtedy z młodym Westem. Ale chciała zachować się fair.. Ciekawa postać.

— Ta biedna dziewczyna będzie cierpiała — westchnął jego kolega.

— Przejdzie jej — bezdusznie stwierdził pan Pyne. — Jest młoda. Chciałbym, żeby sir George zaznał trochę radości, zanim nie jest za późno. Przez ostatnie dziesięć lat był traktowany jak pluskwa. Ale Elsie MacNaughton będzie dla niego bardzo dobra.

Uśmiechnął się promiennie, a potem westchnął.

— Myślę, że do Grecji pojedę incognito. Naprawdę należą mi się wakacje!

Wyrocznia delficka

Pani Willardowa J. Peters tak naprawdę nie przepadała za Grecją. A na temat Delf w głębi duszy w ogóle nie miała zdania.

Najchętniej mieszkałaby wyłącznie w Paryżu, Londynie i na Riwierze. Lubiła życie w hotelach, lecz przy zachowaniu pewnego minimalnego standardu, w skład którego wchodził puszysty dywan, luksusowe łóżko, obfite oświetlenie w różnych punktach pokoju, w tym koniecznie przyciemniona lampka na stoliku nocnym, nieograniczona ilość gorącej i zimnej wody oraz telefon koło łóżka, przez który można zamówić herbatę, przekąski, wodę mineralną, koktajle, no i naturalnie pogawędzić z przyjaciółmi.

Hotel w Delfach nie zapewniał żadnej z tych rzeczy. Oferował jedynie cudowny widok za oknem, czyste łóżko, pomalowany na biało pokój. Stało w nim krzesło, umywalnia i komoda. Kąpiele trzeba było zamawiać, a temperatura wody częstokroć stanowiła bolesne rozczarowanie.

Pani Peters — uznawszy, iż zwiedzanie Delf należy do dobrego tonu — z całych sił próbowała zainteresować się trochę starożytną Grecją, ale sprawiało jej to ogromne trudności. Te ich rzeźby wydawały się takie niedokończone, tak im brakowało głów i rąk, i nóg. W głębi duszy o wiele bardziej podobał jej się przystojny marmurowy anioł ze skrzydłami, którego ustawiono na grobie świętej pamięci pana Willarda Petersa.

Lecz wszystkie te opinie roztropnie zachowywała dla siebie, w obawie, iż jej syn Willard mógłby nią pogardzać. To przez wzgląd na niego znalazła się w tym chłodnym i niewygodnym pokoju, skazana na towarzystwo nadąsanej służącej i zde gustowanego szofera. Gdyż Willard, jej osiemnastoletni syn (do niedawna nazywany Juniorem, czego szczerze nie znosił), którego wielbiła bez opamiętania, przejawiał dziwną namiętność do sztuki minionych czasów. To właśnie on, chudy, blady, cierpiący na niestrawność okularnik, wyciągnął kochającą matkę na tę eskapadę do Grecji.

Zwiedzili już Olimpię, która zrobiła na niej wrażenie ponurego rumowiska. Podobał jej się Partenon, ale Ateny uznała za beznadziejne. Natomiast w Koryncie i Mykenach przeżywała prawdziwe katusze, podobnie jak i jej szofer.

Nieszczęśliwa pani Peters pomyślała, że Delfy to już ostatnia kropla goryczy. Kompletnie nic do roboty, można tylko iść wzdłuż drogi i patrzeć na ruiny. Willard spędzał długie godziny na kolanach, odszyfrowując greckie napisy i wykrzykując co chwilę:

— Mamo, posłuchaj tylko tego! Czyż to nie wspaniałe?

A potem odczytywał coś, co pani Peters wydawało się kwintesencją nudy.

Tego ranka Willard wyruszył wcześniej, aby obejrzeć jakieś bizantyjskie mozaiki. Pani Peters, która instynktownie poczuła, że od bizantyjskich mozaik robi jej się zimno (tak w sensie dosłownym,

jak i w przenośnym), wymówiła się od zwiedzania.

— Rozumiem, mam — powiedział Willard. — Wolisz w samotności posiedzieć w teatrze lub na stadionie, patrząc na niego i chłonąc jego atmosferę.

— No właśnie, kotku — potwierdziła pani Peters.

— Wiedziałem, że to miejsce cię zauroczy — stwierdził jej potomek radośnie i odszedł.

Westchnąwszy głęboko, pani Peters zebrała się w sobie, żeby wstać i zejść na śniadanie.

Jadalnia była prawie pusta, nie licząc czterech osób: matki i córki, ubranych w sposób, który pani Peters wydał się co najmniej dziwny (jako że nie rozpoznała peplum), dyskutujących o sztuce autoekspresji w tatku; pulchnego dżentelmena w średnim wieku, o nazwisku Thompson, który uratował jej walizkę, gdy wysiadali z pociągu, oraz nowego gościa, również pana w średnim wieku, łysego jak kolano.

Kiedy już wszyscy inni wyszli z jadalni, pani Peters wdała się z nim w pogawędkę. Miała bardzo otwartą naturę i lubiła rozmawiać z ludźmi. Niestety pan Thompson zachowywał się niezbyt zachęcająco (nazywała takie maniery brytyjską rezerwą), a matka z córką były wyniosłymi intelektualistkami, choć dziewczyna całkiem nieźle dogadywała się z Willardem.

Nowy gość wydał się jej bardzo sympatycznym człowiekiem. Rozmowa z nim okazała się pouczająca, choć wcale się nie wymądrzał. Opowiedział jej o kilku ciekawych, codziennych szczegółach z życia Greków, dzięki czemu zaczęli jej się wydawać realnymi ludźmi, a nie kawałkiem męczącej historii z podręcznika.

Pani Peters zaś opowiedziała swojemu nowemu towarzyszowi wszystko o Willardzie, o jego zdolnościach, a również o tym, że mógłby mieć na drugie imię Kultura. Coś w tym miłym, dobrodusznym mężczyźnie sprawiało, że człowiek chętnie mu się zwierzał.

Jednak nie dowiedziała się ani jak się nazywa, ani kim jest. Poza faktem, że podróżuje od jakiegoś czasu i że chce zupełnie odpocząć od spraw zawodowych (z jakim zawodem związanych?), nie wyjawiał nic na swój temat.

Tak czy siak, dzień minął o wiele szybciej, niż można było przypuszczać. Matka z córką oraz pan Thompson nadal zachowywali się nietowarzysko. Gdy natknęli się na niego wychodząc z muzeum, na ich widok natychmiast ruszył w przeciwną stronę.

Nowy przyjaciel pani Peters spojrzął za nim, lekko marszcząc brwi.

— Ciekawe, kto to jest? — powiedział. Pani Peters знаła jedynie jego nazwisko.

— Thompson, Thompson... Nic, chyba nie spotkałem go nigdy wcześniej, a mimo to ta twarz wydaje mi się znajoma. Nie mogę sobie przypomnieć, gdzie ją widziałem.

Po południu pani Peters ucięła sobie krótką drzemkę w ocienionym miejscu. Zabrała ze sobą

książkę, lecz nie była to wybitna pozycja na temat helleńskiej, rekomendowana przez jej syna. Wręcz przeciwnie, powieść nosiła tytuł: Tajemnica szalupy. Były tam trzy morderstwa, dwa porwania, a także potężny i rozbudowany gang niebezpiecznych przestępców. Pani Peters czuła się zarówno ożywiona, jak i ukojona skomplikowaną fabułą.

Wróciła do hotelu o czwartej w przekonaniu, że Willard już tam jest. Tak dalece wyzbyta była wszelkich złych przeczuć, że niemalże zapomniała otworzyć liścik, który oddał jej właściciel, mówiąc, iż został tego popołudnia przyniesiony przez jakiegoś dziwnego człowieka.

Koperta była niemożliwie brudna. Pani Peters otworzyła ją z roztargnieniem, lecz gdy przeczytała kilka pierwszych linijek, pobladła i wyciągnęła rękę, żeby się czegoś przytrzymać. Choć list napisano po angielsku, jego styl wskazywał na to, że autor był cudzoziemcem.

Pani!

Niniejszym przesyłam to pismo, by panią poinformować, iż syn jej trzymany jest jako jeniec w ściśle strzeżonym miejscu. Żadna krzywda nic spotka szanownego młodzieńca, jeśli podda się pani naszym rozkazom. Żądamy za niego okupu w kwocie dziesięciu tysięcy angielskich funtów szterlingów. Jeżeli powiadomi pani o tym właściciela hotelu albo też policję, albo inną tego rodzaju instytucję, syn pani zostanie zabity. Proszę poddać to rozwadze. Jutro otrzyma pani wskazówki w kwestii sposobu zapłaty. Jeśli nie zastosuje się pani do nich, uszy szanownego młodzieńca zostaną obcięte i przesłane pani. Jeśli dnia następnego także nie wykona pani poleceń, syn szanowny zostanie zabity. Napominamy, że nie są to czeze pogróżki. Niechaj zalśni znów Kyria. Nade wszystko proszę zachować milczenie.

Demetriusz Czarnobrewy

Na próżno by opisywać stan umysłu biednej kobiety. Choć żądanie sformułowano w sposób niedorzeczny i dziecinny, budziło jednak koszmarne poczucie zagrożenia. Willard, jej chłopczyk, jej kotek, ten delikatny, poważny Willard...

Natychmiast uda się na policję; natychmiast postawi na nogi wszystkich wokół. Ale jeżeli to zrobi... zadrżała nagle.

Potem wzięwszy się w garść wyszła ze swojego pokoju na poszukiwanie właściciela hotelu, czyli jedynej osoby z obsługi, która mówiła po angielsku.

— Robi się późno — powiedziała — a mój syn jeszcze nie wrócił.

Sympatyczny niski człowieczek obdarzył ją promiennym uśmiechem.

— To prawda. *Monsieur* odesłał muły. Chciał wrócić piechotą. Powinien już tu być, ale

niewątpliwie zamarudził gdzieś po drodze — uśmiechnął się wesoło.

— Proszę mi powiedzieć — spytała oschłym tonem pani Peters — czy są tu w okolicy jakieś typy spod ciemnej gwiazdy?

Ograniczony słownik właściciela nie obejmował takiego zwrotu jak “typy spod ciemnej gwiazdy”, więc pani Peters musiała wyrazić się jaśniej. W odpowiedzi otrzymała zapewnienie, że w całych Delfach mieszkają tylko bardzo dobrzy, bardzo spokojni ludzie, życzliwie nastawieni do cudzoziemców.

Słowa cisnęły się jej na wargi, ale powstrzymała je. Okrutna groźba wiązała jej język. To mógł być zwykły bluff, ale jeśli nie? Kiedyś w Ameryce porwano dziecko jej znajomej, a kiedy ta zawiadomiła policję, dziecko zostało zabite. Takie rzeczy naprawdę się zdarzają.

Była bliska obłędu. Co robić? Dziesięć tysięcy funtów... Ile to jest? Około czterdziestu, pięćdziesięciu tysięcy dolarów! Ale jakież to ma znaczenie w porównaniu z bezpieczeństwem Willarda? Tylko skąd wziąć taką sumę? Gdy chodziło o pieniądze, a zwłaszcza o pobieranie gotówki, problemy mnożyły się w nieskończoność. Miała ze sobą tylko poręczenie bankowe na kilkaset funtów.

Czy bandyci to rozumieją? Czy zachowają się rozsądnie? Czy zechcą poczekać?

Ostro odprawiła pokojówkę, która przyszła się nią zająć. Po chwili zabrzmiał gong wzywający na kolację i nieszczęsna kobieta zeszła do jadalni. Jadła mechanicznie, na nikogo nic zwracając uwagi. Jeśli o nią chodzi, to sala równie dobrze mogłaby być pusta.

Wraz z owocami umieszczono przed nią liścik. Skrzywiła się, ale charakter pisma był zupełnie inny od tego, który obawiała się ujrzeć — schludne pismo angielskiego urzędnika. Otworzyła kopertę bez szczególnego zainteresowania, ale treść okazała się co najmniej intrygująca:

W Delfach nic można już poradzić się wyroczeni, ale można poradzić się Parkera Pyne’a.

Poniżej przypięto do kartki wycinek z gazety oraz zdjęcie paszportowe przedstawiające łysego mężczyznę, którego poznała tego ranka.

Pani Peters dwukrotnie przeczytała ogłoszenie.

“Czy jesteś szczęśliwy? Jeżeli nie, zasięgnij rady pana Parkera Pyne’a”.

Shczęśliwa? Czy kiedykolwiek był na świecie ktoś tak nieszczęśliwy jak ona? Ten list był niczym odpowiedź na modlitwę.

Pospiesznie skreśliła kilka słów na luźnej kartce papieru, którą znalazła w torebce.

Proszę mi pomóc. Czy możemy spotkać się przed hotelem za dziesięć minut?

Włożyła kartkę do koperty i poprosiła kelnera, żeby oddał ją dżentelmenowi siedzącemu przy stole pod oknem. Dziesięć minut później pani Peters, opatulona w futro, gdyż noc była chłodna, wyszła z hotelu i wolnym krokiem ruszyła drogą do ruin. Pan Parker Pyne czekał na nią.

— To prawdziwe zmiłowanie boskie, że pan tutaj jest — wyszeptała pani Peters. — Ale jak pan się domyślił, że mam taki koszmarny problem? Proszę mi powiedzieć.

— Ludzkie oblicze wiele zdradza, droga pani — odrzekł łagodnie. — Od razu wiedziałem, że coś się stało, ale czekam, aż pani mi powie, co konkretnie.

Zalała go potokiem słów. Na zakończenie podała mu list, który przeczytał przy świetle kieszonkowej latarki.

— Hmm — mruknął. — Interesujący dokument. Niebywale interesujący. Są w nim pewne kwestie...

Ale pani Peters nie była w nastroju na dyskusje o bardziej wyrafinowanych kwestiach z listu. Co ona ma zrobić w sprawie Willarda? Jej kochanego, delikatnego Willarda.

Parker Pyne próbował ją, uspokoić. W bardzo ciekawych barwach odmalował obraz życia przestępczego w Grecji. Zapewnił ją, że porywacze będą niezwykle troskliwi w stosunku do swojego więźnia, gdyż stanowił dla nich potencjalną złotą żyłę?. Stopniowo pani Peters odzyskiwała spokój ducha.

— Ale co ja mam zrobić? — zatkała jeszcze.

— Poczekać do jutra — odpowiedział. — Chyba że woli pani iść prosto na policję.

Pani Peters przerwała mu okrzykiem przerażenia. Jej najdroższy Willard zostanie natychmiast zamordowany!

— Myśli pan, że wróci cały i zdrowy?

— Nie mam co do tego żadnych wątpliwości — stwierdził pan Pyne uspokajającym tonem. — Jedyne problem w tym, żeby odzyskała go pani nie płacąc dziesięciu tysięcy funtów.

— Chcę tylko odzyskać syna.

— Dobrze już, dobrze — poddał się szybko. — A kto przyniósł ten list?

— Człowiek, którego właściciel nie zna. Jakiś obcy.

— Ach! To nam otwiera pewne możliwości. Moglibyśmy śledzić człowieka, który jutro przyniesie list. Jak pani wytłumaczy ludziom z hotelu nieobecność swojego syna?

— Nie myślałam o tym.

— Pomyślmy więc teraz — Parker Pyne zadumał się. — Myślę, że może pani całkiem naturalnie okazać niepokój i troskę. Można by też wysłać kogoś na poszukiwanie.

— Nie uważa pan, że te potwory?... — urwała nagle.

— Nie, nie. Dopóki nie ma mowy o porwaniu i o okupie, nie zrobią nic złego. W końcu nie mogą oczekiwać, że bez słowa przyjmie pani zniknięcie swojego dziecka.

— Czy mogę to wszystko pozostawić panu?

— Zajmę się tym — zapewnił ją pan Pyne. Ruszyli z powrotem w stronę hotelu i niemalże wpadli na krzepką postać.

— Kto to był? — spytał ostro pan Pyne.

— Wydaje mi się, że pan Thompson.

— Och! Thompson, tak? Hmm...

Układając się do snu pani Peters uznała, że pomysł pana Pyne dotyczący listu jest bardzo dobry. Ten, kto go przyniesie, musi mieć kontakt z bandytami. Poczula otuchę i zasnęła dużo szybciej, — niż mogłaby się tego spodziewać.

Kiedy się ubierała następnego ranka, nagle zauważyła, że coś leży na podłodze koło okna. Podniosła to i serce jej na chwilę zamarło. Taka sama brudna, tania koperta; ten sam, zniechęcony charakter pisma. Rozdarła papier jednym ruchem.

Dzień dobry pani!

Czy poczyniła pani refleksje? Jak dotąd syn szanowny miewa się dobrze i nic mu nie jest. Jednakowoż musimy dostać pieniądze. Może nie być pani łatwo zdobyć ową sumę, ale poinformowano nas, że ma pani przy sobie brylantową kolie. Bardzo ładne kamienie. Zadowolimy się nią zamiast pieniędzy. Musi pani postąpić następująco. Pani lub osoba, którą zechce pani wybrać, musi zabrać naszyjnik i przynieść go na stadion. Tam proszę udać się na górę do drzewa przy dużej skale. Będziemy patrzeć oczyma, czy przyjdzie tylko jedna osoba. Następnie wymienimy syna szanownego na kolie. Rzecz musi stać się jutro o szóstej rano, niebawem po wschodzie słońca. Jeśli w następstwie naśle pani na nas policję, zastrzelimy syna w drodze na stację.

Oto nasze ostatnie słowo, pani. Jeśli jutro rano nie ma kolii, przysyłamy uszy syna.
Pojutrze syn umiera.

Z pozdrowieniami

Demetriusz

Pani Peters natychmiast odnalazła pana Pyne'a, który z niezwykłą uwagą przeczytał list.

— Czy to prawda — zapytał — co piszą o tej brylantowej kolii?

— Tak. Mój mąż zapłacił za nią sto tysięcy dolarów.

— Dobrze poinformowani złodzieje — mruknął Parker.

— Co pan mówi?

— Tak tylko rozważam sobie pewne aspekty tej sprawy.

— Na rany boskie, panie Parker, nie mamy czasu na aspekty. Muszę odzyskać mojego chłopca.

— Przecież jest pani odważną kobietą, pani Peters. Czy chce pani pozwolić na to, żeby panią terroryzowano i ograbiono ze stu tysięcy? Zamierza pani potulnie oddać swoje brylanty tej bandzie łobuzów?

— No, skoro tak pan to przedstawia — w pani Peters odważna kobieta walczyła z matką — chętnie bym im za to odplaciła. Tchórzliwe bydlaki! Kiedy tylko odzyskam mojego chłopczykę, naśle na nich całą policję z okolicy, a jeśli będzie to konieczne, wynajmę pancerny samochód, w którym zawiozę Willarda na dworzec kolejowy! — pani Peters aż się zarumieniła z żądzy zemsty.

— Taak — powiedział pan Pyne. — Widzi pani, obawiam się, że będą przygotowani na takie posunięcie. Wiedzą, że kiedy Willard będzie już bezpieczny, nic pani nie powstrzyma przed postawieniem wszystkich w stan pogotowia. Co każe przypuszczać, że podjęli odpowiednie kroki.

— No to co chce pan zrobić? Pan Pyne uśmiechnął się.

— Chciałbym wypróbować pewien plan. Rozejrzał się po jadalni. Była pusta, a drzwi z obu stron zamknięte.

— Znam w Atenach pewnego człowieka, jubilera, którego specjalnością są doskonałe sztuczne brylanty, naprawdę pierwszorzędne — ściszył głos do szeptu. — Skontaktuję się z nim telefonicznie. Może tu się pojawić jeszcze dziś po południu z całym zapasem kamieni.

— To znaczy?

— Wyjmie prawdziwe diamenty i zastąpi je sztucznymi.

— A niech to! To najsprytniejsza rzecz, o jakiej słyszałam! — pani Peters patrzyła na niego z podziwem.

— Cii! Nie tak głośno. Czy robi pani coś dla mnie?

— Pewnie.

— Proszę dopilnować, żeby nikt się nie zbliżał, kiedy będę rozmawiał przez telefon.

Pani Peters pokiwała głową.

Telefon znajdował się w biurze kierownika, który usłużnie pomógł panu Pyne'owi uzyskać połączenie, a potem wyszedł. Pod drzwiami natknął się na panią Peters.

— Czekam na pana Pyne'a — wyjaśniła. — Wybieramy się na spacer.

— Ach tak, proszę pani.

W tym momencie pan Thompson podszedł do kierownika i zaczął zadawać mu pytania.

Czy w Delfach są jakieś wille do wynajęcia? Nie? Ale na pewno jest jedna nad hotelem?

— Należy do pewnego greckiego dżentelmena, *monsieur*. Nie wynajmuje jej.

— I nie ma żadnych innych domów?

— Jest jeszcze jeden, własność pewnej pani z Ameryki. Stoi po drugiej stronie wioski, ale teraz jest zamknięty. I jeszcze willa angielskiego dżentelmena, artysty, na skraju klifu z widokiem na Itée.

Pani Peters wtrąciła się do rozmowy. Natura obdarzyła ją donośnym głosem, który dzięki jej staraniom teraz brzmiał jeszcze donośniej.

— O rety! — wykrzyknęła. — Fantastycznie by było mieć tutaj willę! Tak tu czysto i naturalnie. Po prostu przepadam za tym miejscem, a pan, panie Thompson? Na pewno też, skoro pyta pan o willę. Czy to pierwsza pana wizyta tutaj? Niemożliwe!

I tak ciągnęła nieprzerwanie, dopóki pan Pyne nie wyszedł z biura. Dyskretnie uśmiechnął się do niej z aprobatą.

Pan Thompson powoli zszedł po schodach na drogę, gdzie przyłączył się do przeintelektualizowanej matki i córki, które drżały z zimna, gdy wiatr smagał ich odkryte ramiona.

Wszystko przebiegło gładko. Jubiler przyjechał tuż przed kolacją w samochodzie pełnym turystów. Pani Peters zniosła naszyjnik do pokoju, w którym się zatrzymał. Na jego widok mruknął z uznaniem, a potem powiedział po francusku:

— *Madame peut être tranquille. Je réussirai* — wyjął z niewielkiej torby odpowiednie narzędzia i wziął się do pracy.

O jedenastej pan Pyne zastukał do drzwi pokoju pani Peters.

— Proszę bardzo!

Wręczył jej mały irchowy woreczek. Zajrzała do środka.

— Moje brylanty!

— Cii! A tu jest naszyjnik ze sztucznymi kamieniami. Całkiem nieźle wygląda, prawda?

— Po prostu cudownie.

— Aristopoulous to zdolny facet.

— Myśli pan, że nic będą mieli żadnych podejrzeń?

— Ależ skąd! Wiedzą, że ma pani przy sobie naszyjnik. Oddaje im go pani. Dlaczego mieliby podejrzewać podstęp?

— No, uważam, że to cudowne — powtórzyła pani Peters oddając mu naszyjnik. — Zanieś pan go? Czy proszę pana o zbyt wiele?

— Oczywiście, że go zaniosę. Proszę tylko dać mi list, żebym dokładnie zapoznał się ze wskazówkami. Dziękuję. A teraz życzę dobrej nocy i *bon courage*. Jutro zje pani śniadanie ze swoim synem.

— Och, oby to tylko była prawda!

— No już, niech się pani nic martwi. Proszę wszystko pozostawić mnie.

Pani Peters nie miała dobrej nocy. Gdy tylko zasnęła, zaczęły jej się śnić koszmary. Uzbrojeni bandyci w pancernych samochodach strzelali do Willarda, który zbiegał zboczem góry w samej piżamie.

Odczuła ulgę, gdy się wreszcie przebudziła. W końcu pojawił się pierwszy brzask. Pani Peters ubrała się, po czym usiadła i czekała.

O siódmej rozległo się pukanie do drzwi. W gardle tak jej zaschło, że z trudem wyszeptała.

— Proszę wejść.

W otwartych drzwiach stanął pan Thompson. Wpatrzyła się w niego i zabrakło jej słów. Ogarnęło ją potworne przeczucie. Jednak kiedy się odezwał, jego głos brzmiał zupełnie naturalnie i rzeczowo. Był ciepły i łagodny.

— Dzień dobry, pani Peters — przywitał ją.

— Jak pan śmie! Jak pan...

— Proszę mi wybaczyć tę niekonwencjonalną wizytę o tak wczesnej porze — przeprosił pan Thompson. — Ale widzi pani, musimy omówić pewną sprawę.

Pani Peters pochyliła się patrząc na niego oskarżycielsko.

— A więc to pan porwał mojego chłopca! Nic było żadnych bandytów!

— Niewątpliwie bandytów nie było. Doprawdy ta część wyglądała bardzo nieprzekonująco. Zupełnie bez polotu, mówiąc krótko.

Pani Peters owładnięta była tylko jedną myślą.

— Gdzie mój chłopiec? — zapytała łypiąc oczami rozwścieczonej lwicy.

— Prawdę mówiąc — odparł jej gość — stoi tuż za drzwiami.

— Willard!

Z rozmachem otworzyła drzwi. Willard, blady i nie ogolony, został przyciśnięty do matczyego serca. Pan Thompson przyglądał się tej scenie z dobrotliwym uśmiechem.

— Tak czy siak — zwróciła się do niego pani Peters, nagle odzyskując rozsądek — oddam pana w ręce sprawiedliwości. Tak zrobię.

— Wszystko ci się pomyliło, mamó — wtrącił Willard. — Ten pan mnie uratował.

— Gdzie ty byłeś?

— W domu na klifie. Około mili stąd.

— Pragnąłbym zwrócić pani jej własność — powiedział pan Thompson.

Wręczył jej małą paczuszkę luźno owiniętą bibułą. Papier spadł ukazując diamentowy naszyjnik.

— Nie musi pani pilnować tego woreczka z kamieniami — wyjaśnił z uśmiechem. — Prawdziwe diamenty pozostały w naszyjniku, a irchowy woreczek zawiera świetne imitacje. Jak to określił pani przyjaciel, Aristopoulous to geniusz.

— Nic z tego nie rozumiem — wyznała nieszczęsna matka słabym głosem.

— Musi pani spojrzeć na tę sprawę z mojego punktu widzenia — powiedział pan Thompson. — Moją uwagę zwróciło pewne nazwisko. Pozwoliłem sobie śledzić panią i jej grubego przyjaciela, a następnie podsłuchałem, do czego szczerze się przyznaję, waszą niezwykle ciekawą rozmowę.

Wydała mi się na tyle intrygująca, że wciągnąłem do sprawy kierownika. Zapisał on numer, pod który dzwonił pani zaufany kompan, i urządził wszystko tak, by kelner mógł podsłuchać waszą rozmowę w jadalni. Cały schemat wyglądał zupełnie przejrzyście. Padła pani ofiarą pary sprytnych złodziei biżuterii. Wiedzieli wszystko o pani koliai, przyjechali tutaj za panią, porwali pani syna, napisali ten komiczny list od “bandytów” i tak wszystko zaaranżowali, żeby zaufała pani głównemu spiskowcowi. Reszta jest banalnie prosta. Życzliwy dżentelmen wręcza pani torebkę z fałszywymi diamentami i... znika wraz ze swoim kumplem. Dziś rano, gdyby pani syn nie wrócił, szalałaby pani z rozpacz. Nieobecność pani przyjaciela podsunęłaby pani wniosek, że on też został porwany. Prawdopodobnie tak wszystko zorganizowali, żeby jutro ktoś pojawił się w willi. Osoba ta odnalazłaby pani syna, powiązałibyście wszystkie fakty i odkryli, na czym polegał cały plan. Lecz do tej pory rabusie byłiby już daleko stąd.

— A teraz?

— Teraz siedzą bezpiecznie pod kluczem. Dopilnowałem tego.

— Podlec! — wybuchła pani Peters, z gniewem przypominając sobie swoje ufne zwierzenia. — Zakłamany, oślizgły drań.

— Bardzo nieprzyjemny typ — zgodził się pan Thompson.

— Ciekaw jestem, jak pan na to wpadł — powiedział z podziwem Willard. — To naprawdę niesamowite.

Pan Thompson skromnie pokręcił głową.

— Ależ nie — odrzekł. — Kiedy człowiek podróżuje incognito i nagle słyszy, że ktoś posługuje się jego nazwiskiem...

Pani Peters spojrzała na niego.

— Jak pan się nazywa? — spytała wprost.

— Parker Pyne, do usług — odparł dżentelmen.